

MARIA RODZIEWICZÓWNA

DEWAJTIS



R Z Y M — 1 9 4 5

DEWAJTIS

DEWALIS

BIBLIOTEKA
UNIwersytecka
w Toruniu

1393225

1.

Słońce zachodziło za gaj dębowy, wtulony w widły Dubissy i Ejni, w starym cichym kraju świętych dębów, węży i bursztynu.

Za chmurę siwą się kryło, ostatnią wiązką złotych blasków żegnając stary żmudzki zaścianek szlachecki, do brzegu potoku przyparty i otulony seciną lip niebotycznych, wiśni i jarzębiny.

Był to sobotni wieczór, rozkoszny dla pracowitego ludu i dobytku.

Z pól pościagały na nocleg starodawne sochy, robocze woły, wozy drabiaste i niewielkie, żwawe koniki; schodzili się smukli młodzieńcy z kosami na ramieniu, smągłe, złotowłose dziewczęta ze śpiewką na ustach, dziatwa zapędzająca pod strzechy stada bydła i owiec.

Aż wreszcie uciszył się zaścianek, skupiło życie po izbach i podwórzach, gdzieniegdzie ozwały się tony skrzypiec i fujarki, śmiechy młodzieży, gwar, nawoływania, a bociany wstawały na gniazdach i jak kaznodzieje prawily coś tej rzeszy ludzkiej...

Najciszej było w zagrodzie starego Piotra Wojnata, znacznej wśród innych dobrobytem i zamożnością. Czworo osób obsiadło stół, na którym dymila wieczerza w wielkich polewanych misach, woń cebuli i świeżego chleba roztaczając na całą izbę. Gospodarz siedział w rogu; między dwoma oknami, w siwej kapocie, suchy, zgięty w kablak starzec. Wodził powoli tyżkę

do ust, i powoli, gderliwym tonem wiódł rozmowę z sąsiadem na prawo.

Był to średniego wzrostu młodzian ciemnowłosy, mizerny, ubrany, jak Wojnat, w strój zaścianka, na pół chłopski, na pół szlachecki.

Opowiadał coś w przerwach jedzenia smętnym, cichym głosem; wyglądał zalękły, zgnębiony, oczy tylko podnosił co chwila i spoglądał, nie wiadomo czy w okno, czy na siedzących naprzeciw.

Tamci nie odzywali się wcale. Dziewczyna złotowłosa, rumiana, zwracała profil do światła i, przechylając się za otwarte okno, obrywała swawolnie purpurowe owoce z wiśni, rosnącej pod samą ścianą. Na kolanach trzymała kapelusz męski i za tasemkę nawlekała wianeczek z wiśni, uśmiechając się do swej psoty.

Siedzący obok niej młody człowiek przypatrywał się jej ręką opaloną, ale zgrabną, czasem głowę jej i ładne rysy objął wzrokiem i milczał. Olbrzymiego był wzrostu i ubrany z pańska, w cienkie, ciemne sukno; w mroku siedział, zgarbiony, a długie, spadające na czoło włosy, zakrywały mu połowę twarzy.

Niekiedy dziewczyna, znudzona tą milczącą obserwacją, rzuciła mu owoc dojrzały. Wtedy z pod jasnej grzywy strzelało coś niby iskra w jej błękitne oczy i znowu gąsło. Wiśnię brał w opalone dłonie i nie jadł, jakby żałował.

Jedzenie zniknęło ze stołu. Nareszcie stara sługa sprzątnęła resztki, mężczyźni dobyli fajki, i gospodarz raz pierwszy zwrócił się do milczącego biesiadnika.

— A nie masz tam czasem zagranicznego tytoniu, gościńca dla wuja?

— Za granicą gorszy palą! — odparł zagadnięty, pomimo to dobywając z kieszeni wzorzysty, skórzany woreczek.

Stary kościste palce zanurzył weń i, napychając fajkę, mruzczał:

— Familijne skąpstwo Czertwanów. Woli ząb wyrwać, niż grosz wydać! At!

Dziewczyna odęła usta żałośnie.

— Dziadek myśli, że on o mnie pamiętał? Uchowaj Boże! Winowajca milczał, za to smutny młodzieniec ujął się za nim:

— Nie własny towar sprzedawał. Byki z poświckich gorzelnii, to i nie miał za co kupować prezentów, ledwie na przekarmienie starczyło tego, co pan Czertwan wyznaczył.

— Dobry i stary, i młody. Dobrali się w korcu maku! Stary zwariował na wielki rozum, a on taki całkiem głupi. Orzą nim, jak wołem.

— Rychło przestaną, jak się ożeni i do naszych Sandwilów do was przyjdzie — mówił dalej obrońca, uśmiechając się smutnie, jak na stypie.

Dziewczyna pokraśniała, jak wiśnie u kapelusza, a stary łysinę pogładził i trochę udobruchany spojrział na mruka.

— Aha! Cóż? Ratuje ja go, ratuję, ile mocy. Siostrzany syn, sierota, chciałem za dziecko wziąć kiedyś, ojciec nie dał. Ha! Co robić, nie dał, to on i sam do mnie przyszedł.

Dziewczyna zrobiła grymas, mówiący jasno: «Prawda! Zobaczyłbyś go beze mnie!» ale stary nie zważał.

— Oho, oho! Rada jest na wszystko, byle się nie spieszyć! «Pośpiech to złodziej», mówili ojcowie. Na jesień niech Czertwan szuka sobie innego ekonomy do Skomontów, albo sam się weźmie, bo Marek na swoje pójdzie. Już mu czas. Ile masz lat?

— Dwadzieścia osiem minęło na wiosnę!

— Strach! Co to się dzieje teraz. Ja w tym wieku czworo dzieci już miałem, tylko, że mi umierały, jak na komendę, aż żadnego nie zostało! No, ma się rozumieć, miałem olej w głowie, nie bałem się macochy, ani słuchałem każdego! Toteż i wyszedłem na człowieka.

— I Marek wyjdzie, dziadusi! — upomniała się dziewczyna — on taki duży!

— Głupiaś — mruknął stary, groźnie brwi marszcząc.

Zaśmiała się swawolnie.

— A dziaduś codzień sąsiadom prawi: Niech no mi na

jesieni Marek osiadzie na gospodarce, to zobaczycie, co potrafi młoda głowa i ręce! Pan Gral świadkiem.

Spojrzała przekornie na młodego chłopca, a on pod tym spojrzeniem wzrok spuścił i westchnął nieznacznie.

— Głupiaś! — powtórzył Wojnat, wstając z miejsca.

Ruszyli się wszyscy. Ona pierwsza wybiegła z izby, i po chwili z ogródka doleciał jej cienki głosik słowami piosenki:

Za lasami

Za polami

Stoi domek przy ruczaju;

Tam dziewczyna,

Jak malina,

Mieszka, by aniołek w raju.

Marek podniósł się z ławy opieszale.

— Pójdę już! — rzekł.

— Czy ci do macochy tęskno? — zamruczał Wojnat.

— Zmitrężyliśmy trzy dni. Ojciec pewnie niespokojny.

— Ani trochę. Słyszę, już na wakacje przyjechał Witold, a i dziewczyna pewnie wróciła z Rygi.

— Już była, jak odjeżdżałem.

— Otóż to. Dosyć ich tam bez ciebie! A jutro niedziela. Odpocznij ze swoimi.

— Dziękuję, wuju!

W chwili, gdy siadali napowrót u okna, skrzypnęły wrota od ulicy i na podwórzu rozległ się obcy głos:

— *Tegul bas pagarbientas Jesus Chrystus.*

— *At amžiu amžius!* — odparła dziewczyna z ogródka, i spytała natychmiast:

— Czy pan Marka szuka, panie Ragis, tutaj?

— A gdzieżby on był! — rzekł nowoprzybyły.

Marek porwał się z ławy i wyszedł na podwórze. Gość szukał go oczyma około dziewczyny, która, oparłszy się o plot ogródka, rozmawiała, plotąc wianek z pęka malw i stokroci. Był to człowiek małeńki, szczupły, kaleka, z kulą u nogi, ubrany w surducinę siną, krojem żołnierskim, i takąż, wypłowiałą czapkę. Twarz miał okrągłą, rumianą, szwów i blizn

pełną, sterczały z niej jak szydła siwe wąski i świecili figlarne, zmrużone, szare oczki.

— Dobry wieczór, Rymko Ragis! — pozdrowił go Marek od progu.

— Wróciłeś przecie! Ho, ho! Myśleli, żeś drapnął w świat, jak Kazio!

— Mieliśmy kwarantannę. Na granicy padł byk Grala!

— Aha! Szkoda chłopca! Dawno wróciliście?

— Będzie dwie godziny.

— Dobrze trafiłem! Chodźmy!

Zawrócił i pokulał za wrota, kiwnąwszy głową dziewczynie. Gdy się obejrzał na drodze, młodzi szli za nim powoli; gdy minął rozdroże, naznaczone kapliczką i krzyżem, ona została pod Bożą męką, strojąc ją w kwiaty, a on kroku przyspieszył i wnet się zrównał z kaleką.

Główną drogę zostawili na prawo, ścieżką przez łąki nadrzeczne szli w kierunku dąbrowy i milczeli długą chwilę, jakby się wczoraj rozstali.

A jednak mijało trzy tygodnie, jak Marek Czertwan poszedł do Prus z partią opasów na sprzedaż i wracał zaledwie.

Zmudzin nie lubi zaczynać rozmowy, ciekawym nie jest — on patrzy, słucha i... milczy.

Z dałą dąbrowa wyciągała do nich jakby ramiona, czarnym cieniem zabiegając drogę; chodziły po niej szmery różne i szelesty tajemnicze.

Z łąki weszli w gąszcz jeryn, jesionów karłowatych i dzikich róż; potem wielkie dęby otoczyły ich, szli po miękkim mchu i paprociach, gdy stary ozwał się wreszcie pierwszym, smutnym, zgnębnym głosem:

— Ze złą wieścią spotykam ciebie, Marku!

Młody nie przeraził się, nawet oczu nie podniósł. Po minucie zaledwie namysłu spytał spokojnie, głuchym swym głosem:

— Jakąż, Rymko Ragis?

— Ojciec twój umiera...

I na to nie było żadnego wybuchu. Marek Czertwan znowu pomyślał chwilę, nim rzekł słowo:

— Dawno zasłabił?

— Przed tygodniem. Z Poświca przyjechał na święto, trzy dni mocował się z chorobą, aż go zmogła i położył się. Nie choroba to zwykła, ale ta stara kula, co ją lat tyle w boku nosi. Dokołatała się serca wreszcie! Doktora nie chciał; po co leki żołnierzo? Przeszedł czas do apelu, do kolegów, co tam są — to i pójdzie!

Szorstki, prawdziwy żal brzmiał w głosie starego. Rękawem oczy przetarł, westchnął i po chwili znów mówił:

— O ciebie się pyta co chwila, a dziś przed wieczorem księdza prosił, i Jazwigłę sprowadzili z Kowna. Widzi mi się, że wołę swą chce zostawić wam ustnie i śpieszno mu. Czeka ją ciebie, aż mnie coś tknęło do Wojnatów się dowiedzieć. Bieda biedą, a tym, co zostają, żyć trzeba i myśleć o sobie. Straszno, by ciebie macocha z dziećmi nie skrzywdziła. Boją się one ciebie i nie lubią! Pamiętajże, powiedz swoje choć raz w życiu, gdy cię ojciec zapyta!

Zamilkł, spojrział na towarzysza, ale twarz Marka była niezbadaną zagadką. Wątpliwe, czy słyszał dobre rady.

— Cóż myślisz? — zagadnął Ragis z odrobiną niecierpliwości.

— Zobaczymy! — była lakoniczna odpowiedź.

Stary ramionami ruszył. Nie było co gadać z takim człowiekiem.

Długą jeszcze chwilę szumiąły tylko dęby święte i szeleściły pod stopami paprocie, aż kaleka znowu się odezwał:

— Już ja wiem, co będzie: to, co zawsze z tobą! Krzywda i krzywda. Macocha zrobi, co zechce. Zmarnuje się ojcowizna w rękach faworyta Witolda, zmarnuje się i on, i Hanka — i ty! Znam ja tego, co odchodzi, i tych, co zostają.

— I mnie? — spytał Marek z naciskiem.

— I ciebie! — potwierdził stanowczo stary. — Może nie?

— Nie wiem! — odparł, ramionami ruszając.

— Ot, to posłuchaj! Byłby z ciebie człowiek, żebyś miał

własną żonę i własnego brata. Kto tego nie ma, ten, bracie, opadnie, jak liść jesienny, omśzeje bezużyteczny, jak dziki kamień! I z tobą tak będzie!

Musił to wreszcie posłyszeć Marek, bo raz pierwszy podniósł na towarzysza swe oczy, siwe jak stal, a spokojne jak tonie wód bezdennych.

— Dłaczego? — spytał.

— Bo ci nie własne Skomonty, gdzie przepracowałeś dziecię najlepszych lat, ani żona dla ciebie — Marta Wojnata, i nie brat — Lukasz Gral.

— A wy co mieliście własnego, Rymku?

— Ja? — stary się zamyślił... — Ja miałem w twoim wieku chorągiew nad sobą, szeroki świat i wielką myśl. Rzuciłem wszystko, i choć przyniosłem do domu to drewno tylko i blizny, nie pomieniałbym swej doli na twoją... na waszą teraz!

— To Kazio, dobrze zrobił, że zbiegł?

— Nie dobrze, ale może najrozumniej!

— Zobaczymy! — powtórzył swoje Marek.

Wyszli z lasu na szeroką, uprawną równinę. W dali czerniał dwór nad Dubiszą, ku któremu poszły oczy obu, i w jednej myśli zapewne przyśpieszyli kroku. Czekano tam ich niecierpliwie.

Nie mówili nic więcej. Brama odwieczna, z daszkiem i jakąś sentencją łacińską, wyrytą na szerniałej blasze, z wizerunkiem Bogarodzicy u szczytu, otwarła się pod dłonią Marka.

W domu świeciło jedno tylko okno narożne, szeroko otwarte. Gdy się zbliżyli, doleciał ich gruby głos, recytujący przedśmiertną litanję, a kilka innych głosów, łkaniem przerywanych, odpowiadało chórem.

Odkryli głowy i weszli do wnętrza mrocznych sieni, kierując się blaskiem świecy i szmerem modlitwy.

Noc letnia, gwiazd i róż zapachu pełna, wdzierała się do owego pokoju w rogu domu i dziwiła żółtemu płomykowi śmiertelnej świecy woskowej, co tłała, skwiercząc, na stole około postania... Więcej ona dymu i cieni ruchliwych, niż światła, rzucała na twarz tego, co tam leżał i konał.

Starzec to był suchy i zawiędły, zmieniony tą pierwszą i ostatnią chorobą, a jednak, pomimo cierpienia, spokojny i bardzo pogodny.

Leżał na wznak i słuchał modłów, od czasu do czasu poruszając ustami; oczy miał w półprzymknięte, jeszcze żywe i przytomne; nie spuszczał ich ze ściany, gdzie świecił ryngraf pradziadów, dwie szable i wśród święconych ziół i palm krzyżyk na zblakłej wstążeczce.

W rękach, złożonych na piersiach, trzymał kurczowo koniec łańcuszka, co mu opasywał szyję — medalik święty może.

A ksiądz wciąż się modlił. Derkacze ze dworu głuzyły jego modlitwy i płacz je często przerywał, a chory niekiedy podnosił powieki i obchodził wzrokiem otaczających, jakby szukał kogoś naprzóżno.

Wówczas gasły mu źrenice i kurcz przerywał spokój twarzy, a dłonie jeszcze silniej tuliły do piersi końce łańcuszka.

— Baranku Boży... — zaintonował ksiądz.

Chory trzykroć uderzył się w piersi, obrócił z trudem na bok i spytał:

— Czy jeszcze nie ma Marka z powrotem?

— Jestem! — odparł posępny głos z kąta.

Obejrżeli się wszyscy; a spośród służby klęczącej podniósł się i do ojca przystąpił najstarszy z rodziny, a do rodzica najpodobniejszy, olbrzym jasnowłosy.

Stał naprzeciw chorego i czekał, jak sługa, rozkazu. Twarz jego sucha, ostra, jak brąz twarda i jak brąz opalona, odcinała się ponuro w chyboliwym świetle gromnicy. Oczy wygładały głęboko spod czaszki i silnych brwi, wąskie usta zacinąca jeszcze silniej żalność owa straszna, co nigdy na wierzchu nie wybucha.

Stary zmierzzył go wzrokiem i spytał spokojnie:

— Opasy dobrze sprzedajesz?

— Po sto talarów sztuka.

Sięgnął do kieszeni po pieniądze snadź, ale chory głową potrząsnął.

— Zostaw! To nie nasze. Do poświęckiej kasy złożysz. To

Orwidów grosz! Dobrze, żeś wrócił! Bałem się ciebie nie doczekać, ale Bóg łaskaw!

Umilkł, jakby myśli zbierał, i zaczął powoli:

— Nie pisali moi ojcowie nigdy testamentu — bo i po co? Uczciwy uszanuje ojcowskie słowo, a zły i pismo zburzy! Starym obyczajem i ja was chcę za życia podzielić ustną wolą. Ziemi kawał jest świętej i grosza trochę. Abyście nie skarżyli mnie kiedy, żem kogo skrzywdził — sami powiedzcie, czego chcecie z ojcowizny? Ja rozsądzę! Mówcie dzieci!

Zapanowało milczenie. Marek oczy spuścił, namyślał się po swojemu nad każdym słowem i czekał na tamtych — na troje, co się skupiło bliżej posłania: dwoje przyrodnich i macocha. On stał dalej i sam.

— Mówcie, dzieci, mnie pilno kończyć! — powtórzył chory.

Wówczas z klęczek przysunęła się do rąk jego szczupła postać dziewczynki może osiemnastoletniej, bardzo bladej i mizernej. Podniosła oczy swe czarne, cudne wyrazem myśli wielkiej i szlachetnej, i wyszeptala:

Papo, i ja mogę o co poprosić?

— A jakże, Hanko, możesz. Mów śmiało!

— Papo! ja nie chcę ani ziemi, ani grosza — nic, nic, tylko słowa waszego, żeby mnie uczyć się nie bronili! Ja im wszystko oddam za swobodę i pracę, którą kocham. Wszystko!...

— Hanko!.. — upominała matka z cicha.

Dziewczyna wzdrygnęła się i, nabierając otuchy, mówiła coraz goręcej:

— Ja wiem, mamu, to nie wypada, niestosowne; mama chce mnie zatrzymać w domu, a ja nie mogę! Papo! na Boga się klęę, że nie nadużyję swobody, tylko mi ją dajcie, bo... bo...

Zabrakło jej tchu.

— Dokończ! — rzekł chory.

— Bo żyć nie potrafię bez nauki i woli — i nie dopuście, papo, żebym krałda to, jak głodny — chleb.

Sucha dłoń starca spoczęła na rozpalonej głowie, jakby ją uspokoić pragnął, ale nic nie odrzekł na prośbę, tylko, dalej sięgając wzrokiem, spytał:

— Na ciebie kolej, Witoldzie. Chodź bliżej!

Ze zmroku wysunął się chłopak dwudziestoletni, uderzająco ładny, smukły, odziany z wyszukaną elegancją, i nieśmiało przystąpił bliżej.

— Ja, papo, sam nie wiem — wybąkał — może da Bóg, papo wyzdrowieje.

— Ty nie doktor, a mnie pociech nie trzeba. Czego chcesz na swój dział?

Chłopak spojrzał na matkę, na księdza i, zachęcony przyjaznym skinieniem, odparł już śmiejąc:

— Jabym chciał gospodarować z mamą w Skomontach, jeśli papo łaska.

— Tak?... — zamruczał Czertwan.

I podnosząc oczy, spytał:

— A ty, Marku?

Olbrzym snadź się już namyślił, bo odparł natychmiast:

— Dajcie mi, ojczy, nieboszczki matki zagrodę w Sandwielach i Dewaję.

— Na swój chleb chcesz iść i żenić się pewnie także? — spytał ojciec pośpiesznie.

— Już mi czas! — odrzekł krótko syn.

Stary sposępniał, skrzywił się, jakby go coś zabolalo, i chwilę czekał, czy się kto jeszcze nie ozwie.

— A ty? — zagadnął, do żony się zwracając.

Zaszlochała okropnie.

— Mnie nic nie trzeba, gdy ciebie nie stanie. Kąt w Skomontach do śmierci przy Witoldzie! Co wdowie miłe? Jeden grób!

Znowu pomilczał trochę i znowu westchnął.

— Zapomnieliście wszyscy — zaczął smutnie — że tu brak jednego, że troje dzieci miałaś.

Kobieta wstała z klęczek i przerwała mu gwałtownie:

— Zabroniłeś go wspominać. Przekląłeś!

— Nie! — zaprzeczył, a oko mu strzeliło iskrami, — choć przeklęty każdy, co ziemię rodzoną rzuca, gdy mu ciężko! Pamiętajcie: przeklęty! Wstyd on mi zrobił i hańbę, ale to

moje dziecko! Zachowałem mu tę ziemię i pamięć w sercu, choć smutną. Może on wróci — czekajcie! I darujcie, gdy do was przyjdzie, jak ja darowuję.

Znowu zamilkł, myśli zbierał, zapatrżony w płomyk gromnicy.

— Daj tu plany, Marku! — rzekł.

Syn wyszedł, wrócił po chwili i żądany przedmiot rozwinął przed nim, a chory trochę się podniósł i, chudym palcem wodząc po papierze, coś pokazywał i mówił:

— Skomonty po ojcach wziętem i starym obyczajem najmłodszemu oddaję. Za rok, z dniem pełnoletności, Witold je obejmie, a tymczasem matka nimi zarządzi i przy nim do śmierci zostanie.

Chłopak obejrzał się znów na matkę i spytał z cicha:

— To Marek już tu nie będzie gospodarzyć?

— Kiedy mówię, że matka, to nie Marek! Słyszałem, że długi masz — to hańba i wstyd! Słyszałem, że nie uczysz się — to nikkzemność, i że hulasz, trwoniąc czas i zdrowie — to podłość! Jeśli takim zostaniesz, odstąpi cię błogosławieństwo boże i moje. Pamiętaj!

Witold oczy spuścił, poczerwieniał i milczał, a chory dalej wskazywał i mówił:

— A drugi folwark, Ejniki, to Kazia spuścizna, gdy wróci. I to ci, żono, oddaję w opiekę. Niech znajdzie kąt własny i czysty, i tę ziemię, którą opuścił, pracującą dla niego! Pamiętaj, nie skrzywdź go i oddaj moje błogosławieństwo, clyhaby wiary i mowy zapomniiał... Wtedy nie... nie... nie błogosław!..

— Bóg go uchowa i święty jego patron! — wtrącił ksiądz.

I znowu Czertwan coś palcem oznaczył i do żony zwrócony rzekł:

— A to, Budrajcie, twoje wiano, Hanki posag. Nie taka ona, jak inne dziewczęta, ale przeto tę różnicę trza w niej uszanować, bo z dębu nie zrobisz obřęczy i tylko połamiesz. Pilnuj jej, ale daj swobodę w tym, co godziwe; niech nie zbraknie chleba i wygod, a drogą, którą obierze, niech idzie. Nauki chce, a nauka nie grzech nikomu!

Ze łkaniem rzuciła się dziewczynka do rąk ojcowskich.

Krzyżyk jej naznaczył nad czołem i mówił łagodnie:

— Pamiętaj, dziecko: więcę uchowaj, pamiętaj! Nie bądź uczoną lepiej, ale rozumną! Rozumiesz? Bym nie pożałował w grobie, żem ci uczynił wolę!

Rękę położyła na piersi i powtarzała cała przejęta:

— Nie, nie, nie!

Marek wciąż plan trzymał i patrzył spokojnie, jak po kawałku znikąca ojcowizna, i patrzył jeszcze, gdy nic nie zostało na jego dział, nic z tej ziemi, którą od dziesięciu lat w zastępstwie ojca uprawiał w pocie czoła!

Każdy dostał część: i utracjusz, i zbieg — dla niego nie było ani piędzi wśród tych łąków, i łąk, i lasów. I słusznie: on tylko prosił o wiano matki, szlachcianki z zaścianka, i lasu kawał w widłach potoku i Dubissy. Ojciec i jego próśby wysłuchał, jak tamtych.

— Złóż plany, Marku, rozdałem wszystko — rzekł wreszcie stary. — Prosiłeś o własny kawał ziemi i nienależność. Czas ci o rodzinie własnej pomyśleć. Prawda! Oni wszyscy odeszli z tym, co chcieli, i tobie się to samo należy! Może słuszniej jeszcze, boś zapracował!

Przymknął oczy i leżał chwilę zamyślony, bez ruchu. Nagle poruszył się gwałtownie i mówić zaczął gorąco, przesywając syna wzrokiem:

— A któż mnie zastąpi? Kto? Nie miałem ja nigdy tej swobody i gościem byłem pod własnym dachem. Obce ręce uprawiały moją rolę, póki ty nie dorosłeś. Ja całe życie sługą byłem i ekonomem, a teraz kto weźmie moją służbę?...

Zamilkł, i Marek milczał, tylko brwi zmarszczył, usta zagryzł, buntowało mu się coś w duszy.

Stary patrzył nań: odgadł burzę, co wzbierała w skrytej duszy, i mówić zaczął wolniej, ciszej, jak o czymś świętym a tajemniczym:

— Minęło wiele lat od mojej młodości. Mówią jedni, że inny teraz świat, inni ludzie, inne życie. Nieprawda! Świat ten sam i ludzie, tylko się stępilli, jak ot te moje stare szabliska,

od ciągłego rąbania a rąbania po kamieniu! Szczerba nie wstyd, byle rdzy nie było, bo rdza zje najlepszą stal, a szczerbę odczysz w potrzebie!

Za owych dawnych czasów wielkie burze chodziły po świecie i chmury ołowiane, a lata suszy były, więc lud czekał z tych chmur deszczu i rosy, ale Bóg inaczej chciał. Nie deszcz przyszedł, ale grady i pioruny na ludzi i mienia. I wszystko się skończyło!...

Piotr Orwid bratem mi był: z jego łaski ja, chudopacholek, do szkół chodziłem, razem służyliśmy potem jeszcze większemu, niż my wszyscy, panu!

Grom go trafił u mego boku daleko stąd. Wróciłem sam nad Dubissę naszą, zastałem zgliszczca w Skomontach, a w Poświęciu u niego dziecko sierotę!

I jakim mu przysiągł w chwili zgonu, stanąłem za ojca sierocie, sługą wdowie, opiekunem ich dobra.

Trzydzieści lat minęło. Rany się pozabliźniały, ból w głębi poszedł i porósł twardą skorupą. Wyhodowałem chłopca na człowieka! Pamiętacie, księżu dobrodzieju, owe czasy i Kazimierza Orwida? Takich już niema teraz! Ha! Szczerby, rdza! Wiadomo! Nad dziecko własne miłszym mi był, żenić się miał, no i znowu te burze przyszły, Boże skaranie! I jak dawniej, zgrabę niosły dla wielu i dla niego!

Cudowna patronko nasza! Tyle łez, tyle nędzy! Dwa razy przebyłem za żywota to samo! Poszedł i on, i nie wrócił!

Raz go tylko ujrzałem na drodze: na piersi mi upadł i zapłakał, i na krew ojcowską zaklął, żebym o nim pamiętał. Narzeczona poszła za nim! Rzucili mi mienie, i dobro, i ziemię, jak święty depozyt sierot, i oto lat tyle, jak nie było o nich wieści.

Głos mu cichł i opadał, szeptem dokończył, z przejmującym żalem:

— ...I nie zobaczą już ich moje oczy, nie zwrócę im tego, com taką pracą zachował, już nie! Może czekają tam na mój raport?... Tyle lat!...

Urwał, wyczerpany ostatecznie, i zamknął oczy, a po twarzy snuły mu się żałobne cienie.

Marek głowę zwiesił i wszyscy zadumali się smutnie, oprócz Witolda, który opodal na fotelu usiadł i ziewał.

Pani Czertwanowa pierwsza przyszła do słowa:

— Żeby żyli, daliby wiedzieć o sobie! — rzekła, a widząc, że mąż się nie rusza, spojrzała nań przelękła.

Piersi chorego podnosił ciężki oddech, hucząc jak w próżni. Pochyliła się nad nim, poprawiła poduszki, do ust podała wina trochę. Wypił, ale oczu nie rozwarł; musiał go ból szarpać, bo chwilami krzywiły się usta i faldowało żołądło.

Człowieczek mały, bezmiernie otyły, w okularach na ma-
lutkim nosku, wychylił się z kąta i, sapiąc, mrużąc oczy, wygłosił:

— Sądowa dawność minęła! Należy wezwać przez *guberskie wiadomości* sukcesorów, a jak się nie zgłoszą...

Czertwana jakby kto w twarz uderzył. Zadrżał, ostatnia krew nabiegła twarz i czoło, spojrzał strasznie na mówiącego...

— Dla sumienia nie ma dawności, panie Jazwigo; mnie prawniczych sposobów nie trzeba, ja mam tu prawo — uderzył się w pierś — i wedle niego całe życie postępowałem! Uchowałem spuściznę przez te ciężkich lat tyle nie dla obcych, ale dla niego, lub dzieci!

Jurysta brwi podniósł, pogładził monumentalną łysinę, przymrużył jeszcze więcej świdrujące oczki.

— No, a jak oni z kretelem przepadli? I oni, i dzieci? He?...

— Jeśli ich *nie ma* — powtórzył chory z namysłem — to za dziesięć lat od mej śmierci ten, co mnie zastąpi, ziemię rozda ludziom, co dla niej pracowali, włościanom sąsiednich trzech wiosek, na równe części, a kapitały, com złożył, odda na dobrą sprawę i mszę świętą ufunduje w Ugianach za dusze nieżyjących. Ale tak nie będzie: oni wrócą, prędko może, zobaczycie!...

Oczy na milczącego Marka podniósł i rzekł:

— Wezmiesz sobie, synu, matczyną zagrodę i Dewaję, zastużyłeś na nie; ale nie pójdziesz do własnej roli i pod swoją

strzechę, nie będziesz dla siebie pracować. Nie na tom ja ciebie hodowałem! Do Połowicia pójdziesz, tamtą spuściznę świętą wezmiesz po mnie, i jakem ja czynił i żył, tak tobie nakazuję!

Olbrzym nic nie odrzekł, a ojciec, snadź przywykły do jego mrukliwości, nie pytał o zgodę, tylko ów łańcuszek zdjął z siebie drżącymi rękoma, rozwiązał woreczek jedwabny, co na nim wisiał, i dobył kluczyk niewielki i połowę starego sygnetu z herbem w pół zatartym.

— To klucz od biura, a to znak, pamiątka. Drugą połowę pierścienia Kazimierz Orwid wziął ze sobą, odchodząc. W biurku plenipotencję znajdziesz na swe imię i wszelkie wskazówki. Resztę pan Jazwigo ci dopowie, bo mi czasu brak i sił. Weź to, Marku, niech umrę spokojny!

Młody jeszcze stał jak wryty. Ręce jego muskularne, opalone, na których dziwnie odbijała złota obrączka, zaciskały kurczowo poręcz łóżka. Błady był jak ściana, przez wargi błyskały zacięte zęby.

Czuć było, że mu wulkan kotłował w duszy, że wyłby, gdyby przemówił.

Macocha poruszyła się niecierpliwie.

— Idźże, kiedy ojciec każe! — zawołała, ale stary spojrzał na nią surowo.

— Daj pokój. Nie zawsze ten dotrzyma, kto godzi się bez namysłu. Słuchaj, Marku, mnie pilno kończyć, a ta mi została ostatnia troska, jak kamień na duszy. Zdejm mi ją, a szczęście ci to przyniesie. Chodź!

Marek, ociągając się, przystąpił. Ojciec łańcuszek zarzucił mu na szyję i, już uspokojony, pełnym głosem mówił:

— Jak pies wierny będziesz i jak kur czujny, i nie dasz nikomu wziąć Orwidów dobra, chyba kto ci przyniesie drugą połowę tego sygnetu. Taka była umowa z nimi. Zapamiętasz? Ja przysiągłem, a ty dochowasz!

Ręce na głowie mu złożył i dodał uroczystie:

— Duszę ci moją oddaję i świętą myśl, i wiarę! Mało ty mówisz i nikt cię nie zna; możesz zły, to niech cię me błogosławieństwo zmieni, a możesz dobry, to niech ci pragnienia

ziści. Najstarszy i najrozumniejszy z nich wszystkich, a oni boją się ciebie. Nie krzywdź ich i nie myśl o sobie. Twoja część w Poświęciu, za rzeką. Pamiętaj! Daj słowo!...

Chwilę głos nie chciał wyjść z gardła biedaka, potem wyrwało się niewyraźnie:

— Kazaliście, to dotrzymam!...

Chory odetchnął, jak wyzwolony, głowę syna przycisnął do piersi; na płowe włosy młodego spadło łez parę.

— Niech ci Bóg płaci! — wyszeptał — i zaraz potem, jakby napędzany niewidzialną dłońią do pośpiechu, rzekł:

— Marku, podaj księdzu szkatułkę!

Po chwili do rąk plebana syn podał sporą, żelazem krytą, skrzynkę. Witold wstał z fotelu i na palcach podszedł bliżej za opiekuńcze plecy matki i siostry. Chory spod poduszki wyjął klucz od skarba i mówił do księdza coraz wolniej:

— Siedem części tam jest, ojcze, po pięć tysięcy rubłów każdej. Pięć dla dzieci czworga i dla żony, a szóstą rozdzielcie między sługi nasze, a siódmą oddajcie do Ugian, cudownej Pani, pod której opiekę oddałem siebie za młodu. Niech z pracy mojej przyjmie ofiarę, jako mnie nigdy nie opuściła.

Pleban liczył i po kolei wręczał im spuściznę. Część Kazimierza wzięła matka, ostatni wziął Marek i pustą skrzynkę na bok usunął. Nie on ją już będzie napełniał jak dotąd!

Wzrok chorego szedł po nich coraz bledszy.

— To i wszystko! — powtarzał — skończyłem, skończyłem!...

Rękę do błogosławieństwa podniósł.

— Daj wam Boże dołę, i spokój, i swobodę, bo to i całe szczęście na ziemi! Żyćcie w zgodzie i razem — będziecie silni!

Pokłękli wszyscy, a on nad pochylonymi głowami krzyż naznaczył i opadł ciężko na posłanie.

Chwilę odpoczywał nieruchomy, strasznie błądy, a potem, tknięty swą największą troską oczy wlepił w stojącego naprzeciw Marka.

— Pamiętaj, żeś ty Orwidów sługa, pamiętaj! — wyszeptał.

— Kazaliście, będę! — powtórzył swoje olbrzym.

Wtem z mroku wysunął się Rymko Ragis i, na kiju wsparty, stanął obok Marka.

— A mnie kto w dziale weźmie, Czertwanie? — rzekł na pół szyderczo — zapiszcie komu w inwentarzu, by się nie pobili o mnie!

Na to raz pierwszy ożywiła się ponura twarz Marka, i prędko, jakby się lękał, że go wyprzedzą, rzekł:

— Wy ze mną pójdziecie, Rymko Ragis!

— Słusznie — rzekł chory — idźcie z nim, kolego, do jego zagrody, by się nie troskał o swoje! A ty, Witoldzie, ciotkę Annę do śmierci utrzymaj i sług starych nie wypędzaj! Stary sługa — przyjaciel!

Chciał coś jeszcze mówić, ale już nie zdołał, położył się na wznak, oczy zamknął, rękoma przyciskał bolące piersi.

Chwilami jak martwy był, bez głosu, i tchu, i ruchu, aż go cierpienie nie chwyciło: wówczas stękał, jęczał, chrapał; to znowu, jakby modlitwą chciał zgłuszyć ból, szeptał niewyraźnie wciąż jeden psalm, urywając ciągle: *Judica me, Deus, et discerne causam meam!*

Ksiądz do rąk podał mu gromnicę i monotonnym, grubym głosem zaczął odmawiać psalmy. Witold wrócił na swój fotel, żona oparła łokcie na brzegu łóżka, wyczerpana zupełnie, dziewczyna szlochala skulona na ziemi.

Tylko Marek stał nieporuszony, ze zmarszczką na czole i zaciętymi ustami, patrzył na twarz ojca.

A twarz ta coraz się przeciągała, żółkła, z piersi dobywało się mozolnie tchnienie, w którym bystre ucho rozróżnić mogło coraz niewyraźniej: *Judica me, Deus, et discerne causam meam...*

Uroczyście cisza zaległa pokój... Była to agonja, przedśmieszna wieczności!

W oknie pobladły gwiazdy i uderzała woń rosy porannej, padającej na kwitnące róże na dziedzińcu. Krótka noc letnia dobiegała kresu.

Aż wreszcie, gdy zapały trzeciej kury, Czertwan oczy rozwarł szeroko, na ryngraf je podniósł i westchnął. Gromnica

wysunęła mu się z ręki i zgasła, powstał gwar i ruch okropny.

Porwali się wszyscy. Stary oczy miał otwarte, lecz śmiertelnych pełne, rysy dziwnie pogodne.

— Jak żył, tak umarł! — zamruczał Ragis, ocierając wąsy i powieki.

— O Jezu! O Jezu! — ryczała żona, tłukąc czołem o brzeg łóżka.

— Światła, Józef! — rzucił swój pierwszy rozkaz młody pan Skomontów.

Marek usunął się trochę i w okno spojrział.

— Brzask wiosenny świtał i dzień nadchodził, różowymi smugami zagładając do izby.

Budziły się ptaki po gałęziach, wstawali ludzie, zwierzęta, owady najlichsze, do życia, do pracy, do ruchu, tylko on, starzec, pracowity jak pszczoła, ranny jak skowronek, czujny jak kur, nie wstawał.

Zdał już swą pracę i trud — odpoczywał. Był to dla niego dzień wielkiego święta i wielkiego spokoju!

II.

W tydzień po śmierci Czertwana oryginalny orszak przeciągał ulicą zaścianka Sandwile. Przodem szedł Rymko Ragis z dubeltówką przez plecy i borsuczą torbą przy boku, otoczony półtuzinem psów rozmaitych. Na sznurku prowadził oswojonego lisa, a z zanadru sonej kapoty wyglądały pyszczki srokatych królików. Wędrowna ta menażerja poprzedzała wóz drabiniasty, eskortowany przez ospowatego parobka, a na wozie piętrzyły się dwie skrzynie zielone, parę stołków, jakieś siatki, pęki wyprawnych i niewyprawnych skórek, motyki, garnki, a na szczycie w ogromnej klatce jechał żuraw siwy i kilkanaście sztuk mniejszego ptactwa, krzycząc i świegocąc w niebogłosey.

Za tym wozem szła para wołów chudych, mizerna krowina, kilkoro cieląt, a na końcu Marek Czertwan wiódł za uzdę sędziwą klacz białą, która w Skomontach wozila wodę i drwa.

Tabor zamykał pies bury, nieufnie spoglądający wokoło.

Pomimo roboczego dnia i obojętności żmudzkiej, kto żył, wyległ za wrota, pozdrawiając przybyszów uprzejmie i dziwiąc się mocno.

— Toż to wszystko, co dali Markowi ze Skomontów? — szeptano między sobą.

Jego samego nie śmiano zapytać. Szedł chmurny jak noc; milcząc, uchylał przed znajomymi kapelusza.

Stary Wojnat stał u wrót swej zagrody, ręką oczy przysłonił, popatrzał, a zza jego pleców ciekawie wyglądała Marta.

— W imię Ojca i Syna! A to co? — zakrzyczał.

— Pogorzelcy! — odparł szydersko Ragis, nie zatrzymując się wcale.

— Marek! Co to znaczy? Teatr pokazujesz? Chodźno tu! Młody głową potrząsał.

— Za chwilę przyjdę do was — odparł.

Obok zagrody Wojnata, płotem oddzielona, leżała druga, granicząca już z polami. Przeciwnieństwem była ona pod względem porządku i dobrobytu sąsiedniej. Zamiast parkanu kilka kamieni broniło ją od ulicy, źle osłaniając zagony mizernej gryki i owsa, zasianych w pustym ogródku. Nie było tam wiśni i ulów, z daleka były w oczy odarte budowle, chata bez szyb i dziedzińczyk chwastem porośły.

Był to dział Markowy, matczyna zagroda. Tabor zwrócił się w podwórze, na zwalonej przyźbie usiadł Ragis i, dla dodania sobie rezonu zaczął gwizdać przez zęby. Marek z parobkiem wyładowali wóz, zagnali żałośnie ryczące bydło do pustej obórki, sprzątnęli wóz z drogi.

Dziatwa przyglądała się im z ulicy, ciekawa, zdziwiona. Zajmował ją nadzwyczaj szpak w klatce, który co chwila podlatywał i krzyczał:

— Na zdrowie! Na zdrowie!

— Cicho, błaznie! Nikt nie kicha! — upominał go Ragis, na wielką uciechę dzieci.

— Możesz wracać, Grenis — rzekł wreszcie Marek do parobka, wciskając mu w rękę pieniężny podarek.

Chłop się cofnął, jakby mu węgiel gorący podano i — zamiast iść do dworu — stał i milczał, obracając bicz w rękę.

— Czegoż chcesz? — zagadnął go Ragis.

— Gdzie moje konie, tam i ja się ostanę — odparł po zmudzku.

— Pani kazała ci wracać, to wracaj! — mruknął Marek.

Zmudzin obejrzał się wokoło, na drogę, na niebo, na rzekę, wrócił oczyma do krzywej stajenki, podszedł do niej, zajrzał i pod ścianą się położył.

— Namysli się, to wróci! — rzekł Ragis. — Ja tymczasem założę sobie gniazdo. Biedne bestyjki moje, przechorują jazdę!

Marek pomyślał chwilę, zawahał się i ruszył do Wojnatów. Kończyć trzeba było, bo wieczorem już go czekano w Poświciu.

Wszedł, Marta szła u okna, stary dreptał po izbie. Zamilkli na jego widok.

— Raczylesz wreszcie pokazać się! — wybuchnął Wojnat. — Przez tydzień nie stało ci czasu donieść, co się dzieje. No, gadaj teraz!

— Widać nie było czasu, jeśli nie przyszedłem. Wzrosłem wśród was i przywykłem, ale ojciec dziecku pierwszy. Kilka dni temu w grób go położyliśmy.

— Toż widziałem, byłem na pogrzebie. Ja się pytam, co z sobą robisz teraz?

— Zrobię, jak ojciec kazał, — odparł ponuro.

— No, to gadajże! Co to za komedie z tą zdechliną, coś przyprowadził?

— Ano, co mi dali z domu, to wziąłem!

— Jakto dali? Kilka sztuk, tobie, ze Skomontów? Ojciec nie zostawił woli?

— Zostawił. Ziemię podzielił!

— No jakże? Coś dostał?

— Zagrodę i Dewajte.

— A Skomonty?... Ejniki?... Kapitały?...

— Skomonty Witolda i matki, Ejniki Kaziowe, z kapitałów wypadło każdemu po 5,000 rubli!

— Czemuś nie dochodził swej części dobytku? Jak żebraka cię wyprawili! Jest prawo przecie!

— Ja swarów nie chcę. Nie dali, siłą brać nie będę — rzekł Marek, ruszając ramionami.

Ciemiego! — zaburczał stary i urwał.

Czas jakiś chodził po izbie i sapał, potem zaczął mówić coraz gniewniej:

— Szachraj! Oszukańcy! Znaleźli gamonia i obrali! Skrzywdzili moją krew, na złość mnie. Poczekajcie! Zobaczmy, kto mędrszy! Wypędzili z torbami i śmieją się ze starego

Wojnata! Ja im pokażę! Będzie on pan, a wy hołysz! Przyjdziecie nam prosić! Figa!

Zatrzymał się przed Markiem i, z dumą patrząc na jego atletyczny wzrost, rzekł:

— Twoje ręce, a moja głowa cudów dokażą! Zagrody połączymy w jedno i będziemy pracować. Nie umrę, nim ty ich wszystkich nie pospłacasz i nie zbierzesz fortuny w swoje ręce. Na jesieni cichy ślub z Martą weźmiecie, razem żyć będziemy i patrzeć, jak oni będą szaleć. Rozumiesz? Na dział się nie zgadzaj i płąć im powoli. Życie długie, doczekasz się dobra!

Marek milczał, głowę zwiesił i słuchał. Tak, to było jego marzenie. Marta, praca i ziemia, ziemia ukochana! Może żal i krzywdą szeptały coś o odwecie, a stary i to głaskał, rozdmuchiwał. Machinalnie, może na pokusę cichą, młody w zanadrze wsunął rękę i woreczek z sygnetem przycisnął z taką mocą do piersi, że aż go zabolalo, i długo nie mógł się zdobyć na słowo.

— A co? — spytał Wojnat. — Dodałem ci rezonu? Nie strach ci już rudery?

Było to wezwanie. Marek oczy podniósł na Martę i rzekł przez zęby:

— Strach czy nie, ja w niej nie zostanę, tylko do wieczora.

Stary pobladł, przestraszył się.

— Dlaczegoż to do wieczora?...

— Bo mi ojciec kazał Poświęcia pilnować. Już mnie tam czekają.

Był to grom. Dziewczyna opuściła ręce z robotą i aż zbielała, staremu zaparło dech w piersi. Otworzył usta, wytrzeszczył oczy, oniemiał.

Zapomnieli o przywiązaniu starego Czertwana, o tej kuli przy nodze, którą włókł całe życie, o tej wariacji, jak mówiono! Zdał ją synowi, może zaraził go swą słabością, jak rodzinną chorobą!

Po chwili jednak złowieszczej ciszy, Wojnat wybuchnął:

— Ty? Ty? Do Poświęcia? Znowu za ekonomą daremno! Ty? ty?

— Pójdę? — rzekł krótko Marek, przerywając.

— Pójdziesz? Czego? Czekać na umarłych, jak Czertwan czekał? Zastanów się!...

— Po co się zastanawiać, wuju? Ojciec w grobie i dałem słowo! Pójdę!

— A twoja ziemia? A ja? A Marta? Pomyśl ty o tym!...

— Co tu myśleć? Ziemi Ragis dopatrzy, a wy i Marta... Wola Boża!

— Jakto? Co to?

— Może poczekacie na mnie, jeśli łaska. Może Orwidowie wrócą prędzej niż spodziewani? Czy ja wiem? Ojciec kazał — muszę!

Stary ręce za pas założył i, z gniewu przechodząc w spokojną zaciętość, cedzić zaczął słowo po słowie:

— A to ich sobie czekaj tych swoich Orwidów! I owszem! Wysługuj emeryturę! Ale co nas to nie mieszej do swych planów! Mnie napędza śmierć, nie mam prawa czekać, sił brak! Rąk mi trzeba młodych zaraz i pomocy! Albo zostawaj tu dziś, albo idź na zawsze...

Marek głową potrząsnął.

— Wy wiecie, że nie mogę zostać! Wola wasza — pójdę!

— Z Panem Bogiem — mruknął stary, odwracając się.

Młody podniósł oczy, szukał narzeczonej, ale miejsce u okna było puste, robota leżała porzucona, dziewczyna wyszła się niepostrzeżenie. Sklonił się wujowi i wyszedł. Na podwórzu nie było Marty; okrążył ogródek, brał za klamkę swych drzwi, gdy go doleciało lekkie łkanie pod plotem.

Zadrżał, rozchylił gąszcz wiśniowy sąsiedniej zagrody i zajrzał.

Dziewczyna siedziała skulona na ziemi, fartuszkciem zakryła twarz i płakała rozpacznie.

Długo stał i patrzył na tę boleść, nim się zebrał na słowo.

— Marto, nie płacz! — rzekł z cicha — co to pomoże? Chciałem się z tobą pożegnać...

— Porwała się z ziemi gwałtownie, zaczerwieniona od łez i wzruszenia.

— Nie słuchaj dziada! — zawołała — jemu jedno: ty, czy inny, byle zdrów i młody! Niech szuka rąk i pomocy, ale nie męża dla mnie! Trzeba ci iść, och Boże mój!... Strach pomyśleć! Ale czy wrócisz za rok, czy za dwa, czy za sto, ja, póki życia — twoja! Na co chcesz, przysięgnę ci!

— Nie przysięgaj, ale dotrzyмай! — odparł poważnie. — Bóg słyszy! Ja zawsze jednak! Ty wiesz!

— Zobaczysz! — szepnęła z naciskiem — że i ja taka! Ty, albo żaden!

Trzymali się za ręce i staliby tak długo, osłonięci gęstwiną, gdyby nie ruch w ruderze i głos Ragisa za oknem. Swoim zwyczajem gadał z menażerią.

Marek uściśnął dłonie dziewczyny i cofnął się. Gałęzie zajęły zwykle miejsce, oddzieliły znowu zielonym murem dwa ogrody, nie zostało ani szczeliny, ani znaku, chyba w młodych sercach na dzień trochę gorzkiego wesela.

Ragis nie tracił czasu. Rudery swej nie poznał Marek. Stary ją uprzętnął, okurzył, na pustych ścianach rozwiesił broń, trofea myśliwskie i « Życie św. Genowefy » w kilkunastu jaskrawych obrazkach; sprzęty zajęły puste kąty, a w dwóch rogach umieścił dwa tapczany na postanie.

Zwierzęta oglądały nowe miejsce, piszcząc i skomląc. Gospodarz rozpakowywał skrzynie, prawiąc im moralne sentencje:

— A co? Zjadłeś harbuza? — spytał wchodzącego.

— Od kogo?

— Ano od starego i dziewczyny!

— Stary nie jedno z dziewczyną! — odmruknął Marek, otwierając swój tłumok.

— A wiesz, że Grenis uciekł z końmi?

— Uciekł?

— Widziałem przez okno, jak je wyprowadził, siadł i wyjechał! Chciałem łapać, ale potem złość mnie wzięła! Zabrali tyle, niech ich i ta reszta udławi!

— Dobrzeście zrobili! Znajdziemy i parobka, i konie za pieniądze.

Zgiął się nad skrzynią i zamilkł.

Ragis głową pokiwał, usiadł na zydlu i fajkę zapalił.

— Ot się i stało, co ci prorokowałem! — zaczął smutno. — Krzywda i krzywda! Było ci po co tyle lat pracować! Co się ostało? Jak z łodzi rozbitej kawał spróchniałej deski. I znowu odchodzisz?...

Marek milczał uparcie. Powoli dobywał ze skrzyni swe bagactwa i rozmieszczał je po ścianach i stole. Zakrył posłanie. Zapomnieć chciał, że on tu gościem tylko do zmroku.

— Czego to ludzie nie zrobią? — mówił dalej stary. — Czertwan był sprawiedliwy i twardy, no, i jego osiodłali, wodzili na sznurku! Ot, chyba że lepiej na świecie być złym, niż dobrym!

— Nie mówcie nic na ojca! — odparł Marek. — Zrobił, jak chcieli! Oni myśleli źle, a on zrobił dobrze!

— Bo co? — zagadnął Rymko ciekawie.

Młody się wyprostował i — jak zwykle — namyślał chwilę nad odpowiedzią.

Był to nałóg charakteru.

Przez chwilę oczyma spoczął na ścianie, nad swym tapczanem.

Tam, pod świętym obrazkiem, wisiał z blachy czarnej wycięty rycerz konny, z podwójnym krzyżem na tarczy, z mieczem wzniesionym w prawicy. Na niego patrzył Marek i wyrzekł powoli:

— Nie dla siebie ja pracowałem, i znosiłem i milczałem.

— To dla kogoż? Dla Wojnatów, czy Witolda?

— Dla tego! — zamruczał, głową ścianę wskazując.

Ragisowi zaświeciły siwe oczki, i wąsiki pokręcił, ale jakby nie rozumiał, mówił dalej:

— Skomonty za rok przejdą w cudze ręce. Witold zje ojcowiznę jak bekasa! Młode zęby i łakome. Kazio nie wróci, a jeśli i wróci, to sprzeda Ejniki. Hanka zmarnieje z nauki i straci Budrajcie! Zginie wszystko!

Marek podniósł głowę. Odrzucił włosy z czoła i dłonią za pierś się chwycił, jakby go tam w głębi zabołało coś okropnie,

i znowu po namyśle wymówił, już nie cicho, ale pełnym głosem i z dziką energią:

— Zginie? Zginie, powiadacie? — Ej, ojczy, w ten dzień zguby nie stanie chyba na ziemi mnie i Dewajtisa mojego!

Kaleka patrzył i słuchał. Od dziecka znał tego człowieka, żyli razem, a nigdy go takim nie widział. Jak surma bojowa, zabrzmiał jego głos pośpyny, pioruny strzeliły z zimnych oczu.

Słońce zajrzało w cienie izdebki i jeden promyk ozłocilił czarnego rycerza na ścianie i jasnowłosego żmudzina. I raz pierwszy zauważył Ragis, że chrześniak jego miał takie same surowe i zacięte rysy, jakby jeździec żelazny bratem mu był, czy ojcem, i na boje iść mieli razem.

Zdjęła go cześć jakaś niebywała i długo milczał wpatrzony w tych dwóch, i sam nie wiedział, który mu był większym w tej chwili.

Marek pierwszy się opamiętał, zląkł się wybuchu, poczerwieniał, obejrzał się, i począł majstrować około swej strzelby. Promyk zgasł.

— I cóż ty im zaradzisz? Nie masz czasu i prawa iść im z pomocą — zagał rozmowę stary wojak.

To oni przyjdą do mnie! — była niewyraźna odpowiedź.

— Przyjdą, żebyś się podpisał na dziale, i musisz!

— Nie muszę, jak nie chcę!

— A to chyba! Masz sens!

Młody skończył swą robotę, siadł u okna, dobył z kieszeni stary pugilares i na skrawku papieru zaczął rachować. Czasem oczy podnosił i smutno spoglądał na słońce. Zstępowało z południa, wzywało go do odwrotu.

Zaczęli rozmawiać o swych niedostatkach. Brakło wszystkiego, chleba nawet. Budynki prosily strzech, ziemia uprawy, ogród płotów, chata szyb i gruntownej reparacji. Po skończonym obrachunku z kapitału połowa ledwie zostawała: marna suma, którą Marek schował napowrót do kieszeni na spłacenie kaprysów Witolda i powrót do całej ojcowizny.

Ragis zgarnął pieniądze, uśmiechając się żartobliwie.

— No, teraz ja tu niby pan. Kontrolować ostro nie będziesz?

— Może raz na kwartał zajrzę do was!...

— To dobrze! Pokażę ci, co umiem! Zobaczysz!

Młody głową skinął. Nic mu nie mogło wrócić swobody i ochoty.

Zgarbił się, ręce założył i w milczeniu wyglądał okienkiem na białawą grykę i owies nikły w ogrodzie. Mógł już iść do Poświcia, ale się ociągał — myślał, że nieprędko spocznie u siebie, we własnej chacie.

Ragis się krzątał, postukując drewnianą nogą, wychodził i wracał — czuł, że nie czas było drażnić utyskiwaniem biedaka, więc mu dał spokój. I nikt ich też nie odwiedzał z zaścianka. Przyjaciela Grala nie było w domu, a Wojnat nie żartował w gniewie. Smutne to było gospodarstwo.

Wieczór nadchodził; parę ukośnych smug czerwieni zajrzało w Markowe oczy, a on jakby zrozumiał to hasło — wstał, strzelbę zarzucił na plecy, wziął kapelusz.

— Trza mi już iść! Zostańcie zdrowi! — rzekł do przyjaciela.

Kapelusz wcisnął na oczy i wyszedł na podwórze.

— Chodź, Margas! — zawołał burego psa.

— Poczekaj; odprowadzę cię do rzeki! — krzyknął Ragis za nim. A to co? — dodał, spoglądając w ulicę.

Drogą jechał Grenis konno, drugiego konia prowadząc luzem, zawrócił w podwórze.

— A ty skąd? — zagadnął Marek.

— A z paszy — odparł parobek.

— Toś nie był w Skomontach?

— Juści, że nie byłem! A czego? Przy koniach siedziałem, bo niby święto. A jutro to nam robotę pokażecie.

— Przecież we dworze służysz?

— Ja przy koniach służyłem. Nic na tom je paś, by drugi poniewierał! Czy obroku dacie, panie?

— Dam, jak wrócę! — odparł Ragis. — Pilnujże zagrody tymczasem!

— A juści! Co mam innego robić? Paniczowe konie i ja! Ragis uśmiechnął się zadowolony.

— To mi drab setny! Posłuszny i głupi!

Marek pod okna patrzył w okna Wojnatów i milczał. Między wiśniami mignęła krasna chustka Marty, obejrzał się za nią raz i drugi i przyspieszył kroku. Było to jego ostatnie pożegnanie.

Minęli zaścianek i znikli w zmroku. Jak przed tygodniem szli ku dąbrowie, lecz już nie ku Skomontom, ale w prawo, na huk rzeki.

Rymko Ragis półgłosem zaczął odmawiać pacierze; wieczór stawał się coraz cichszym i spokojniejszym. W ciszy tej Marek czegoś słuchał, podnosząc często głowę i przystając. Coraz bliżej, coraz wyraźniej ogarniała idących głucha, tajemnicza melodia natury ciemnego boru!

Młody słuchał, jak słuchamy ukochanego głosu po latach niewidzenia, jak łowimy chciwie cudną pieśń o wielkich bohaterach.

Coś go ciągnęło do tych szeptów drzewnych, do tej czarnej gąszczy!

— Słyszycie, jak Dewajtis szumi? — ozwał się z cicha do kaleki.

— Ot, gadanie! — ruszył stary ramionami. — Jakby on inaczej szumił niż wszystkie. To nawet nie dąb, ale poświcki młyn terkoce na Dubissie.

— Nie, to on gada na polanie! Posłuchajcie!

— Ah, ty poganinie zakamieniały! Czy ci nie wstyd złe wyzywać taką mową? Chrztu zapomniałeś, czy co, ze swym nabożeństwem do drzewa?

Na tę admonicję Marek umilkł. Dochodzili dąbrowy, olbrzymy zakrywały im niebo, zabiegały drogę, jakby z powitaniem wyciągały ramiona. Zabrała ich puszczą w zazdrosne objęcie.

Zygzakiem, bez śladu, szedł przodem Czertwan, i wciąż nasłuchiwał, jakby z tych szmerów jeden wyróżniał, jakby na wezwanie czyje szedł, coraz głębiej i głębiej.

Aż nagle rozwidniało im nad głową, kawał nieba mignął, i przed idącymi wynurzyła się szeroka polana. Pod stopami grunt się podnosił, — to resztki starodawnych okopów; na boku

czerniał kontur zwałonej na pół baszty, a przed nimi na środku polany stał protoplasta dąbrowy, stary, jak żmudzkie bogi, i zda się, witał przybywającego głuchym, przeciągłym szelestem.

Marek się zatrzymał.

— No i czegoś stajesz? — rzucił Ragis — już późno, a prąd wartki pod poświckim ogrodem. Jeszcze ci się wypadek zdarzyć może z czólnem.

— Spocznijmy chwilkę, ojcie! Zaraz odpłynę.

— No, kiedy tak, to usiądźmy. Moje drewno narowiste, stać nie lubi. Masz tytoń?

Zapalili fajki i długą chwilę tylko siny dym rozbijał się gęstymi kłębami.

— Żle! — zaczął Ragis — Oj, źle! Na co ci przyszło! Drugie dziesięć lat minie na darmo, a potem starość i koniec. Nic nie zdobędziesz i nie posiądziesz, a co masz, stracisz! I na co tak? Tamci nie wrócą?

— Kto wie? — zamruczał Marek.

— Każdy wie. Skądby się wzięli po tylu latach? Spadek, jak miód, wnet go za ścianą mucha poczuje! Oni pomarli!

— Może! Trza czekać?

— Ot głupiś! — stary splunął — Przez to czekanie stracisz Skomonty, Martę, dolę, zdrowie i młodość. Coś ty dobrego miał kiedy w życiu? Na co ci się zdała ta praca i troska od wyrostka, od berbecia już. Nic nie masz, won wypędzili jak przybłądę, i nawet się skarżyć nie umiesz.

— Nie umiem! — potwierdził Marek, wstając — i na co skarga?

Urwał, pomyślał chwilę, objął wzrokiem dębowe konary, i dodał po żmudzku starodawne, typowe przysłowie:

— Czy się stanie, co ma stać, czy nie stanie, Żemajts zawsze zostanie.

Ragis podniósł się także i głową pokręcił.

— Po zbiegu ślad stóp, po pozostałym ślad krwi — zamruczał ponuro.

Po tej zamianie przysłów nie mówili z sobą nic więcej. Przerznęli ukośnie polanę, stromą ścieżką zeszli nad brzeg

rzeki. Łódka czekała, uwiązana u pnia olszyny, przewoźnik drzemał w głębi.

— Bywajcież zdrowi, ojcze Rymko, — rzekł Marek, pochylając się do ręki starego — dziękuję wam za wszystko dobre!

— Z Bogiem, synku, szczęśliwie! — szepnął Ragis głucho.

Młody odwiązał czółno, nie budząc chłopca, i wziął wiosło w ręce.

Po chwili Dubissa porwała drobną łódkę i odrzuciła ją o kilka sążni od brzegu. Stary oparł się na kij i patrzył za nią.

Olbrzymia postać wiosłarza czerniała na wodzie. Stał z odkrytą głową i patrzył wyżej głowy Rymki, na szczyty dąbrowy.

Zegnał ją ostatnią myślą i spojrzeniem.

Potem małał, czerniał, jak punkt niewyraźny, aż wreszcie stopił się w zmroku i zniknął.

Kaleka czekał chwil kilka, wreszcie strzelbę zdjął z pleców i wypalił w powietrze.

Po małej przerwie za wodą zaświeciło coś i huk się rozległ, a potem, stłumione szumem rzeki, szczekanie psa. Był to Margas na drugim brzegu, w poświckim parku.

Wygnaniec stanął cało na miejscu przeznaczenia.

Ragis westchnął i zawrócił ku domowi.

— Daj mu Boże wrócić do swego, bo dobry i cierpliw! — wyszeptał.

Dąbrowa szumiała, ale Ragis jej szumu nie rozumiał i nie pojął, że stary dąb z polany odpowiadał mu:

— Powróci, powróci! Tylko czekajcie! Wszystko mija! Powróci, powróci!...

III.

Dąbrowa w widłach Dubissy i Ejni od niepamiętnych czasów była własnością Czertwanów.

Niegdyś, w szarej wieków oddali, świątynia tam stała, zamek jej strzegł.

W świątyni bogini Aleksota była czczona, zamku bronili zajadli wojownicy, w skóry odziani, z toporem w garści, a fanatyzmem w sercu.

Dziś w zamku zostały zaledwie ślady okopów i wałów, zmurszała baszta pod siecią chmielu, studnia bezdenna, wyschła, kurhan, pod który złożono obrońców i legendy. A po świątyni na polance zostały dwa glazy, poryte jakimiś znakami z wyłobieniem w środku — i Dewajtis.

Mińły wieki, zginęli krzyżacy - apostołowie, ucichł Perkun, pogasły święte ognie, mijały rządy, ludzie, szły wojny po wojnach, ruiny po ruinach, zmieniały się prawa i obyczaje — Dewajtis stał.

Stał wśród polanki, obok świętych kamieni, dęby-wnuki z daleka otaczały go kołem, olbrzymi, dotąd krzepki, w koronie z zielonych liści, potężne konary, niby ramiona, wyciągał w górę, jak Kriwe Kriwejte, i wyzywał, zda się, do walki żywioly, i mówił: «Nie wy, ludzie, rzuciliście tu mię, i nie wy, wichry i burze, stąd weźmiecie. Osadził tu mię Bóg i zostaną zostaną, zostaną!...».

Oslaniał sobą polanę, kamienie, ruiny zamczyska...

Czasem cichy słuchał wieści, co mu nosła rzeka, czasem z basztą wspominał stare boje i majestatycznie szumiał; to znów, gdy ludzie do niego przychodzili, po konarach jego szło potężne tchnienie: « Witajcie, witajcie! Jedna ziemia nas zrodziła i zhodowała! Korzeniami ją w uścisk objąłem, a wy ramionami i duszą! Kto nas stąd wyrwie, kto?! ».

Tylko co jesień Dewajtis wspominał bohaterów, co pomarli, sławę, co minęła, ogień, co zagasł, i żalem zdjęty, rozdierał szaty i płakał. Ludzie obcy mówili: dąb traci liście; żmudzini szeptali: Dewajtis oplakuje stare czasy.

I przez długie miesiące olbrzym stał oszroniony, ponury i milczał w ciężkiej żałobie, aż litowała się nad nim bogini, której kamieni pilnował tyle wieków, i odwiedzała go.

Wstępowała na ofiarne głazy, wstrząsała konary, pieściła gałązki, budziła, a spod jej rąk i z białych szat leciały po polanie ciepłe tchnienia, i jasne promyki, i kwiaty.

A Dewajtis strząsał żal z siebie, i jak bohater podnosił głowę, a tu rzeka witała go, a tam stara baszta znowu.

Takie baśnie chodziły z ust do ust po zaściankach i wsiach, i tymi baśniami usypiała matka Marka, gdy z pieluch wyrósł.

Kobieta to była prosta, zacofana, dziecko chaty szlacheckiej, nigdy nie oswoiła się z pozycją pani dworu i obywatelki. Za szeroko jej było w salonie, za zimno i zawsze cudzo!

Mąż dobijał się fortuny, pracował szalenie, zbierał, oszczędził, rósł w możność i potęgę; ona schła, jak polny kwiat w cieplarni.

Cicha była, zalekła, bała się świata, w który weszła, płakała czasem żałośnie, a tak skrycie, jak dzwonki leśne w gęstwinie, żeby nie dokuczyć mężowi, którego ubóstwiała czcując jakąś niewolniczą.

Hardość w niej żyła i łagodność anielska. Gdy odwiedzała brata w Sandwilach, rzeźwiła i weselała: została by tam chętnie, na progu ojcowskiej chaty, z synem na ręku; nie nęcił jej świetny los, którego zazdrościli ludzie, ale nie mówiła nigdy nic smutnego, wracała do Skomontów, śpiewając dziecku, i dalej znosiła bogactwo, jak dopust boży.

Nie umiała wiele, lecz co mogła, dawała synowi. Religia jej składała się z gorącej wiary i tysiąca zabobonów. Uczyla go więc pacierza i mnóstwa formulek od czarów, uroków i diabelskich sztuk. Historia jej była długim szeregiem legend o smokach i bohaterach, dalej o Tatarach i Szwedach opowiadała mu, co zapamiętała. Kolysała go żmudzką pieśnią o Birucie i Kiejstucie; gdy podrósł, zabawiała legendami z bajecznych dziejów kraju.

Obyczajem zaścianka, przędła w długie wieczory zimowe i tkala wzorzyste samodziały, w ogrodzie sadziła nasturcje i nogietki, ubierała się chętnie w jaskrawą spódnicę i kolorowy czepec, w święta po nabożeństwie lubiła gwarzyć ze szlachciankami na cmentarzu i chętnie by wracała piechotą, a nie porządną bryczką z mężem.

Rozrywką jej było pójść na grzyby lub jagody samej z dzieckiem, w bór ciemny, gdzieby jej nikt nie turbował nowinami, polityką, modami i plotkami.

Siadywała na mchu lub pnui i słuchała, co las gwarzy.

A chłopak o lnianych włosach i smętnej twarzyczce siadywał obok i w milczeniu słuchał tej mowy poważnej i tajemniczej.

Do dębu na polanie nabrał z owych czasów czci bałwochwalczej.

Matka nauczyła go, że wódz to był tych, co polegli, broniąc bogini i zamku. Aleksota płakała po nim, więc go bogi w drzewo zakłęty, by żył na sławę owego boju, na pamiątkę aż po kres świata.

Tymczasem bogactwa Czertwana rosły, Skomonty stały się pierwszym w okolicy z dobrobytu i rozległości dworem. Codziennie wyraźniej stawało w myśli pokornej Wojnatówny, że ona nie pani dla tych dóbr, nie żona dla takiego potentata, że ona jedna w jego doli jest szarą plamą, zawadą, dysonansem! Czuli to, i usuwała się w cień, schła, nikła, gryzła się, aż pewnej wiosny zmarła cichutko, jak żyła.

Marek miał wówczas osiem lat i cały skarbiec matczynych wiadomości, jako pokład do charakteru. Na pogrzebie zakończył epokę swego dzieciństwa: odtąd stracił opiekunkę i

serce, wrócił do domu, obszedł kąty, i naraz i jemu zrobiło się w tym pięknym dworze i zimno, i cudzo, i za szeroko.

Nazajutrz uciekł do zaścianka do wuja: chciał tam zostać. I Wojnat rad był sierocie, ale tegoż wieczora przyjechał Czertwan i, po ostrej rozmowie ze szwagrem, zabrał syna. Nie syn to był, ale niewolnik, jak nieboszczka niewolnicą była.

I popłynęły lata. W Skomontach nastąpiła nowa pani, nowy porządek, inne życie. Wniosła ton i szyk, dała Czertwanowi dzieci troje, delikatnych paniątek, skoligaciła go z pięknymi rodami.

Wszystko się zmieniło, i Markowe wspomnienia się zatarły, i obraz matki mu zbladł, tylko dąb na polanie pozostał mu niezmienny, zrazu zaklętym bohaterem, potem powiernikiem, przyjacielem, nareszcie wcieleniem wielkiej myśli.

Dwadzieścia lat upłynęło od chwili jego sieroctwa, kawał czasu, co się włóki powoli, ciężko, mozolnie, żłobiąc mu duszę w pewną twardą formę, aż zastygła zupełnie.

Trzy złote miał iskiereki w życiu, zawsze dąb był ich świadkiem, osłaniał je cieniem swych opiekuńczych gałęzi.

Raz pierwszy na ferie go wzięto ze szkół rossieńskich — odpoczywał w domu.

Do dębu poszedł z powitaniem w śliczny letni ranek i strwożył się.

Samotnię jego odkryli inni, spędzili gwarem świergocące ptactwo i polne koniki.

Było to dwoje dzieci. Chłopak gimnazjasta siedział w trawie z książką na kolanach, a przed nim na ofiarnym głazie stała młodsza dziewczynka, cała w bieli, w wieńcu sasanek na głowie czarnowłosej, i deklamowała po żmudzku hymn starodawny.

Marek znał oboje. Proboszcz ze Skomontów miał brata, profesora w Kownie, jego to były dzieci; odwiedzały one czasem stryjowską plebanię.

Oboje byli zatopieni w poezji. On ręką wybijał miarę i poddawał niekiedy wyrazy, jej zapął rzucił rumieńce na blade

policzki, rozjaśnił wpadłe czarne oczy. Nie zważali na przysza, który opadał w trawie legł i słucał.

Nareszcie hymn się skończył. Ostatnie wiersze mówiła ciszej i ciszej. Stało w nich, że bohaterów na stos złożono, który strawił ciała i rynoszki, i opadał, opadał — aż zgasł!

— Czemuż zniżyłaś głos, Julko? — zagadnął brat, gdy urwała, dysząc.

— Bo oni pomarli, a ogień zagaśł! Smutny twój hymn!

— Nieprawda! Taki stos z wielkich wojowników, to nie koniec i nie smutek. Pozostali biorą z niego po iskrze, zapalają nowe pochodnie i idą na dalsze boje! To hasło do innych czynów, to świetny przykład! Ty tego nie rozumiesz, boś mała i kobieta.

— Doskonale rozumiem! Pozwólcie mi tylko wziąć iskrę, a pójde! Ale kto się tam za tobą dociśnie!

Urwała i szepnęła ciszej:

— Widzisz, Olechno, tam ktoś nas podsłuchuje.

Gimnazjasta się obejrzał i Marek powstał z ziemi. Pozdrowili się.

— Pan na wakacje? I my też! Zaszliśmy tu trochę poczytać. Śliczna ta dąbrowa!

Przystali do siebie. Odtąd codziennie schodzili się pod dębami we troje.

Olechno, entuzjasta, opowiadał bohaterские czyny, deklamował tysiące wierszy; Julka szukała gniazd po zaroślach, zaglądała w nory lisów i borsuków, wchodziła w szczeliny ruin; Marek słucał i marzył w głębi duszy. Spędzili pod Dewajtisem całe wakacje, nigdy niezatarte w pamięci ponurego chłopca.

Następnego roku zastał żałobę u plebana. Olechno przybył pierwsi i przed tygodniem kąpiąc się w Dubissie, utonął. Nie znaleziono nawet zwłok, rzeka je poniosła do Niemna i morza.

Na wieść tę Marek uciekł z domu, i u stóp dębu legł, i długo nie wstał.

Mchy leśne widziały, że płakał pierwszymi łzami rozpacz, a potem na głazie przesiedziało noc całą i dumał. W rozżalonej jego głowie majaczyło, że Olechnę spalono na stosie, który

gaś! i gaś! a on z tego stosu wziął iskrę jedną do zalenia pochodni na nowe boje i dalszą walkę.

Po tej nocy przeleżał na gorączkę parę tygodni; uratowały go zioła ciotki i siły młode. Z pościeli wstał inny: nigdy się odtąd nie zaśmiał i nie rozgniewał i długi czas unikał dąbrowy.

Po owych smutnych wakacjach nie wrócił już do Rossień.

Ojciec się do Poświcia przeniósł, bracia byli dziećmi—brakło w Skomontach silnej dłoni i głowy trzeźwej a praktycznej; do rozległych interesów i gospodarki zostawiono Marka.

I znów potem, po kilku latach prześladowań i swarów macochy i nieustannego trudu, znalazł się u stóp Dewajtisa, zmęczony, osłabły, z rozpaczą tropionego zwierza.

I zdarzyło się właśnie, że Ragis zaszedł na polanę, szukając kuny w sidłach, popatrzył nań i spoczął obok.

— Zapalmy sobie fajeczkę! — zaproponował.

— Dziękuję wam. Już miesiąc nie palę.

— Ohoho! A to dlaczego?

— Ot, dla świętego spokoju.

— Aha! To się wie! Nosek macochy nie znosi złego tytoniu, a ty mieszkasz przez ścianę! Miłe sąsiedztwo, rozstać się nie możesz! To się rozumie!

— A gdzież pójde?

— A do mnie nie łaska? Robaczek ci śmierdzi, czy Igiełko? Larendogry ci trzeba? Wielki pan! Z pałacu ani rusz!

Młody milczał zapatrzony na mrówki w trawie.

— Zawsze swój ze swoim trzymać powinien. Kawaler z kawalerem! To łajdactwo, bestie, czasem dokuczają, ale nie gadają, zawsze wygrana! Zobaczysz, jakem ja to wszystko wyedukował. No, zgoda na kwaterunek?

— Dziękuję, Rymko Ragis!

— No, to na początek idź mi sidła opatrz. Moja łopatka niech odpocznie!

Odtąd z kaleką zawarli wierny sojusz.

Rymko niegdyś sprzedał Czertwanowi ziemi kawał, z warunkiem dożywocia w Skomontach, i od niepamiętnych czasów mieszkał w stancji przy stajni, polując, łowiąc ryby, lecząc

konie i bldło. Nie zależał od nikogo, tylko od swej fantazji. Obcował ze swą oswojoną trzodą. Marek dostał pół stancji i prawo słuchania, ilekroć chciał, nauk moralnych, które wygłaszał stary wiarus swym wychowańcom. Z biegiem czasu nie mogli już żyć bez siebie.

I znowu raz trzeci u stóp dębu znalazł się Marek w ciężkiej walce.

Pewnego dnia poczta mu przyniosła list od Kazimierza z daleka.

Kazimierz lubił przyrodniego brata; choć się mało znali, do niego się odzywał raz pierwszy. Skończył w Rydze wydział handlowy, dostał wyśmienitą posadę i wzywał do siebie każdego, komu w domu było ciężko i ciasno.

Z listem tym długo się nosił Marek i — wedle żądania piszącego — nikomu nie wyjawiał tajemnicy. Był zdecydowany postąpić, jak Kazimierz, bo było tu i ciężko, i ciasno, a nie świeżało nigdzie nic lepszego.

Z roku na rok los ściszał ludzi, jak kleszczami, wzbraniał wszystkiego, co święte, i dobre, i stare, zmuszał do nowego — obcego.

Na Dewajtę ruszył Marek z pożegnaniem druha.

Jesień była dżdżysta i brudna. Dąb żałośnie patrzył na przybyłego i zdało się człowiekowi, że ludzki jęk szedł po konarach, drżał na liściach: «Czego odchodzicie, czego, młodzie? Oh, biada, biada! Zostawiacie mnie, myślicie wrócić, nie, nie wracajcie już. Nie zastaniecie mnie! Ja wami tylko żyję! Już mnie bez was wezmie lada tuman, lada pastuch ognia nałoży i spali!...».

Jak lzy, leciały z niego złote i czerwone liście, stały się na ziemię i obrzucały stojącego, który głowę spuścił, jak winowajca, i szeptał nieśmiało: «Wytrzymać niepodobna, sił nie ma na nierówną walkę!».

I jakby w odpowiedzi zakofysał się starzec, jęk ucichł, a inaczej już szumiały gałęzie: «Siły być muszą i wszystko podobne! Idź w głąb, do moich korzeni: tam, pod czarnoziemem i pod rzeką, opoka była, a ja ją objąłem, wżarłem się w nią,

poćwiertowałem, na proch skruszyłem i na rodzajną ziemię! Idź! Zobacz! Nie gwałćcie Bożych wyroków, nie odchodźcie, bo zmarniejecie, jakbym ja zmarniał, żeby stąd mię wzięto!».

Marek został i zawsze mu wstydem była ta chwila słabości, i była też ostatnią. Na list odpisał, wzywając Kazimierza do powrotu, i z dnia na dzień olbrzymiała mu dusza: jak dąb kruszyła opokę na rodzajną glebę.

W jesieni, po śmierci Czertwana, raz pierwszy ujrzano Marka z tej strony rzeki. O świcie pieszo odwiedził Ragisa, siadł na sędziwą Białkę i ruszył w stronę Skomontów. Pola już były puste, osnute siecią pajęczyn, na znanych mu dobrze łąkach chodziły jakieś modne pługi, krając rolę pod żytni zasiew, a na wzgórkach, dozorując, siedział Niemiec, nowy rządcą Witolda pod niebieskim parasolem, z fajką w zębach, i czytał jakąś książkę.

Mimowoli przystanął. Dawno nie widział swej ziemi; rozejrzał się po niej z rozkoszą. Zdawało mu się, że ptaszki, i trawa, i skiba każda woła nań:

« Witajcie, gospodarzu, witajcie! Gdzieś był, gdyśmy plon niosły z twej pracy? Czemu obcy za ciebie rządzi? Wróć!».

Było to złudzenie tylko, ale on zawsze coś słyszał. Rozumiał przyrodę może dla tego, że z ludźmi mało obcował.

Gdy tak stał zamysłony, nagle z boku ktoś go pozdrowił:

— Dzień dobry, panie Czertwan!

Obejrzał się. Z bocznej ścieżki wchodziła na drogę kobieta młoda, ubrana ciemno, w wielkim, słomianym kapeluszu na hebanowych włosach.

Miała twarz smagłąwą, wyraz otwarty, myślący, lekko szyderczy, na ostrych, delikatnych rysach. W rękę trzymała książkę.

— Pan mnie nie poznał? — zagadnęła, gdy się ościagał z odpowiedzią.

Zeskoczył na ziemię, podał jej swą opaloną prawicę. Po zimnych jego rysach przemknął blask radości.

— Miałbym prawo zapomnieć, bo cztery lata nie była pani u stryja na probostwie. Dzień dobry, panno Julio!

— Rzeczywiście, kawał czasu! Przyjechałam przed tygodniem

z Paryża niespodzianie. Zastałam dużo więcej grobów i, żeby nie spotkanie z panem, wróciłabym bardzo smutna... Pan mi przypomniał młodość i Olechnę!...

Zamilkła na to wspomnienie. Po chwili zaczęła znów ona:

— Pamięta pan nasze wakacje, stary dąb i ów stos z ballady?... Wzięłam z niego iskrę i poszłam bojować w świat... Ciężko było mi okropnie, ale to już minęło, a iskra nie zgasła, zachowałam ją, może nie tak świetną, ale ciepłą! A pan?

Ruszył ramionami.

— Nie ma co opowiadać. Zostaję za panią.

— Ej, nie. Stryj mi już wszystko opowiedział. Znam pana dzieje i szanuję. Dokąd pan jedzie?

— Do Skomontów. Macocha mnie wezwała.

— Dobrze, żem pana spotkała. Właśnie chciałam i ja prosić pana do nas. Mam interes.

Sklonił się w milczeniu.

— Pan wie, że jesteśmy w przyjaźni z Hanką. Jej to sprawa. Nie rozumiem doprawdy, czego oni wszyscy tak się boją pana. Bo ja, to nic a nic.

— Pani zapewne nie ma nic w sumieniu przeciw mnie.

— A oni mają? No, może być, ale chyba nie Hanka.

— Kto miłczy, potakuje.

— Zapewne, ale pan, jako sam małowówny, powinien mieć dla milczących pobłażanie. Zresztą nie spierajmy się. Hanka grzeszy brakiem cywilnej odwagi, to fakt, ale pan pomimo to daruje i pomoże.

— Czegoż jej brak?

— Ależ wszystkiego! Nie widział jej pan dawno?

— Od śmierci ojca.

— Jakto, trzy miesiące? Nigdzie, nawet w kościele?

— Parafia poświęcka za rzeką. Nie miałem czasu przyjechać do siebie.

— No, to pan jej nie pozna. Cień został! Pomimo pozwolenia ojca, matka słyszeć nawet nie chce o jej naukach. Skonfiskowała jej pieniądze, rządzi sama folwarkiem, jej każe pra-

cować w spiżarni i oborze. Nie mogąc sama poradzić, Hanka wezwała mnie na ratunek.

— I cóż pani zrobiła?

— Zbuntowałam stryja, który od czasu, gdy go wyleczyłam z reumatyzmu, zachwycony jest moją medycyną. Tymczasem i jego przedstawienia nie pomogły, pani Czertwanowa nie chce dać pozwolenia.

— A pieniądze oddała? — wtrącił Marek spokojnie.

— Ale broń Boże!

— Uhm... musi mieć rację — zamruczał.

— Dlaczego?

— Bo ich pewnie nie ma.

— No, to co będzie? — zawołała niespokojnie.

Swoim zwyczajem ruszył w milczeniu ramionami.

— A gdzie Hanka? — spytał po chwili namysłu.

— W domu. Panie Czertwan, proszę pana serdecznie o pomoc; ja wiem, że gdy pan zechce, to zrobi!

— Trzeba mi Hanki wiary i zaufania. Niech wybiera między nimi a mną.

— Ona już dawno wybrała, mówiła mi! A ja sędzę, że nie ona jedna myślała przez to lato!

— Pomówię z Hanką! — rzekł.

— Dziękuję panu i żegnam! Zobaczywszy pana, myślałam, że pan się zdrzemnął, tak stałeś nieporuszony! — rzekła uśmiechając się.

— Patrzałem na Niemca! — wytłumaczył.

— A co? Ładnie wygląda z tą książką!

— Ciekawym, co czyta.

— A to ja pana objaśnię, bo i mnie to zajęło i zaczęłam z nim rozmowę. Heinego wertuje!

Oboje ruszyli ramionami i Marek się zasępił.

— No, nie zatrzymuję pana. Szczęśliwej drogi! Może nas pan odwiedzi?

— Dziękuję pani! Przyjadę za parę godzin.

Rozstali się. On konia popędził i prędko minął rządząc i jego parasol.

Co krok spotykał zmiany. Pola poświęcono płodozmiennem w szachownicę, w wysadzie wycięto dużo starych drzew dla szerszego widoku, zburzono starą bramę emerytkę. Miejsce jej zajęła nowa, zgrabna, biało malowana, ozdobiona wielkim herbem na blasze; obrazek Bogarodzicy usunięto i ową sentencję starodawną, którą sylabizował jako pierwszą próbę sztuki czytania, a którą mu potem p'eban wytłumaczył:

« *Sub Tuum praesidium confugimus Sancta Dei Genitrix* ».

I starej stajni nie było, i mieszkanie Ragisa leżało w ruinie. Na tym miejscu tłum robotników Łotyszów stawiał nową mурowaną budowlę.

Pierwszą osobą, którą Marek ujrzał, była staruszka, sucha i trochę przygarbiona, szukająca czegoś pilnie na trawniku przed domem.

Podniosła się żywo i szła ku niemu, z daleka kiwając głową.

Przywiązał klacz i z odkrytą głową zbliżył się do niej.

— Jakże cioci zdrowie? — spytał i chciał pocałować w rękę, ale ją usunęła przestraszona, spoglądając trwożnie w okna domu.

— Dziękuję, Marku, dziękuję! A tobie jak się powodzi? Za rzeką mieszkasz, a mnie się zdaje, że we Włoszech, czy Patagonii. Ani wieści...

— Bo ciocia nie była ciekawa.

— Ej, jakto? Ale cóż poradzę? Piechotę nie zajdę, a koni nie dadzą. Ot, stary grzyb ze mnie! Trzeba siedzieć cicho, by kto nogą nie potrącił. Raz byłam w twojej dąbrowie po zioła w dzień świętego Jakuba. Daleko, ledwie wróciłam. Możeś nie rad, że tam chodzę? Ale bo, widzisz, takiego biedrzeńcu, jak tam, nigdzie nie ma, i brunelka ślicznie kwitnie, bo nikt nie psuje kosą!

Mówiła cicho, jakaś zalekła. Oczy jej stare czerwone były i zalzawione, może od wieku i szycia po nocach.

Zmieniła się bardzo. Młodą jej Marek nie pamiętał, ale za życia ojca ruszała się żywo, zajmowała ogrodem, pszczołami, opatrnością była chorych i ubogich, nie zamięciła nigdy

wody nikomu, a winę każdą gotowa była na siebie wziąć byle nie karano Hanki i Wicia. Była to skarbnica gospodarskich przepisów: nie było rzeczy w kuchni i spiżarni, którejby zrobić nie umiała, czas swój miała zawsze na usługi potrzebującego wyręczenia. Teraz wyglądała o lata starsza, przygnębiona i—pomimo wrodzonej słodyczy i delikatności — z wyrazem żalu na pomarszczonej twarzy.

— Ciocia coś na oczy niedomaga? — zagadnął Marek z mimowolnym współczuciem.

— At! Starość! Coś łzami zachodzą często. Ścieg stawiam nierówny! Ale ziółka przykładam; przejdzie, przejdzie! To nie! — Niechby ciocia nie szyla.

— Jakże? Znasz przysłowie nasze: chleb płacze, gdy go darmo jedzą! Nie daj Boże, by nade mną płakali!

Starła się uśmiechnąć, ale skrzywiła się tylko i pochyliła po badył jakiś na ziemię. Gdy podniosła głowę, oczy były jeszcze czerwieniejsze, a łzy biegły po zmarszczkach oblicza.

Wówczas żal Marka chwycił okropny. Przyjechał z urazą śmiertelną do nich wszystkich za krzywdę jednych, obojętność drugich; ale widok łez starowiny, rodzonej siostry ojca, przemógł nawet jego twardą naturę.

— Może cioci źle, broń Boże? — zaczął.

Potrząsnęła głową, ale on mówił dalej:

— Ja się nie pytam, ciociu; wiem, że wam zawsze dobrze, ale tylko proszę pamiętać, że w mojej chacie w Sandwilach jest zawsze dla was miejsce! Dziś stancję oporządzą — nie pałac to, ale spokojna nora, która dla was będzie stać gotowa! Ot, wy wiecie, że ja gadać nie umiem, ale nie płaczcie, bo mnie ojciec przeklnie z nieba, żem dopuścił...

— Co ty gadasz? — szepnęła przez łzy — Bóg cię pobłogosławi; ty Ragisa wzięłeś, a on nie płacze! I mnie dobrze! To tak sobie! Ojca mi przypomniałeś, boś z twarzy żywy jego obraz, to i żal ogarnął! Oni wszyscy dobrzy! Daj im Boże szczęście!

Zamilkli. Staruszka obejrzała się trwożnie i rzekła:

— Żebyś się nie gniewał, to ci powiem, że byłam ukradkiem

u ciebie. Do starego Downara mnie zawieźli, bo chory był na tyfus. Ragis z Grenisem byli na łące, więc się ośmieliłam i obeszlłam twoją zagrodę. Jak tam ładnie! Żeby ogródek i pszczoły!

Rozjaśniła się jej twarz, wahająco spojrzała w górę na ponurego olbrzyma.

Ty nie zartujesz o tej stancjce? Mnie byle kąć! Ale może Ragis będzie nierad, i tobie niepotrzebny ciężar! Parę lat w spokoju, tobym się jeszcze na coś zdała, ale potem...

— Kiedy ciocia każe koniom przyjść? — zagadnął, przerywając.

— Ja sama nie wiem! Brat kazał w Skomontach zostać, ale mnie tutaj nie potrzebują. Jeśli twoja łaska...

— Jutro każe Grenisowi przyjechać. To ja cioci dziękuję za łaskę. Wiem, że wy pod dachem, to skarb!

— Ej, nie gadaj! Pszczołek ci nahoduję, bo one mnie lubią, za leki lnu trochę zbiorę, w ogródku na jesieni pogrzebię — ot i wszystko. Kiedy twoja wola i ochota, to zabierz sobie grata.

— Dziękuję cioci!

Staruszka otarła łzy ostatnie i zatrzymała go za rękę.

— Czy Hankę widziałeś? — zagadnęła żywo.

— Jeszcze nie, i radbym z nią pomówić, nim pójdę do macochy.

— To dobrze, dobrze! Bóg cię nam zesłał! Bo to widzisz... Ale, co ja mam gadać! Przysięgę ją—tylko nie patrz się na nią surowo, bo się biedaczka okropnie ciebie boi.

— Nie ma czego! — odparł.

Panna Aneta Czertwanówna podreptała w głąb, a on klaczy rozluźnił popręgi i czekał, widząc, że wizyta się przedłuża.

Po chwili z ogrodowej furtki wyszła biała dziewczynka w żalobie.

Im bliżej strasznego brata, tym postępowała wolniej. Zbliżył się i on kilka kroków, i z niebywałą serdecznością objął ją w pól i pocałował.

Wtedy dopiero podniosła nań swe śliczne czarne oczy i rzekła smutno:

— Ja wiem, żeś ty gniewny na nas — i słusznie!

— Nie o to chodzi! Ja nie obwiniam, a ty się nie tłumacz. Będzie na to czas. Spieszno mi wracać i gadać nie lubię! Spotkałem pannę Julię Nerpalisównę i wiem, czego ci trzeba. Czy zgadzasz się na moją opiekę?

— Na wszystko, Marku! Oddaję ci Budrajcie i pieniądze; rób z tym, co chcesz, tylko mi dopomóż do wyjazdu. Wierzę ci nieograniczenie!

— Dobrze! Pójdę do matki i, jeśli co zrobię, to pojedę stąd prosto na plebanię. Będziesz na mnie czekała?

— Będę! Dziękuję ci stokrotnie.

— Nie ma jeszcze za co. Gdzie matka?

— Na ganku ogrodowym. Słyszała, żeś przyjechał i czeka.

Pani Czertwanowa, od chwili wyprawienia posłańca do pasierba, była w ciągłym niepokoju. Rozmyślała, czy przyjdzie lub nie, co mu powie, jaką odbierze odpowiedź — układała brzmiące frazesy, miała nawet w zapasie przebaczenie i łaskawy powrót do jej salonów.

Szczęściem, dnia tego nie było gości, mogła spokojnie fantazjować.

Na odłos jego kroków powstała żywo i podeszła na spotkanie.

Był, jak zwykle, w wytartej kurcie, juchtowych butach i bez rękawiczek; pomimo to powitała go jak najmilszego gościa.

— Siadaj, proszę! Ślicznie wyglądasz! Sąsiedzi nie mogą się odchwalić porządku w Poświciu!

— Cała moja zasługa, że właśnie nic nie zmieniam z dawnych urzędzeń ojcowskich—odparł, siadając naprzeciw niej.

— A u nas zły rezultat ze zbiorów. Połowa spodziewanego ziarna, brak gotówki jak nigdy.

— Muszą być większe rozchody.

— Zapewne! Choroba nieboszczyka, pogrzeb, podróże Wicia, żałoba! Przy tym dawniej na całości można było utrzymy-

wać rezydentów, teraz ciężko! A tu ich bez liku. Dyrigajtes, Juchno, ślepa kawiarka, panna Aneta!

— Ciotka jutro do mnie wyjeżdża!

— Doprawdy? Pewnie ci naopowiadała okropności o nas! Witold lubi z nią się drażnić, a ja czasem dam jaką robotę...

— Nic mi nie mówiła. Mnie brak gospodyni, to ją poprosiłem.

— Mała korzyść — skrzywiła się pani Czertwanowa.

— Czy matka ma mi co do rozkazania? — spytał.

— Ależ nie, drogi synu! Chciałam porozmawiać z tobą, zasięgnąć rady w niektórych rzeczach. Mam wielkie rozumienie o twoim rozsądku.

— Rada, rzecz trudna—zamruczał.

— Nie w rodzinie, kochany. Rada między nami jest i łatwa i pożyteczna...

— Słucham zatem...

— Ah, ciężki, ciężki krzyż zostawił mi wasz ojciec! Każde z was wzięło gotowe, a ja muszę myśleć za wszystkich. Interesa zastałam w oplakany stan, majątek bez kapitału i ciężary znaczne...

— Jakie?—rzucił krótko.

— Konieczne długi Wicia. Dawano mu tak mało, że utrzymać się nie mógł w Rydze.

— Brał czterdzieści rubli miesięcznie.

— Cóż to znaczy przy tamtejszych wymaganiach? Rozważyliśmy to z nim i przekonałam się po dokładnym rachunku, że bez stu rubli miesięcznie uczyć się nie może.

— Droga nauka! — zauważył.

— Cóż robić? Nie mogę mu zwichnąć kariery dla tak niskich względów.

— Jakaż była cyfra długów?

— Ach, dużo! Trzydzieści tysięcy rubli!—szepnęła nieśmiało.

— Zapłaciła matka? — spytał, nie okazując żadnego wrażenia.

— W części zaledwie. Cały mój zapas zginął. Zostałam bez grosza. Ale to są tylko półśrodki, a tu trzeba stanowczego

lekarstwa. Wicio musi się uczyć, dom trzeba prowadzić, gospodarstwo ulepszać. Krótko mówiąc, potrzebuję zaraz dziesięć tysięcy rubli.

Zatrzymała się i odetchnęła głęboko. Spojrzała na swego słuchacza. Siedział pochylony, jak zwykle, patrząc w ziemię. Chłód ten jego, pełen cichej krytyki, doprowadzał ją zwykle do wybuchu niegdyś. Ale teraz czuła, że go potrzebuje, reprezentował jej poświckie kapitały.

— Udaję się tedy do ciebie, jako do głowy rodziny teraz, o radę i pomoc...

Podniósł oczy.

— O pomoc?—powtórzył z naciskiem.

— Tak, kochany synu! Jest to twój święty obowiązek.

Ruszył brwiami.

— A jakież warunki pożyczki?—zagadnął.

— Jak ci się zdaje? A żeby sprzedać ten kawał ziemi osobny w stronie Sandwilów?

— Żwirble? One nie warte dziesięć tysięcy — najwyżej dwa...

— Bój się Boga! Tak mało?

— Nikt więcej nie da. Czy matka ma plenipotencję Wította do sprzedaży?...

— Mam! Kochane dziecko, on wierzy, że dla jego dobra życie bym dała!

— Na kiedyż potrzebne pieniądze?

— Choćby zaraz!

Pomyślał chwilę.

— Mogą być jutro, jeżeli matka zgodzi się na moje warunki. Żądam przekazu tej ziemi na moje imię, kwitu z uiszczonej zapłaty—i...

— Naturalnie, naturalnie!—potakiwała.

— I, z polecenia Hanki, wymagam zwrotu jej kapitału i pozwolenia na wyjazd za granicę. Była to wola ojca!

Pani Czertwanowa podskoczyła na krześle. Z różowej i uśmiechniętej stała się pąsową i skrzywioną. Oczy jej zaczęły biegać wkoło.

— A cóż to ma jedno do drugiego? Hanka jest moją córką i losem jej ja tylko rozporządzam!—zawołała zmienionym tonem.

— Jak matka chce. Ja inaczej pieniędzy nie dam!—rzekł flegmatycznie.

— Za taką cenę Żwirble każdy kupi!

— Nigdy bez mojej zgody!

— Zmusimy cię do działu — wołała coraz gwałtowniej.

— No to trzeba czekać pełnoletności Hanki. I owszem. Mamy czas.

— Są sposoby na upór. Zobaczysz!

— Nie przeczę, ale pieniędzy to jutro nie da.

— Potrafię pożyczyć bez ciebie.

— Czemu nie. Lichwa jest wszędzie.

— Nie pozwolę, by z mojej córki wyrosła awanturka! Przewrócono jej w głowie, ale ja to powstrzymam, bo mi się to nie podoba!

Zasapała się, gniew nią wstrząsał, zapomniała panowania nad sobą.

— Jeżeli matce braknie jej kapitału, ja założę swymi pieniędzmi. Budrajcie wezmę w swój zarząd, i rocznie będę wam płacił z nich pięćset rubli, jako wasz posag i własność. Potrzeba mi tylko waszego słowa!

Uspokoila się natychmiast, i chwilę słuchała, uszom nie wierząc.

Ten człowiek był czarnoksiężnikiem—wyczytał w jej duszy najważniejszy powód odmowy, miał radę na wszystko.

— Należy mi się te paręset rubli. Oddałam wszystko dzieciom!—zaczęła już innym tonem.

— Doskonale rozumiem. Dacie mi kartkę na owe 5,000 rubli, i metrykę Hanki dla paszportu. Jutro u plebana będę z pieniędzmi na Żwirble. Pierwszą ratę za Budrajcie mogę zaraz zapłacić.

Otworzył pugilares i na stole położył pięć tęczowych biletów. Ten rozumiał interes — znał ludzi.

W pół godziny, gdy odjeżdżał, miał, co chciał, w kieszeni. Ruszył prosto na plebanię, zamieniwszy z ciotką parę słów zaledwie.

Obie panienki siedziały u wrót i wyglądały go dawno.

— Zwyciężył pan pewnie! Poszłam z Hanką o zakład. Czy wygrałam? — powitała go siostra Olechny.

— Zrobiłem, co mogłem. Kapitał Hanki przyjąłem na siebie. Czy potrzebujesz całości?

— Ej nie! Paręset rubli na podróż! Resztę zostaw u siebie! O jakżem szczęśliwa!

— Pan i paszport ułatwi, i odprowadzi nas do granicy! Nieprawdaż?

— I owszem! Zrobię wszystko do końca!

Błada dziewczynka złożyła ręce jak do modlitwy i, łzawo patrząc w jego oczy, wymówiła serdecznie:

— Jakież ty dobry, jakis dobry!... Czym ja ci się wywdzięczę?

— Byle nie medycyną w przyszłości — zażartowała Julka.

Spojrzał na nią poważnie i długo.

— Odwdzięczysz się, jeśli nauki swej nie wywieziesz za kraj, ale tu, w nim i dla niego będziesz pracowała, nie sławnie, ale z sił całych! — rzekł.

— Wróć, Marku, i będę pracowała! O! Dziękuję ci raz jeszcze!...

— Może pan wstąpi na plebanię? Stryja nie ma, wyjechał do chorego. Opowiemy panu nasze projekta! — prosiła wesoło panna Julia.

Dał się namówić. Zgłodniałą Białkę wziął w opiekę parobek księdza, stary sługa kościelny podał im skromny obiad. Parę godzin zeszło niepostrzeżenie, nim się zdecydowali rozstać.

Panienki pieszo pobięły do Skomontów, on zawrócił do zaścianka stępa, jak człowiek, który myśli lub marzy.

Postawił pierwszy krok na ciernistej ścieżynie, którą sobie za drogę i cel założył. Przyszli po niego ze Skomontów prędej, niż się spodziewał i będą już coraz częściej kołatali. Potrzebują pieniędzy, a on je musi mieć, i będzie dawał! Był to dla niego pierwszy dzień radosny.

Miał w głowie natłok planów, cyfr, dat. Czasami, jak swawolny chochlik, poważne to zgromadzenie mieszała i gmatwała gorąca fala młodej krwi.

Trzy miesiące nie widział Marty. Zmusił się do tego, żeby gwałt zadać tęsknocie i nudzie, co go opanowała w Poświęciu; dziś rano nie widział jej, ale teraz zobaczy. Przez gąszcz wiśniowy o zmroku uściśną dłonie i pogwarzą. Miał prawo dogodzić sobie choć raz, choć chwil kilka!

Nie kwapił się też. Czekał wieczora, zajechał na Żwirble, obejrzał puste pole i łąki kawał, obliczył dochód i wartość, i na przelaj, polem, dojechał na pastwisko zaścianków.

Wierny Grenis już tam był, zajadając kawał sera i miłośnie patrząc na swe szkapy, pasące się opodal. Uwolnił pana od Białki, mrużąc po żmudzku i krytykując długą jazdę. Marek piechotą, ogrodami, dobrał się osady.

Zmrok padał i chłodno było, choć pogodnie. Jesień ogołociła już trochę sady, ale wiśnie, choć zwarzone w połowie, otułały jeszcze gęsto Wojnatową zagrodę.

Z daleka doleciał uszu Marka głos męski, śpiewający tęskną piosenkę, i tony skrzypiec, wtórujące z cicha.

Przystanął zdziwiony, a w teże chwili śpiew i muzyka ucichły, a natomiast usłyszał głos Marty:

— Czemu to pan Łukasz zawsze smutne gra pieśni, że aż na płacz się zbiera?

— Taka dola, moja panno Marto! Anim ja komu miły, ani kogo swego mam na świecie! Od dziecka smutek mię tłoczy. Takie Boże sądzenie! Nie lubią mnie ludzie, w chacie nie ma do kogo zagadać, a do czego się wezmę, to mi idzie jak z kamienia. Śpiewam smutno, to mi trochę lżej; choć wiatrom się poskarżę na swe troski!

— Biedny pan Łukasz! — westchnęła dziewczyna płaczliwym tonem.

Marek gwałtownie się rzucił, odskoczył od płotu i wszedł do swej chaty.

Na kominie buchał wesoły ogień, przy którym *kuchmarzył* wieczernę Ragis, pogwizdując przez zęby.

Zwierzęta powitały radośnie znajomego, kaleka się obejrzał.

— Na rany Pańskie! Coś tak blady? Śmierć spotkałeś gdzie, czy upiora? — zawołał, upuszczając łyżkę z ręki.

Marek nic nie odparł. Istotnie wyglądał strasznie. Trupio blady, z posiniałymi wargami i dzikim błyskiem w oczach.

— Zmordowałem się i zziąblem! — wymówił nareszcie, siadając ciężko u stołu.

— Masz, wypij wódki! Zaraz gotowa będzie wieczerza! Ze Skomontów wracasz? Czego chcieli od ciebie?

— Pieniędzy...

— Oho, ho! Ma się rozumieć! Witoldek szumi! A dałeś?

— Kupiłem Żwirble!

— Wypij drugi kieliszek! Masz rozum! Ho, ho, zaraz znać, że to ja cię do chrztu trzymałem. Zasięjem tam żytk! Będzie chleb! Otóż i wieczerza: skosztujno kartofli ze słoniną. Jadłeś kiedy takie? Robak! Nie zaglądać w garnki! Subordynacja, ho!oto!

Ale Marek nic nie jadł. Napił się raz i drugi wódki, oparł łokciami na stole i milczał jak grób.

— Co? Nie przekąsisz nic?—frasował się Ragis. — Ho, ho, *musić* w Poświęciu na pulpetach się pasiesz! Trza to będzie skontrolować.

— Nie głodnym! Byłem na probostwie.

— Byłeś? A widziałeś czarną Julkę? Zuch dziewczyna!

Marek głową kiwnął i spytał nagle:

— U Wojnatów dobre urodzaje?

— Nie wiem! Stary, cholernik! Czepią się człeka i kasa, jak mucha we wrześniu! Ciągłe tam sprawy i krzyki, bo i dziewczyna nie zmilczy! Tego ciemnęgę, Grala, zamęczają od świtu do nocy.

— A on co tam robi?—rzekł Marek obojętnie.

Ragis zamrugnął oczkami filuternie.

Nie było odpowiedzi. Młody odwrócił twarz do okna i patrzył uparcie w ciemną noc. Kaleka sprzątnął wieczerzę, nakarmił swą trzódkę, i załatwiwszy mnóstwo drobnych gospo-

darskich zatrudnień, zapalił małą lampkę i wziął się do latania starej uprzęży.

Z okularami na nosie i z odstającymi wąsami kłutł szydłem, zawlekał dratwę i zawsze w dobrym humorze gwarzył z milczącym towarzyszem:

— Żebyś wiedział, com ja biedny miał z tą upartą szlachtą! Wojnat, duszka, zbuntował zaścianek, uwzięli się mnie wyгнаć, jak liszkę z nory. Spasali zboże, grabili dobytek, raz nawet zbili Grenisa, że spuchł jak *kadka* i febry dostał ze strachu. Poczekajcie, myślę! Zebrałem ich raz przed gospodą, i mówię: Mili braciszkuwie! Oto macie wóz i przewóz! Albo będziecie grzeczni chrześcijanie, to wam się odwdzięczę; albo będziecie jak poganie, to was ukarzę. Wybierajcie!

Marek podniósł głowę. Zajął go to opowiadanie, zgłuszyło na chwilę głos, co mu zgrzytało w uszach: «Biedny pan Łukasz!».

— Zaczęli się śmiać, a młodzież drwinkować i przedrzeźniać; pokazałem im figę, poczekajcie nowin! powiedziałem i poszedłem. Coś ich to zastanowiło, trochę spokornieli, ale mnie było tego mało.

Na nowiu trzeciego wieczora zrobiłem im spektakl. Nałożyłem czarną opończę, wziąłem garnek z węglami, wypuściłem swoje bestyjki co do nogi, i nie oglądając się ani na prawo ani lewo, poszedłem sobie ulicą, grając na flecie.

Moja komenda stary żołnierz, karny! Na muzykę wyłaziło wszystko z chaty: i Robak, i Żuraś, i Żywusia, i Białouszek, i Gryzia, i podreptało za mną. Maruder Igiełko biegł na końcu, jak kłębuszek kołący, a Szpaś siadł mi na głowie i krzyczał na alarm: «Dobranoc! dobranoc!».

Ragis z zachwyty nad tym triumfalnym pochodem aż okulary stracił i robotę rzucił. Śmiała mu się twarz cała.

— Powstał gwałt. Kto żyw, wyszedł patrzeć; śmieli się, wołali, potem ich strach zdjął: kobiety pochowały dzieci, starzy zaczęli radzić i posłali najśmielszych za mną! A ja sobie wędrowałem spokojnie aż na Dewaję i dopiero na polance zacząłem różne eksperymenta.

Machnąłem trzy razy rękoma, zrobiłem kijem koło, na węgle narzucam liścia i trawy, i gadałem jakimś językiem, którego nikt nie zrozumiał, bo go nie ma na świecie! A potem nabrałem w garnek żółędzi i tym samym porządkiem zawróciłem do domu. Szpiegowie drętwieli ze strachu, a'e szli opoda! Chaty zastałem pozamykane i ani żywego ducha! Pochowali się pod pierzyny i w siano!

Dalejże ja tedy od drzwi do drzwi, ciągle mamrocząc, i pod każdym progiem nasypałem garść żółędzi, i poszedłem spać!

— No i cóż się stało? — zagadnął Marek, ubawiony mimo woli.

— Stał się cud, synku! Szpiegowie opowiedzieli wszystko, ale żółędzi wziąć nie chcieli, i nazajutrz rano, zamiast nich, znaleziono pod progiem bób!

Stary podniósł rękę z sztydłem w górę i zrobił tajemniczą pauzę.

— A co? Może ja nie czarownik? Uwierzyli tedy wszyscy, bo trzeba takiego wypadku, że jednocześnie z tym zaczęły się klęski. U Feliksa urodziło się cielę z pięciu nogami, u Jana Arminasa piorun zabił wołu, no, i nareszcie stary Downar umarł. Mało mu się należało, bo miał sto lat i tyfus, ale zawsze mi służył. Szlachta w płacz, baby najśmielsze przybiegły do mnie, ale ja udam, że nic nie wiem i zamknąłem chatę.

Poszli do proboszcza, żeby mnie wygnał z kościoła, ale on ich wygnał z plebanii, no, i po tygodniu, gromadą, oddali mi wizytę, przeprosili, przysięgli zgodę, tak, że nareszcie zlitowałem się, z całą ostentacją, pozbiierałem bób, którego nikt tknąć nie śmiał, pomachałem znowu rękoma, rozbiłem garnek i obiecałem im pomoc wszelką i opiekę. Możem nie czarownik?

Dopiął celu Ragis i sprawił istny cud, bo Marek się uśmiechnął.

To go podnieciło, jako najwyższy triumf dowcipu.

— Oho, ho! Cobym ja zrobił z moim drewnikiem i bó-lami w kościach, żeby nie umiał czarować. Teraz, jak mi

trzeba pomocy, to tylko huknę w ulicę, a hurmem lecą chłopaki i dziewczęta z kosami i sierpem. A Grenis to ze skóry wyskakuje, a jak się ociąga, to ja nic, tylko za garnek z półki, a parobek dygoce i pędem robi! Oho, ho! A myślisz, że po lubczyk do mnie w sekrecie nie zaglądaya

— I dajecie?

Stary filut zmużył oczęta.

— Aha! Lubczyk? Zaraz ciekawy. Możesz i ty na to łasy? Co? Otóż nie dam tobie, bo nie warto! Pluć na marę!

Marek się zachnął.

— Nie bardzom ja *amorliwy!* — mruknął, i dodał po chwili: — widziałem dziś nasze pole i ażem zdumiał, tak pięknie uprawne!

To czarami, synku, czarami! Co? Ładne? Prawda? Oho, ho! Ja wiem, że ty już myślisz sprawić mi na kolędę niebieski parasol i piękną fajkę! Ho, ho! Ze mnie frant, w pierwszy szereg z prawej strony! Ot, tylko się obejrzę, i czas mi o żeniacze pomyśleć! Sprawię gody, bo u nas są już dostatki, a gospodyni braknie!

— Ciotka Anna jutro przyjedzie. Oporządzim jej rano stancijkę od podwórza.

— Panna Aneta! To, to, to! Niech cię uścisnę! Jak raz dobrana para! A toś ze świecą szukał!

Uśmiechnął się żartobliwie i cieniutko zaśpiewał:

Zgodne to stadło i cicha chata:

Mąż katernoga, żona garbata!

Przestał żartować, a kiwając głową, zauważył:

— Poniewierali mego chłopca, ponieważli! Ot, i przyszła kreska na Matyska. Biedna panna Aneta! Nie dobro ją zmusiło rzucić faworytkę Witolda! Alem jej rad, jak nikomu! Toż my tobie tu naczarujem na współkę. No, kiedy tak, to jeszcze poczekam z żeniaczką jaki rok! Czego się spieszyć?

Wziął się pilnie do roboty, ale milczeć nie mógł.

— A widziałeś tę chabetę zagraniczną, co Witołd kupił za tysiąc rubli? Budują stajnię, zaprowadzają wyścigowe konie.

Niemiec kradnie, młyny woda popsuła i stoją, goście nie wychodzą z domu! Sądny dzień! A kto?

W szczelinie drzwi ukazała się rozczochrana głowa Grenisa. Respekt dla garnka i czarodzieja nie pozwalał mu dalej się narażać.

— Gdzie pan Kapral każe orać jutro? — zagadnął zamykając oczy a otwierając szeroko usta, ku lepszemu słyszeniu chyba.

— W Żwirblach, rekrucie! — zakomenderował stentorowym głosem Ragis.

— Tytuł wam przybył! — zauważył Czertwan, gdy się drzwi zamknęły!

— A cóż! Niech zna subordynację! Co kapral, to nie lada co! Ho, ho!

Dla różnaitości zaczął gwizdać, gdy wtem Marek oczy podniósł i rzekł:

— Wezmę w arendę młyny u pani Janiszewskiej.

— A one ci na co?

— Wezmę komis dostawy mąki dla wojska.

Stary pomyślał i węża zagryzł.

— A Poświcie? — zagadnął.

— Dam rady! — odparł spokojnie Marek.

I pochyliwszy się nad stołem, zaczął końcem noża coś na nim kreślić.

— Zarobię trzy tysiące rubli dla Witolda! — zamruczał w końcu, wstając z miejsca.

Wieczór minął, zaścianek spał. Po krótkim czasie i w ostatniej zagrodzie zgasło światło; psy tylko ujadły i wicher jesienny wył ponuro.

Około północy zbudził się Ragis i posłyszał, że Marek nie śpi.

— Czy ci młyny chodzą w głowie? — spytał półsennie.

— Aha! — zamruczał zagadnięty.

I stary znowu zasnął, ale Czertwan darmo zamykał oczy, próbował uleżec. Nie mógł. Psy ujadły i wicher wył żałośnie;

nie młyny go zajmowały, ale z uszu pozbyć się nie mogli nieznośnego dźwięku jak zmory: « Biedny pan Łukasz ».

Ledwie szarzało na dzień, porwał się z postania i wyszedł cicho na podwórze.

Szron pokrywał ziemię, drzewa, dachy budowli, zimno było dotkliwie.

We drzwiach stajenki Grenis się krzątał, odmawiając pacierze, a od ulicy, na kamieniu, siedział człek jakiś, piecami zwrócony do chaty.

— Grenis! Załóżysz konie do wozu i pojedziesz do Skomontów zaraz! Powiesz tam pannie Annie, że jesteś na jej rozkazy. Rozumiesz?

— Rozumiem, panie kapral! — odparł wymuszony sługa Ragisa, i wykonał na lewo zwrot tak niefortunny, że się potknął i upadł.

Marek nie zważał na to, bo jednocześnie człek nieznamy wstał i podszedł.

Był to Łukasz Grał.

— Niespodzianie przybyłeś — rzekł po przywitaniu do Czertwana — ja się dawno wybierałem do Poświcia ciebie odwiedzić, czasu nie było.

Stali naprzeciw siebie. Jeden spokojny, chłodny, nieubłagany, z góry patrzył na drugiego; ten zaś, załękły, skubał róg surduta, przestępował z nogi na nogę, chrząkał i ledwie miał siłę mówić.

— Masz interes do mnie? — wyrzekł Marek.

— Mam prośbę.

— No, to mów.

— Czy ty nie masz nic przeciw temu, żem przystał do Wojnatów?

— Przystałeś? Jak? Za parobka?

Grał poczerwieniał zdraśnięty.

— Mam, Bogu dzięki, dosyć chleba u siebie.

— No, to na co im służysz? Z łaski?

Szlachcic wyciągnął palce ze stawów, spuścił oczy i, jękając się, rzekł:

— Wojnat... o... o... obiecał mi... Martę!

— Ha, to racja do wysługi. I ona ci obiecała?

— Ona się ciebie boi—szepnął Łukasz.

— Boi? A mnie na co jej lęk? To brednie! Nie boi się ona, ale ty jesteś uczciwy, żeś przyszedł. Wczoraj myślałem, żeś złodziej.

— Słyszałeś?—zacerwienił się chłopak.

Marek głową kiwnął.

— Ja ją tak strasznie umiłowalem!—skarżył się smutny młodzieniec—Ale żebyś co rzekł, tobym sobie poszedł za góry i rzeki! Od wyrostka to kochanie w sercu noszę!

Czertwan milczał. Może i on równie dawno i równie głęboko kochał, ale słów nie umiał składać, ani się poskarżyć.

Przesunął rękę po oczach i zagryzł usta.

— Nie gniewasz się na mnie? Pozwalasz? — pytał prosząco Grał.

— Tyś prawy, Łukaszu. Idź z Bogiem! — zamruczał olbrzym.

Okienko chaty otworzyło się, wyrzała uśmiechnięta twarz Ragisa.

Wystawił na powietrze klatkę z ptakami, obejrzał rozmawiających i zaśpiewał:

Aż tam bieży panna, panna, towarzyszu mój!

Puszczaj charta ze smyczy,

Niechaj pannę pochwyti,

Towarzyszu mój! Towarzyszu mój!

Zaścianek już wstawał do życia. Grał wyciągnął rękę do rywala, uściśnął podaną dłoń i wyszedł zgarbiony, pokorny.

Gdy Marek się obrócił, nikt by nie poznał, że przed chwilą stracił to jedno, jedyne, co w życiu posiadał osobiście, wyłącznie dla siebie.

IV.

Zima nadeszła dziwnie lekka. Bywały śniegi i deszcze, potworzyły się odmęty błota, ale do Bożego Narodzenia nie stanęły lody. Dubissa huczała wzburzona, nabrzmiała, a młyny mełły, turkotały na szczęście Marka, niosąc mu tak bardzo pożądany grosz.

Jego samego nikt nie widział z tej strony. Siedem poświckich folwarków, trzy gorzelnie, dostawy zboża i mąki pochłaniały mu dni i noce.

A zresztą pocoby tam jechał? U Wojnatów myślano o weselu, czekano tylko końca adwentu; Ragis z ciotką pracowali jak mrówki, a w Skomontach nie było nikogo. Parę razy macocha, przyciśnięta potrzebą, odbyła podróż do «Canossy», do poświckiej oficyny, miluchna, uśmiechnięta, choć ją do rany przyłóż. Brała pieniądze, dawała potrzebne zapewnienie i odjeżdżała rychło. Na święta zatęskniła za Witoldem, który się bynajmniej do domu nie kwapił, i wyjechała do Rygi, mało się troszcząc, jak Niemiec użyje czasu jej nieobecności.

Dla Marka za Dubissą nic nie było: ani Marty, ani pracy, ani przyjaciela. Dewajtis stał żalobny i milczał pod powłoką szronu, ludzie potrosze zapomnieli o nim, ziemia leżała pod śniegiem.

Poświcie miało sporo sąsiedztwa, i ten i ów z młodzieży zajęczał niekiedy za interesem. Zapraszano go do polowania, wciągano w towarzystwo.

Bywał rzadko, z obowiązku, z konieczności, przesiadując ze starymi gospodarzami; unikał zebrań wesolych, wymawiając się żałobą. Nie lubił rozmawiać, a szaleć z młodzieżą nie potrafił.

Najczęściej, gdy, chwilę miał wolną, siadał na koń i jechał do Jurgiszek. Stara pani Janiszewska dożywała tam resztek życia, ociemniała i niedołączna. Wnuczka niedorośła doglądała jej, a stary Czertwan gospodarzył na fo'warku. Gdy umarł, staruszka sprowadziła Marka, oddała mu klucze, księgi i wiarę, jaką pokładała w ojcu.

Mizerna to była fortuna, pełna piasków i mokrych wypasów. Trzy młyny stanowiły całe bogactwo, dawały chleb dwom kobietom.

Powoli, nieznacznie, sam nie wiedząc, jak do tego przyszło, Marek nawykł przesiadywać w ich schludnym saloniku długie jesienne wieczory, czytywać głośno gazety i książki, słuchać jej opowieści z gorących czasów i rzewnych, cichutko wygrywanych na starym klawikordzie, me'odii wnuczki. Stary zegar wydzwaniał kuranty, ogień trzaskał — było mu dobrze, spokojnie. Dziewczynka była chorowita, babka przygłucha, nieufna do ludzi. Ubóstwo wyzierało zewsząd, nikt też ich nie odwiedzał oprócz niego, i jego jednego witały ze smętną radością. Przywoził im pieniądze, wiadomość jaką, wnosił w posępne ściany jakby kłęb świeżego, zdrowego powietrza. Gdy odjeżdżał późną nocą, pani Janiszewska wzdychała smutnie, Jadwisia zamyślała się długo, nasłuchując szumów wiatru posępnego.

A o Orwidach tymczasem nie było żadnej wieści. Stary Jazwigo rozpiisał wezwania po gazetach; Hanka, na zlecenie Marka, uczyniła to samo w Paryżu; on pisał do Kazimierza, prosząc o zasięgnięcie języka na Wschodzie — wszystko daremnie! Po złote runo w zakątku Żmudzi nikt nie przybywał.

Czas się włókł ciężko dla biednego administratora tych bezpieczeństwa skarbów. Niekiedy, gdy patrzył na pełne gumna, i stada bydła, i złoto, płynące falą do jego biura, opadała go rozpacz. Dla kogo to i po co?

To znów, gdy spojrzął na pałac osamotniały, pełen cennych zabytków, gotowy w każdej chwili na przyjęcie tych, którzy może nie istnieli już, gorzko się uśmiechał.

A wreszcie, gdy sam wracał do oficyny, zmęczony, przesiadłszy i głodny, z długiej kontroli fo'warków, opadała go szalona apatia i wściekłość. I pytał się po raz setny: dla kogo to i po co?

Tysiąc mniej lub więcej dla tych umarłych, co znaczy?

Po co czekać dziewięć lat jeszcze bez żadnego skutku, po co się zamęczać?

Wtedy zwykle wybierał się do Sandwilów pofolgować sobie, wypocząć we własnej zagrodzie...

I jechał, wiele nakładając drogi, na prom za Jurgiszkami.

Nigdy do niego się nie dobrał. Po drodze myślał, wspominał ojca, kawał sygnetu na piersi i ten napis na nim ledwie czytelny:

Judica me Deus et discerne causam meam...

Zawracał i po chwili siedział już naprzeciw ociemniałej, wstuchany w motyw melodii, powtarzając w duchu:

« Osądź mnie, Boże, i rozeznaj sprawę moją! ».

Ogień się palił, brzmiała muzyka, a z mroku od klawikordu patrzyły nań smętnie oczy bladego dziecka, błagające, a harde zarazem...

On ich nie widział, nie uważał, ale ludzie zaczęli szeptać i Ragis pewnego wieczoru zjawił się w Poświciu. Było to przed samą kołędą.

— Mój synku, to się nie godzi! — zawołał z progu. — Wyrzekłeś się nas? Co? Ho, ho, ho! To brzydko! Tego ciebie na chrzcie nie nauczyłem!

— Nie mam czasu — odparł Marek po serdecznym przywitaniu.

— Nie kłam, bo ci z tym nie do twarzy! Ma się rozumieć, udaje się kłamać, ale nie przed czarownikiem! Ejże! Ot ja ci powiem, czemu nie przyjeżdżasz do Sandwilów! Wstyd ci przede mną!

— Przed wami? Za co?

— Boś mi coś ukradł!

— Ja?
— Aha! To się wie! A ja przyjechałem odebrać.
— Wiele mam cudzego, ale waszego, Rymku, nie!
— Masz! Ukradłeś mi lubczyk, co się suszył na kominie
— zawołał stary, grożąc palcem. — Co? Może nie?
Młody potrząsnął głową.
— Jeżeli go miał, to i swój zostawiłem w Sandwilach.
Na co mi on teraz?
— Aha! Doprawdy? To czasu nie masz odwiedzić nas starych, a w Jurgiszkach siedzieć to czas jest? Ho, ho, ho!
— Przecież lubczykiem pani Janiszewskiej nie traktuję!...
Ragis oczy zmrugał i ręce załamał.
— Oh, oh, oh! Toż to ludzie z tej strony zębów dostają? Patrzajcie no go! Panią Janiszewską głowę mi zawraca! A cóż ci się zdaje! Albo to panna Aneta nie umie położyć kabały? Wczoraj mi powiedziała: Markowi gody się gotują przez czyjąś śmierć, a na sercu mu szatynka! Aha, teraz się czerwienisz! Dopieroś poczuł, a jak cały świat paple, toś głuchy i ślepy. Myślisz, żeś kuropatwa, co dla bezpieczeństwa głowę chowa!
Marek istotnie zarumienił się lekko i chwilę milczał, namyślając się. Potem obojętnie ramionami ruszył.
— Język ludzki młyn na plewy! — zamruczał.
— A jam nie rad, jak ty między tymi plewami! No, powiedz bez wykrętów: kochasz pannę Janiszewską? Myślisz ją brać?
Czertwan głowę zwiesił i odparł glucho:
— Jedną kochałem i chciałem brać! Drugiej już nigdy nie zechcę! Ciotka niech lepiej położy kabałę, czy Orwidowie wrócą — to mi jedno na sercu! Zresztą nie!
— To źle! Wstyd mi za ciebie, bo, po pierwsze, miałeś kiepski gust, a jeszcze kadcuzniejszą masz naturę, że tego śmiecia żałujesz! No, to taki naprawdę nie zatańczę na twym weselu i ty swego nosa nam nie pokażesz?
— Przyjadę jutro.
— Wiesz co, lepiej dzisiaj pod moją eskortą! Bo jutro, to gotoweś zagrząznąć koło promu i nie dojechać! Ja to wiem po sobie! Kawaler kawalera rozumie!

Tak. Ludzie gadali cuda o ich stosunku, a oni jedni tylko o tym nie wiedzieli. Marek się obejrzał, zastanowił, i cały tydzień nie odwiedził samotnic.

Na tradycyjalną wigilijną wieczerzę panna Aneta sprawiła mu sążnistego szczupaka z szafranem i starożytną «kutią» na zimno — obiecał przyjechać.

Nad wieczorem wybrał się tam pierwszą sanna, na zawrocie do Jurgiszek popędził konia. Czuł wyrzut sumienia, że mija to sieroctwo, opuszczone od wszystkich.

Nagle z wysady parobczak konny wyskoczył na drogę, spojrzął i zatrzymał go zdyszczanym głosem:

— Stara pani prosi na minutkę.

Zawrócił, nie mówiąc słowa.

Babka z wnuczką były, jak zwykle same u stołu, nakrytego sianem.

Powitały go przeproszeniem.

— Pan zajęty, spieszy do swoich. Chciałyśmy z panem oplatkami się podzielić.

Ucałował ręce staruszki — błogosławiła go. Przed wnuczką głęboko się uklonił — miała łzy w oczach!

— Nie mamy nikogo! — rzekła pani Janiszewska — Rodzina niewiełka i jeden przyjaciel, pan! Dlatego byłyśmy natrętne. Pan wieczerza w Poświciu?

— Jeśli pani pozwoli, tutaj — odparł po swojemu, krótko.

I został. Zapomniał o Ragisie i szczupaku, i p'otkach ludzkich. Pod chropowatą powierzchnią dźwięczało w jego duszy szczerze złoto. Około północy, gdy siedział milczący i słuchał kolędy, śpiewanej przez Jadwigę, nagle służąca ukazała się w progu.

— Przyjechał po pana ciwun z Poświcia! — oznajmiła.

Pożegnał się i wyszedł. Wójt dworski istotnie czekał go w sieni.

— Co się stało?

— Ja nie wiem, panie! Ktoś przyjechał pocztą i na gwałt kazano po pana jechać?

— Orwid — zamajaczało, jak gwiazda zbawienia, w głowie Czertwana. Nie pamiętał, by mu kiedy tak biło serce.

Wziął ciwuna na sanie i, o чудо, rozmawiał!...

— Widziałeś tego pana?

— A juści! Cały dwór widział. Młody, *ciemniutki*, małeńki, z bródką! *Musić* to kupiec ruski. *Jakościś* ubrany, niby w spódniczce po kolana i po rusku mówił z panem Sawgardem.

— Orwid! — brzmiało coraz radośniej w duszy Marka. Popędział konie, leciał jak do kochanki!

Wjeżdżając na dziedziniec, spojrzął w okna pałacowe. Były ciemne, jego tylko mieszkanie stało oświetlone.

— Czemuście pana tam nie wprowadzili? — zawołał zgorszony.

— Czyż ja wiem? — odparł wójt, *musi*ć tak chciał.

Stanęli pod gankiem. Marek wyskoczył, żywo otworzył drzwi.

Gość stał u stołu, na którym kipiał samowar, i zwiżał pa pierosa, pogwizdując bez ceremonii.

— Dusza moja, a gdzież ten wasz *uprawlajuszczij*? — zagadnął, nie oglądając się.

Markowi na ten głos opadły ręce, prawie rozpacz przemknęła mu po twarzy.

— Kazimierz! — wykrzyknął.

Młody człowiek rzucił papierosa, podbiegł, objął go za szyję i począł ścisnąć i całować.

— Witaj brat miły! Witaj! — wołał ze łzami w oczach. — Ot i ja przyjechał na rodzinę. Co? Ty mnie poznał? Ha? Wyrósł ja?

Marek obejrzał przyrodniego brata uważnie.

Wyrósł, zapewne, ale jakże się zmienił! Z ładnego młodego chłopca stał się człowiekiem chudym, bladym, obrzękłym, już trochę łysym, ze szklami na wpadłych oczach. Jucht czuć od niego było, zmieszany dziwacznie z paczulą i słodkawym dymem tytoniu. Atmosfera klubowej szulerni.

— Głos poznałem — rzekł starszy, obserwacje chowając dla siebie. — Możesz głodny, zmęczony? Z daleka jedziesz?

— Z Rygi, brat miły! Szelma Witold ma ładną kochankę! Prosto duszka! Już ja się od lata zabieram jechać do was, zaraz po twoim piśmie, ale między tym wypadł interes! Nie było jak!

— Rad jestem, żeś wrócił nareszcie! Siadaj, proszę. Nie słyszałeś czego o Orwidach?

— Ani psa! Zbierałem sprawki najdetailedziej, ale bez żadnego skutku!

Ogrodniczek, pełniący zarazem funkcję lokaja Marka, przyniósł wieczercę. Zasiadli do niej we dwóch. Gość zażądał wódki i pił kieliszek po kieliszku, papląc coś bezustanku. Gospodarz podparł głowę łokciem i słuchał, coraz posepniejszy.

Stanął mu w pamięci ów wieczór jesienny, gdy po liście Kazimierza poszedł na Dewajtę. Szumy dębowe nie darmo go ostrzegwały przed odejściem!

— «Epoфеja», moja jazda — powiedział Kazimierz, upajając się własnymi słowami. — Tydzień żegnaliśmy się z druhami. W niedzielę zaprosił mnie starszy sowietnik, w poniedziałek dał kolację prokurator, we wtorek byłem u kupca C., we środę na bliźny zawołał do siebie przeświatły ojciec Nikanor, we czwartek poszedłem do mojej przyjaciółki wdowy Pelagii Rokowny, a w piątek na dworcu dałem ja kolację kolegom. Nikt nie był trzeźwy, *szampeter* lał się, jak woda, *oczyszczonej* zabrakło w bufecie. Zapłaciłem 600 rubli daremnych, bo je wybędnilem w *stukułkę*, i pojechałem z placzem. Oh, miły brat! Jak mnie ciężko przyszło rozstać się z dobrymi ludźmi! Spałem spokojnie do Kołymny, aż tam kiedy wyrzęc — na platformie sotnia cyganek i cyganów. Ktoś im dał wiedzieć, że jadę; przyszli z powitaniem i z pieśnią. A ty słyszał kiedy cygańską pieśń? Jak pieją! Dusza moja! Nic piękniejszego nie ma na bożym «mirze»! Na rękach mnie wynieśli i trzy dni trzymali i gościli. Tak ja nigdy nie biesiadował. A co pierzyn nastali! Cha, cha, cha!

— Z matką się widziałeś? — zagadnął Marek, obojętny na te sukcesy.

— A jakże! Pisałeś, że ojciec—daj mu Boże zbawienie—zostawił i dla mnie majątek i kapitał. No, a gdzież oni?

— W matki zarządzie.

— Jakże to? A ona mówiła, że u ciebie znajdę!

— To źle mówiła, bo ja nic o tym nie wiem. Ojciec tobie, jak każdemu z nas, dał 5,000 rubli, Ejniki przy tym i błogosławieństwo, jeśli wrócisz! Mnie kazał Poświcia pilnować, i do was się nie wtrącać.

— To « płocho », brat miły, bo ty jedna głowa. Oni mnie gotowi « naduć »! — rzekł Kazimierz frasobliwie.

Na pociechę wypił kieliszek.

— Niczego! — zawołał z fantazją. — « Połóżmy » nawet, że nic nie dadzą to mi teraz nie strach! « Żałoby » nie założę. « Połączam » tysiąc rubli « żałowania »! Można żyć. Żebym chciał, tobym był bogatszy, mogłem się ożenić. Aha, prawda! Toż i ja ciebie dziś spłoszył od panienki...

Marek obojętnie ramionami rzucił. Kazimierz więcej się nie pytał, sen go morzył, coraz ciężiej obracał językiem, mrugał oczyma, rozkładał się wygodniej w fotelu, wreszcie zachrapał. Gospodarz polecił go opiece ogrodniczka, a sam wyszedł na ganek, obojętny na mróz. Myśli jego były daleko, przy grobie ojca. Jaki on był szczęśliwy, że umarł, nie zobaczywszy dnia tego!...

Nazajutrz, kto żył we dworze, pod przewodem rządcy spędził ranek w kościele.

Gość spał, potem zjadł obiad i znowu spał. Marek kazał konia założyć i ruszył do Sandwilów. Pierwszy raz czuł potrzebę podzielenia się z kimś swoją nową troską. Wczesny zmrok zimowy zapadał, gdy wjechał w ulicę.

Ze wszystkich okien biło światło, odzywały się wszędzie skrzypce i bębenki, gromady postrojonych chłopaków chodziły z kołędą, u Wojnatów tańczono ochoczo, tłum otaczał zagrodę, tylko jego chata była cicha i prawie ciemna.

Wielki czarodziej i panna Aneta grali sobie w mariasza przy kominie. Żalowali świecy zapewne.

Wszedł, powitany zajadłym szczekaniem i piskiem me-nażerii.

— Marek! — powitała go radośnie ciotka — A to dopiero miła niespodzianka!

— Cicho, hołota! — zakrzyczał Ragis, robiąc porządek swą drewnianą nogą. — Aha! Niespodzianka! Czemu to tej miłej niespodzianki nie było wczoraj! Nie zjadłbym całego szczupaka i nie chorował dzisiaj! To się wie! Nasz pan raczkami się karmił panieńskimi i o bożym świecie zapomniał!...

— Niech go jegomość nie konfunduje! — wdała się panna Aneta. — Dzięki Bogu, że jego biednego co cieszy! Siądź *kochanińki* przy kominku! Ogrzej się! Nie frasuj! Zaraz cię ugoszczę, jak mogę.

W futrzanym tołubku, uśmiechnięta, serdeczna, starowina wyglądała młodsza o lat dziesiątek. Spokój i zgoda wyrównała bruzdy po dawnych łzach. Krzątała się, jak za dobrych czasów. A Ragis burczał:

— Panna Aneta wszystkiemu rada. Mordercę by ugościła. Aż złość słuchać! Chłopiec do reszty się rozpuścił przez te pieszczoty. Ho, ho, ho! Ja! inaczej! Żołnierz w szeregu — dobrze. A dezterter — kulą w łeb. To się wie!

— Nie słuchaj, Mareczku, nie słuchaj! — wołała pocziwa kobieta, znosząc na stół różne specjalne.

Zbyteczne było ostrzeżenie. Marek znał Ragisa, pozwał na mu wygadać się. Usiadł u ognia i w milczeniu grzał pokostniałe ręce. Z ulicy dobiegała aż tu kołęda, to znowu muzyka i tu-panie u Wojnatów.

W tej chwili z sieni otwarto drzwi i ukazała się ospowata, przerażona twarz Grzesia. Wedle regulaminu, miał oczy zamknięte.

— Proszę pana kaprala! Nieszczęście! — zawołał gromko Ragis, wstając.

— Jakiśśiś cudzy koń stoi między naszymi. Może złodzieje podrzucili, a może, uchwaj Chryste, złe się pokazało! — wybełkotał parobek.

— Jesteś gęś! — wrzasnął mu nad uchem eks-kapral, nie mogąc śmiechu utrzymać, tak głośno, że chłopak otworzył oczy, spojrzął i zawstydzony uciekł czym prędzej.

— Pocziwy Grenis! — uśmiechnęła się panna Aneta.

— Co to pocziwy — oburzył się kaleka — proszę powiedzieć głupi! Ale kto tam przekona pannę Anetę? Ot, co to znaczy opuścić swoich! Za złodzieja cię biorą albo złego ducha. Dobrze ci tak!

— Wczoraj nie mogłem być — ozwał się nareszcie Marek.

— Dlaczego?

— Bo Kazimierz przyjechał...

Starzy oniemieli z podziwu i radości. Po chwili dopiero zaczęły się wykrzykniki.

— Przyjechał — powtórzył Marek posepnie — ziemi dochodzi i pieniędzy. A jaki, zobaczycie sami. Ja nie poznałem.

— Czemuś go nie przywiózł? — spytali oboje razem.

— A jak? Kiedy spał. Wypił za wiele. Nie zrozumielibyście, co gada!

Zamilkli wszyscy troje owym ciężkim milczeniem, co kryje zgrozę, ból i często serdeczne łzy. Jedzenie stało nietknięte, ognia nikt nie podsycił.

— Biedne dzieciátko! — szepnęła staruszka, i dodała coś niewyraźne, może modlitwę.

Ragis brodę podparł pięścią i gryzł wąsy, wreszcie wzdrygnął się cały.

— Cóż będzie z tego? — spytał głucho. — Zostanie tu, czy wróci?

— Bóg wie — zamruczał Marek.

Panna Aneta złożyła ręce, wzrok zwróciła na obrazek ostrobramski nad swym posłaniem. Łzy jej tamowały mowę:

— Matko Najświętsza! Przemów mu rodzoną mową do serca! Daj mu opamiętanie, by nie odchodził już od nas! Tyś cudowna!

Stary wojak wstał i, stukając kulą, przeszedł się parę razy po izdebce.

— Nie puścić go i basta! — zawyrokował po żołniersku.

Potem zatrzymał się przed panną Anetą i rzekł:

— A co? Krzyczała panna Aneta: «Nie słuchaj, nie słuchaj!». A racja była moja! Za dezercję kulą w łeb! Ale kto

tam pannę Anetę przekona! Gotowa i tego ugościć.

— Jakże go nie pożalować biedniátka? On jak chory teraz!... — usprawiedliwiała się.

— At! — strzepnął stary rękoma. — Pannie Anecie było się urodzić kapelanem u kryminalistów! Ma się rozumieć, rozgrzeszałaby ich hurtem! No i cóż ty z nim zrobisz, Marku? — zagadnął.

— Zobaczmy! — odparł po swojemu Żmudzin.

— Wyswatać mu pannę i jak najprędzej ożenić — doradził Ragis. — Ach, nie ma czarnej Julki, w sam raz dla niego połowica!

— Zatrzymaj go, Marku — szepnęła panna Aneta — może zapomni! Nie frasuj się nad miarę; daje Bóg troskę da i pociechę!

Dłoń jej, stwardniała od pracy, spoczęła łagodnie na jego schylonej głowie, a on tę rękę wziął i w milczeniu do ust przycisnął.

— Gdzie ta pociecha dla mnie! — wyrzekł po chwili — Orwidów nie ma!

— Przyjadą! — wymówiła z mocą — Niezadługo będą!

Podniósł głowę, smuga ożywienia i zajęcia zabłysła mu w oczach.

— Kto ciotce mówił? — zagadnął.

— We śnie ich widziałam! Nieopadał byli, a szli szparko. Zobaczysz, nie upłynie rok, a wyzwolą cię!

— Tere-fero! Sen mara! — zaśmiał się Ragis. — Ot, lepiej chodź do obory, pokażę ci z latarnią, jakie u nas cielęta dał Bóg na kółkę. Klacz także zrobiła niespodziankę. Żrebak jest, jak malowany. Chodź!

Rozproszyło to nieco smutne myśli. Stary istotnie czary znał chyba. W każdym kącie widać było ład i dostatek, z chaty panna Aneta zrobiła czyste, schludne mieszkancko, zapas był w spiżarni i stodółce, bydło utrzymane na pokaz, a szkapy Grenisa parskaly wesolo nad pełnym żłobem.

Przepowiednia ciotki i widok przeistoczonej zagrody napelnily otuchą Marka. Przez ten rok wytrącił macosze i Wi-

toldowi sporą sumę, dokupił ziemi, nie żałował pieniędzy na to wydanych, grosz dla niego nie był celem — był tylko środkiem wszechpotężnym. Nazywano go chytrym i skąpym, a on był tylko skrytym i wytrwałym. Od dziecka miał jedną myśl i pragnienie: utrzymać ziemię, jeden strach: dać ją sobie wydrzeć! Z drogi raz obranej nie schodził na cal, nie ustawał na minutę.

Kazimierz tymczasem rozgościł się w Poświęciu! Dużo spał i pił, w przerwach czytał gazety, opowiadał swe triumfy, lub pytał brata:

— Duszo moja, cóż będzie z moim « dziełem? ».

Tak nazywał interes ojcowskiej spuścizny.

— Czekajmy matki z Rygi... — odpowiadał Marek.

Po Trzech Królach zaledwie rozeszła się wieść, że pani Czertwanowa wróciła; przyjechał też i Witold chory, zrezygnowawszy na ten rok z nauki.

Kazimierz zażądał koni i pojechał, odziany w wołokowe buty, ogromną, jak hocianie gniazdo, czapkę i tołub watowany i marszczony w pasie, który ciwun poświęcki nazywał spódniczką. Ze wszystkich okien oglądano ten wyjazd, robiąc różne uwagi i śmiejąc się z cicha.

Stary ekonom, Sawgard, pluł i wąsy targał.

— Nasz starszy — tak nazywano Marka — to i diabły się nie zląkł, kiedy na tę poczwarę mógł patrzeć i nawet się nie skrzywił — zadecydował, gdy sanie zniknęły za bramą.

W oficynie poświęckiej zapanowała dawna cisza. Administrator objeżdżał folwarki, rachował, rozprawiał się z kupcami, zbierał pieniądze i milczał.

Bystre jednak oko spostrzegłoby, że go trapił jakiś niepokój. Wyglądał często na droge, słuchał uważnie każdego szmeru, czekał powrotu brata.

Po tygodniu pojechał za rzekę. Dubissę ściął już lód mocny, młyny zamilkły, prom ściągnięto na brzeg. Lekkie sanki przemknęły jak duch po wartkim niedawno prądzie, droga zimowa szła pod samymi Skomontami. Marek popędzał konia; nemiłym mu był widok dawnego dziedzictwa.

Wtem z dworskiej ulicy brzęczący zaprząg Witolda wypadł nań z impetem.

W saniach szeroko zajęła miejsce watowana spódnica Kazimierza.

— « Postój! Postój! » — zaczął krzyczeć. — A gdzie to, duszczka?

— Do Sandwilów! — odparł Marek, stając.

— Tak ja z tobą... Ot dobrze wyszło, że ciebie spotkałem.

Przeniósł spiesznie swą osobę na jednokonkę, forsownie ratując wołoki ze śniegu. Ruszyli w stronę zaścianka.

Marek, wedle swego zwyczaju, o nic nie pytał, choć może raz pierwszy w życiu był czegoś ciekawy.

— A ja do ciebie jechałem — zaczął Kazimierz — czas wracać. Zasiałem się nad miarę. Gościli i poili, ale « nie stoi » siedzieć bez potrzeby. « Mamińska » dała pud wędliny i jabłecznego sera. Biedna ona. Ciężko jej...

— Toż jest Witold... — wtrącił Marek.

— Co, on? « Niedorośli! ». Piwo szumi jeszcze! A jej cały kłopot — rzekł dobrodusznie Kazimierz i westchnął.

— Jak ja się obejrzał, tak i nic nie mówił o tym spadku. Po co dogryzać biedną kobietę? A ona, duszczka, sama zaczęła ze łzami: « Ojciec dał Ejniki, to je weź sobie mileńki. A pieniędzy to nie ma. Chorowałam, wzięła apteka: « Święta kobieta! Dobyła z kufra precjozy swoje i oddawała mnie na zastaw swoje ostatki. Aż mnie coś zaczęło klukać w sercu. Ledwie ubłagałem, żeby to przyjęła ode mnie na podarunek. Bo i cóż, miły brat? Albo to mi życie te 5,000 rubli, albo matczyne « safiry » i perły? Żonki nie mam, a cygance dać niepięknie. Ot, wędliny to przyjąłem, bo to zakąska rzadka. Będzie czym druhów potraktować, jak wróce. »

— A Ejniki? — zagadnął Marek po chwili milczenia.

— Ejniki oddali. Oglądałem « ich » z Witołdem, ale trochę mieliśmy w czubie, to i niewiele widzieli. Koniak ma nasz młody, że « prosto duszka! ».

Obliznął się z apetytem i zagadnął:

— A będzie tam u ciebie czym zakąsić?

Marek skinął głową i znowu badał:

— Cóż będzie z folwarkiem?

— Radzę oddać w dzierżawę. Nawet Żyda sprowadzili. Dawał sześćset rubli, ale ja się uparł na siedemset.

— Ja ci za niego dam siedemset — zamruczał olbrzym.

— Dasz? To i « dzieło » skończone. Ty gospodarz sławny! Zagospodarujesz, to będzie co sprzedać potem!

— Chcesz sprzedać? Nie zostaniesz na ziemi? — zamruczał Marek.

— Cha, cha! Jaki ty śmieszny! Na ziemi zostanę, bo do nieba wysoko!

— Jest jedna ziemia swoja, a tamto reszta, to wygnanie! Ja się pytałem, czy znowu uciekniesz?

— Muszę, miły brat. Mnie nie « dzieło » ziemię tutaj kopać, kiedy tam czekają miliony, byle brać! Ot, ja tobie powiem sekret: My we trzech założyli towarzystwo handlu z Kirgizami! Prowadzimy w stepy perkale, a bierzemy bydło i sierść z « wierbluda »! Zarabiamy sto na sto. Na co mnie Ejniki? Co?

— Jak zechcesz sprzedać, to daj mi pierwszeństwo — rzekł powoli Marek. — Teraz nie mogę, ale za parę lat zapłacę.

— Z zadowoleniem, duszeczka! Hu, « krzepki » mróz! Sława Bogu, że dojeżdżamy. « Ciotuszka » nakazywała, żebyśmy do niej zajeżdżali.

Sanki wbiegły w ulicę zaścianka i stanęły.

Przed nimi cała przestrzeń zatłoczona była końmi i ludem. Kilkanaście instrumentów tworzyło hałas piekielny, kilkadziesiąt głosów śpiewało chórem.

— Co to? Odpust? — zagadnął Kazimierz.

Marek nic nie odparł. Zjechał w bok, zatrzymał konia i patrzył.

Naprzód na saniach jechała kapela, gwarno i barwno, za tym drugi zaprząg, pełen strojnych dziewcząt i kobiet, potem kilkoro młodzieży konno, za nimi wreszcie parokonne sanie, wysłane wzorzystym kilimkiem, a na nich ładna, jasnowłosa dziewczyna i chłopak czarniawy, uśmiechnięci radośnie.

Dalej znowu sanie i konni, a wreszcie dziatwa pieszo, krzycząc i machając czapkami.

Korowód otarł się o Czertwanów, a Margas, rozgniewany wrzaskiem, zawył żałośnie.

Przeleciało to wszystko cwałem i znikło, nim się Marek zdobył na odpowiedź bratu:

— Wesele!

— Toż poznałem i sam... Nawet niczego sobie panna młoda! Znasz ich?

— Znam.

— To ty na « swadźbę » jechał?

— Nie.

— A czemuż nie?

Nie było odpowiedzi. Marek konia zaciął, jak wiatr minęli zaścianek, wjechali do zagrody. Tam nie myśłano o weselu.

Grenis w ogromnym kożuchu poił z wiadra sędziwą Białkę, gadając coś do swawolnego żrebaka; Ragis z Żydem szli od « swironka », klócąc się o cenę jakiegoś ziarna na sprzedaż, a panna Aneta z dziewczką stały u drzwi chlewa, naradzając się nad sposobem zaostrzenia apetytu apoplektycznych czworonogów, które już się o własnych siłach nie mogły podnosić.

— Pochwalony! — pozdrowił Marek.

— Na wieki — odpowiedziano radośnie.

— Gościa przywiozłem!... — oznajmił, zsiadając.

Grenis otarł nos o rękaw i odprowadził konia, panna Aneta roztworzyła ramiona, a Ragis, widocznie nie rad z proponowanej ceny, pokazał Żydowi figę i wrota wymownym ruchem.

Nareszcie mógł Marek milczeć. Starzy opadli Kazimierza, jako niewinną ofiarę.

Olbrzym ostatni wszedł do izdebki, na kufrze panny Anety usiadł i, zwiesiwszy głowę, rozmyślał. Do rozmowy się nie mieszał.

Jak przez sen brzmiały mu wyrazy: łagodny głos ciotki, łamana mowa brata, okrzyki Ragisa.

Nagle kaleka skoczył jak oparzony:

— Co? Wracasz?—zawołał gromkim głosem, stając przed Kazimierzem.

— A cóż?—zagadnął ten ostatni, wytrzeszczając oczy zdumione, że go o to nawet pytać mogą.

Zapanowało głucho milczenie.

— To po coś tu jechał? — ozwał się wreszcie stary ponuro.

— Jakże po co? Pisał Marek, że ojciec umarł.

— No to co? Już blisko roku, jak go pochowaliśmy...

— Aha! Czas leci, jak depesza po drucie! — westchnął Kazimierz.

— A na grobie jego byłeś?—wtrąciła delikatnie panna Aneta.

— Nie było kiedy, miła « ciotuszka »! Będę, jak drugi raz przyjadę.

Ragis zwrócił się na pięcie i zmierzył oczyma swego chrześniaka.

— Marek!—zawołał ostro.

Zagadnięty podniósł głowę i wzrok ponury.

— Co ojciec chce? — spytał obojętnie.

— Toś ty nie był przy śmierci rodzica? Nie słyszałeś, co mówił?

Młody oprzytomniał, spojrzał po obecnych, domyślił się o co chodzi i rzekł:

— Co do mnie mówił, słyszałem i spełniłem.

— A co o nim mówił, to nie pamiętasz? Ho, ho! Ma się rozumieć, nie tobie dali depozyt i polecenie, ale tamtym, ale ty powinienes dochować!

— Wszystko ja! — zamruczał niechętnie.

— A tak! — potwierdził Ragis gorąco.—Tobie trzeba było powiedzieć mu: Ojciec ci ziemię uchował i błogosławieństwo swoje zostawił, jeśliś mowy i wiary nie zapomniał. Bo mowa wielka moc, a wiara wielkie dobro! Czy tak, Kaziu? Rozumiesz ty mnie?

Kazimierz popatrzał na mówiącego przez swe szkła trochę błędnie. Z mrozu, pod wpływem nalewki ciotki, robiło mu się rzewnie na duszy, na płacz mu się zbierało.

— Tak, tak!—zaczął, wzdychając—wy pięknie mówicie! Ja « znam »! Ojciec święty był człowiek, że o mnie podłym pamiętał! Ja ciągle wybierał się wrócić i do kolan mu paść, ale czort przeskadzał! Ale ja tam nie kradł i nie próżnował. Tyle wszystkiego, że hulał trochę. Ja nie zapomniał o was.

— To zostań, dzieciátko, z nami! — szepnęła panna Aneta, podchodząc do stołu i napełniając mu kieliszek, po który on chciwie sięgnął.

— Nie mogę, « ciotuszka », gołąbko! Nie mogę, przysięgam! — zaczął, wychyliwszy specjał.—My sierść z « wierbluda » będziemy kupować, łój topić, ruble zbierać. Jak wrócę, to będę bogaty, jak Rotszyld, i wam dam, ile zechcecie w podarku.

— To znacz, ojcowskie błogosławieństwo nie dla ciebie! — rzekł Ragis, siadając ciężko na zydel.

Zrozumiał, że z tym człowiekiem nie było punktu wyjścia. Znowu ciotka dołała nalewki, aż Marek mrugnął na nią znacząco.

Kazimierz pił, krzywił się, spluwał i coraz gorzej płątał językiem.

— W Petersburgu takiej nie piłem; zlotko, delicje! Czemu ojca krzyż nie dla mnie? Ja « czestny » człowiek. Ja jemu złoty pomnik postawię, sto mszy kupię! Ja nie zapomniał o swoich! Ale coś mnie « durno! ».

Zaczęła go czkawka dławić, zbladł bardzo, jakby miał zemdleć.

Zerwali się wszyscy.

— Ot masz! Jeszcze się rozchoruje! — zawołał Ragis.

— To nic, to nic! — szepnęła tajemniczo panna Aneta.—Zanieście go do izdebki jegomości i połóżcie. To tak trzeba...

— Co trzeba? — badał stary, ale panna Aneta położyła palec na ustach i, obejrzawszy się wkoło, dodała cichutko:

— Ostatni on raz kieliszek miał w ustach. Dałam mu lekarstwa!

— Aha? — rozpogodziła się twarz Ragisa — to się wie! Tak, to zgoda!

Kazimierz jęczał okropnie, pot mu okrywał skronie. Marek wziął go jak dziecko na ręce i wyniósł z pokoiku. Kaleka poszedł za nim.

Wrócili po pewnym czasie, trzęsąc głowami.

— Czy bo nie za wiele na jedną osobę tego *biebrzeńca*? — zagadnął Rymko.

— Ej nie! W samą miarę! — rzekła stanowczo.

— No, no uchowaj Boże chrześcijanina od takiej miary i podobnego trunku. Panna Aneta ugościła go należycie!

— Długo mnie sumienie gryzło: Dać, czy nie dać? Ale się dziś brat przyśnił i nie bronił. Sroga to choroba!

— Żeby mu jeszcze zadać dekoktu na tę sierść z «wierbluda!» — zauważył Ragis — to także sroga choroba!

— Da Bóg radę na wszystko — szepnęła starowina, sprzątając napitek leczniczy do kuferka.

Marek w tej chwili wyjrzał okienkiem. W dali orszak weselny wracał, jeszcze gwarniejszy i śpiewniejszy. Było już po ślubie.

Stary Wojnat przyjmował chlebem i solą, życzone długich lat i pomyślności, kapela grała do tańca...

Na Markowym podwórzu Margas zziębły zawył drugi raz, zawtórowała mu psiarnia Rymki i dusza Marka. Od wyrostka myślał o tym dniu i doczekał się go wreszcie. Sztuka była ta sama i scena znajoma, tylko się aktorowie zmienili — dla niego brakło tam miejsca!

V.

Wysoko na niebo wzbily się skowronki i wołały na alarm do roboty.

Z dworów i wsi jak z mrowisk wyległa szara rzesza pracowników, rozeszła się po polach, zahuczała gwarem, zatętniała ziemia ruchem.

Pergrubia, żmudzka bogini wiosny, szła rozłogami, rzeką, i lasami, uczyła ptaki śpiewu, kwiaty rozkwitu, odziewała szare niebo w błękit, pola w zieleń, aż wreszcie spoczęła na wzburzonych falach Dubissy i pędziła do odwrotu resztki kry zimowej.

Pastuszkowie, wpędzający trzodę nad rzekę, widzieli czasem czarodziejkę. Z zarośli wstawała biała, do mgły podobna, i ślała się po parowach, zostawiając, niby ślad cudny, rosy brylanty; potem ją słońko brało z sobą i niosło w dal, z oczu chłopięcych, do czarnej dąbrowy, która najdłużej obudzić się nie dała...

Przyleciały bociany długim sznurem, zmęczone daleką drogą, obsiadały strzechy stodół, poznawały stare siedliska.

Raz wieczorem para długo krążyła nad Sandwilami: opadały, to znów się wznosiły, aż wreszcie spuściły się majestatycznie na Markową zagrodę i zaklekotały donośnie.

Dawniej lękały się dziurawych strzech i nikt ich nie wzywał, teraz na szczycie budowli czekało ich przybycia stare koło

od wozu: zrozumiały, że były pożądanymi gośćmi, dziękowały za przyjęcie.

Ragis uśmiechnięty witał ich z całym żmudzkim zapałem i tradycją; panna Aneta z ogródka, gdzie pracowała po całych dniach, wyglądała rozpromieniona; nawet ospowaty Grenis, wróciwszy z sochą z pola, zapomniał subordynacji i wołał na cały głos do kaprała:

— Pone! Pone gużutis! Gużutis! (bocian).

Goście osiedli na stałe, Rymko zacierał ręce, wyglądał odwiedzin Marka. Toż go dopiero ucieszy to gniazdo!...

Ale Marka nie widziano od owej ostatniej wizyty z Kazimierzem. Jak król rządził z Poświęcia, objął Ejniki, gospodarzył w Budrajciach, ale sam nie przyjeżdżał. Stara służba ze Skomontów powoli, cichaczem, przyszła do niego; nie mogli się żyć z Niemcem i młodym panem...

Osadzał ich na swych dzierzawach, oddając pod nadzór Ragisa, sam się do niczego nie wtrącał, co było jego własnym interesem; do młynów tylko dojeżdżał, które z wiosną poczęły znowu terkotać i sypać grosz wraz z mąką.

Coraz szerzej zaczęto o nim mówić po okolicy. Twierdzono, że pracą i skrzętnością przejdzie ojca, wrócono mu miliony, rodzice stawiali za wzór synom, kobiety prosiły Boga o podobnego męża dla córek, zazdroszczono ogólnie starej Janiszewskiej, i z ciekawości zaczęto zaglądać do Jurgiszek, aby poznać Jadwisę, ów domniemany ideał mruka.

I Skomonty były na językach ludzkich. Witold wrócił do Rygi, gdzie « zadawał szyku » i afiszował się z jakąś niemiecką aktorką, miernych zdolności, ale niebrzydkiej twarzy. Tracił dla niej bajeczne sumy, pojedynkował się na rapiry trzy razy na tydzień, i pokłócił się nareszcie z matką.

Musiało być krucho około pani Czertwanowej, kiedy przyszła do Marka uprzejme zaproszenie na Wielkanocne Święta z tysiącem skarg i utyskiwań.

Marek ze swej rezydencji odpisał odmownie. Na święta wzywał go Jazwigo do Kowna dla interesu. Był to doroczny termin zakończenia poświckich rachunków i utworzenia bilansu.

U Wojnatów gospodarzyło młode małżeństwo. Marta promieniała urodą, nie brakło dostatków, ale pomimo to jednak czegoś nie dostawało. Bywały często swary. Wojnat stetryczał i kłął o byle co, Marta nie umiała zamilczeć, Łukasz, zawsze zalękły a rozkochany, potakiwał żonie.

Stary co tydzień wypędzał ich z chaty, służba nie wiedziała kogo słuchać, a młodzi w tej ciągłej niepewności tracili ochotę do pracy.

W dodatku przyplątały się choroby. Zaglądała młoda kobieta często po ziola do panny Anety, i choć śmiała się z żartów Ragisa, czuć było rosnącą gorycz w jej duszy. Łukasz, wiecznie wdychający, nudził ją.

Razu pewnego przyszła nad wieczorem do staruszki. Lęz ślady były w oczach, choć rozmawiała swobodnie.

— Przychodzę do pani po deseń na kilimki. Takich gustownych nikt nie ma u nas... O! Jak tu u was ładnie!—dodała, zaglądając do ogródka przez nowiutkie sztachety.

— Dziękuję, moja śliczna, dziękuję za pochwałę! — odparła staruszka... — Deseniki mam i dam z przyjemnością... A jakże tam z febrą u was?

— Dziękuję! Trochę lepiej, już dziś Łukasz poszedł w pole do siebie, bo musi być wyprowadzimy się od dziada...

Zaśmiała się z przymusem i dodała:

— Chleb, cudzym nożem krajany, niesmaczny! Pana Ragisa nie ma w domu?

— Nie ma. Pojechał na Żwirble, a że ze strzelbą, to pewnie na kaczki pójdzie.

Usiadły na ławce pod chatą. Wieczór był śliczny, pełen zapachu brzoźowych pączków, gwarny od roju owadów i usypiającego pactwa.

Staruszka założyła pracowite ręce, a Marta oglądała czyste podwórko.

Pactwo domowe szło do rąk karmicielki, zdala dążyła trzódka bydła i owiec kilkoro. Zagroda świeciła spokojem i porządkiem.

— Szczęśliwą macie rękę! — zauważyła młoda kobieta — niedarmo pan Ragis czarodziej! W rękach wam się wszystko mnoży i rośnie!

— Największy czarodziej Bóg i cudowna Panienska z Ugian. Nie nasze to szczęście, ale Markowe... Sierota on i wszyscy odstąpili go i skrzywdzili. Takiego Bóg miłuje i opatrzy.

Marta spuściła oczy. Od dawna już było dla niej jasnym, że słabością charakteru popsula sobie dolę. Poczucie to zaostrzyło jeszcze gorzej stosunek z dziadem. Może i sam Wojnat żałował teraz swego oporu i zaciętości.

W tej chwili turkot się rozległ na drodze. Wyjrzały obie.

— Ot, i jegomość wraca! — zawołała panna Aneta, na widok białej klaczy ze źrebakiem. — Słowo stało się ciałem! Toż nasz Marek z nim!

Ruszyła, żywo otwierając wrota, ale młody już wyskoczył.

— Widzisz bociana? — krzyknął Ragis z wózka.

Podniósł oczy i cofnął się mimo woli. Nie spodziewał się zobaczyć w swej zagrodzie dawnej narzeczonej. Krew mu uderzyła do twarzy, spuścił wzrok.

— A skądże to Bóg prowadzi? — wołała ciotka radośnie. — Chodź, chodź, wyglądamy ciebie!...

Podszedł, Rumieniec ustąpił powoli. Bez odrobiny zmieszania uchylił przed Martą czapki i pozdrowił krótko.

— Dobry wieczór.

— Mnie niech się pyta panna Aneta, gdzie go złapał! — krzyczał Ragis z podwórza od stajni. — Ho! Ma się rozumieć! Stary dąb już szumi, to i wiadomo, gdzie ten poganin siedzi. Pacierze gada do drzewa. Przydybałem na gorącym uczynku. Dobry wieczór, pani Łukaszowo! Czy aby nie po lubczyk pod sekretem?...

Marta zaśmiała się pusto, po dawnemu.

— Kiedy pan czarodziej, to wie bez mojej odpowiedzi. Do widzenia państwu. Deseniki zabiorę jutro.

Umknęła śpiesznie, a Ragis popatrzał za nią i dodał dyskretnie:

— Wiem, wiem, że wy tam którego pięknego dnia pozagryzacie się na śmierć. At, lichota!

Rękoma strzepnął i do staruszki się zwrócił:

— A wie panna Aneta, co on nam przywiózł z Kowna? Ho, ho! Powiedziałbym, ale panna Aneta, jak to wiadomo, niewiasta, gotowa zemdleć.

— Uchowaj Boże, co złego? — zawołała przerażona.

— Ot, i jest strach. Ho, ho! A mnie, jakem posłyszał, to aż coś rwało do tańca. Drewnenko skakać chciało. Będzie wesele, panno Aneto, ma się rozumieć. Ho, ho!

— Markowe? — spytała, promieniejąc.

— A czemuż nie moje? — obraził się stary, wąsy kręcąc.

— Jegomości nie pilnego. Toś ty z Kowna, Marku?

— Z Kowna i z Wilna. Przywozłem ciotce nasion ogrodowych, a Jazwigło z rodziną wasze ręce całuje.

— A Kazio nic? — wtrącił Ragis.

— Jaki Kazio? — przerwała, składając ręce.

— Jaki? Nasz Kazio.

— Skądże on tam?

Coś nakształt uśmiechu błysnęło pod płowym wąsem Marka.

— Jakem go odprowadził zimą, to i dotąd siedzi — odparł.

— Święty Boże! A to co za awantura? Cóż on tam porabia?

— A cóż? Myślałem, że ducha widzę w salonie u Jazwigły. Córka starego haftowała w krośnach, a on jej głośno czytał. Przyszedłem raz, siedzą; na drugi dzień to samo, i na trzeci, na czwarty! I tak zostawiłem!...

— Ot ziółko dała panna Aneta cudowne! — zaśmiał się Ragis, zacierając ręce. — Bodajto *biebrzeniec!* Już mu nie w głowie sierść z *wierbluda*, co?

— Mówił mi, że sklep założy w Kownie. Wódki do ust nie bierze i zrozumieć można, co gada!

Staruszce łyzy biegły po twarzy, usta się trzęsły.

— Cudowne drogi boskiej Opatrzności! — westchnęła. — Błogosławieństwo ojcowskie go tknęło! Toż to radość bratu w niebie!

— A Orwidów nie ma i nie ma! — zamruczał Marek. — I do Jazwigi nikt się nie zgłaszał. Robiliśmy rachunki. Dwakroć sto tysięcy leży w banku, a ileż przybędzie za dziewięć lat! I na co? Nie ma już na świecie tej sprawy i celu, o którym ojciec mówił, umierając.

— Ha, może i racja! Mało, na świecie dobrego zostało! Pocierp jeszcze trochę a potem po radę do księdza pójdz! Może cię zwolni z przysięgi!

Ciotka podniosła uroczyście rękę.

— Nie zrywaj się, Marku, nie zrywaj! — powtarzała zwykłą zwrotkę — zobaczysz, oni wrócą!

Młody obojętnie ręką machnął i wstał.

— Nie z moim szczęściem czego się doczekać! — odparł apatycznie.

— Ejże, chłopcze, a co z tobą? — zawołał Ragis. — Tfu! Aż złość słuchać. Nie grzesz. Idzie ci, jak z płatka. A bociana widziałeś?

— Ludzie dość pochwał dla ciebie nie mają! — dodała panna Aneta.

— Ludzie, ciotko, powiedzieli Jazwigle, że okradam Poświęcie. Gdy przejrzał rachunki i zobaczył tysiąc rubli więcej dochodu niż dawniej, to płakał biedny stary z oburzenia i żalu. A wiecie, skąd wyszła p'otka? Ze Skomontów. Witold opowiada każdemu.

Nie dokończył, żeby zaciął i przeszedł się parę kroków tu i tam.

— Łotr! — zawarczał Ragis wściekle.

— Takiemu dobrze na świecie — ozwał się Marek ponuro — a jak ciężko, to mają mnie na usługi. Dziś spotkaliście mię na drodze do macochy.

— Na cóż dajesz? — zaperzył się Ragis.

— Żeby kto inny nie dał.

Panna Aneta ze zwykłym swym łagodnym taktem wmieszała się do rozmowy.

— Dosyć, Marku, dosyć. Dobrą drogą idziesz, uczciwie pracujesz, nikogoś nie okrzywdził i nie przeklinał, toś bogaty

i szczęśliwy. Bądź spokojny, przyjdą po ciężkich dobre dni, nagrodzą ci za te troski. Nie trap się. Inaczej nigdy nie bywa, taki porządek świata. Chodź do ogrodu, zobacz, jak drzewka puszczają pędy, jak się zieleni. Zmęczyleś się drogą, głowa ci plonie... Może co boli? Nie kaszlesz?

Staruszka dziwny wywierała wpływ swą słodyczą. Gorka rozpacz Marka i zniechęcenie stopniały przy tych cichych delikatnych wyrazach troskliwości; nie mógł na nią patrzeć ponuro, odpowiadać ostro.

— Dziękuję, ciciu — szepnął. — Boli głowa, ale to mi często dolega. Fraszki!

— A widzisz! A nie powiesz nigdy! Każda choroba od fraszki się zaczyna i fraszką, ziółkiem, da się z początku wyleczyć. Jakiś ty niepocziwy, że milczysz. Poczekajże, rosa pada, chodź do domu. Zaraz ci naparzę brunelki z melisą. Wypijesz, nieprawda? To takie smaczne i orzeźwiające. Chodź, moje dziecko kochane, chodź!..

— Ot, słucha panna Aneta! — zakrzyknął Rymko, napychając fajkę — nie ziółka mu trzeba, ale żonki! To się wie. Humory młodości i basta. Ja to po sobie wiem. Kawaler kawalera rozumie...

Przymuszał się do żartu, żeby rozerwać stroskanego. Zniesiono mu na wieczkę różne przysmaki; przez słabość dla staruszki opił się posłusznie szkaradnego odwaru, rozmawiał nawet trochę o Kazimierzu.

Około północy udali się z Ragisem na spoczynek. Chłodno było, więc stary naniecił ogień z chrustu na kominie i zasypiali przy tym świetle.

Marek z rozkoszą wyciągnął się na posłaniu, w swego ukochanego rycerza z blachy oczy wlepił i rozmyślał nad tym, co gorzej: owe krwawe, straszne boje z krzyżakami niegdyś, czy to nędzne, podłe szamotanie się z losem, bezkrwawe walki, tysiące drobnych ciosów, przygniatająca atmosfera wieku. Rycerz miał dzikie, ale spokojne oblicze; zaciekle, ale pełen woli profil; gonił wroga z jakąś wiarą i nadzieją zwycięstwa, a jego potomek nie posiadał już tej nadziei: energię zastąpił

bierną apatią, walka ta niewidzialna wyżerała mu duszę.

Zawstydził się młody. Zdało mu się, że bohater czarny ożył i piorunował go spojrzeniem wzgardy, i miecz zwracał ku sobie, i pokazywał z kolei swe rany, tysiące krwawych blizn, a potem pędził dalej, dalej, ze świętą ideą obrony ziemi do granic!

Czy pod wpływem ziół ciotki, czy wypoczynku, ale na-
zajutrz wstał Marek uspokojony i z dawną energią. Nie bołało go nic już. Urazę śmiertelną do ludzi wtłoczył na dno duszy, do obrachunku na potem; ciotki ręce ucałował serdecznie.

— Cóż ci się śniło? — zagadnęła, przyrządzając mu śniadanie.

— Niedźwiedź, ciociu, zabiłem go! — odparł swobodnie.

Radośnie klasnęła rękoma.

— Śliczny sen! To swaty oznacza...

— Aha! Prawda! — potakiwał Ragis — panna na niedźwiedziu jedzie. Słowo daję. Żeń się nareszcie! Już ja zebrałem wieści o tej z Jurgiszek. Słyszę, potulna i cicha, gawędą cię nie zmęczy i rodziny nie ma.

— Nie chcę ja jej.

— A to czemu?

— Właśnie, że milczy. Nie mówiłem ja z nikim w życiu, ale z żoną tobym pogadał i powiedział wszystko.

— Tere fere! Otóż racja. A! boż ona słuchać nie zechce, ta z Jurgiszek?

Marek pomyślał chwilę, ważąc słowa.

— Nie wiem, jak wam powiedzieć, ale panna Jeniszewska nie dla mnie się hodowała. Może zanadto dobra... ot, nie takiej mi trzeba i nie teraz o tym myśleć. Nie pora! Na co żona do biedy i troski? Samemu lepiej!

Zabierał się do odwrotu; nie zdołali go zatrzymać.

Pieszko, ze strzelbą przez plecy i z wiernym Margasem ruszył do Skomontów, oglądając się co kroków parę za swą cichą zagrodą.

Bociany na nowym gnieździe stały zadumane, pilnując, zda się, roboty na podwórzu; wiśnie Wojnatów zaszeleściły, gdy

je mijał, a po chwili Łukasz Gral wybiegł na ulicę i dogonił go, pozdrawiając nieśmiało.

Szedł z uzdą w rękę, niby po konia, i towarzyszył uparcie aż za szlak.

— Dawno was nie widziałem, Marku! — zagał wreszcie rozmowę.

— Od waszego ślubu — odpowiedział Czertwan spokojnie.

— Zapomnieliście o nas...

— Mam dobrą pamięć.

— Gniewacie się czegoś musi być — szepnął Gral, patrząc w ziemię.

— Nie! Może wy?

— Oj nie, Marku, nie! Ale mnie troska zjadła przez ten czas! Nieszczęśliwemu nie iść między ludzi.

— Macie, coście chcieli...

— Tak każdy powiada: Żonę masz piękną i dostatki. To prawda, ale doli nie ma. Co ja teraz? Parobek u Wojnata. Przed ślubem moją ziemię kazał sobie zapisać, niby w dzierżawę, inaczej nie dawał Marty, a teraz precz wypędza. Jabym sobie dał radę, ale z kobietą! Do ostatniej kropli krwi pracować będę, ale jej robić nie dam! Ot moja dola i dostatki!

— Takeście chcieli! — powtórzył nieubłaganie Marek.

Gral głowę zwiesił, ociągał się, jakby odejść chciał, ale szedł przecie.

— Pomóżcie mi! — wyjąkał wreszcie.

O! brzym spojrział nań przelotnie.

— Ja do Wojnata za wami nie pójde! — zamruczał.

— Uchowaj Boże! — zaprzeczył Łukasz. — Ja lada dzień do swojej chaty się przeniosę. Roboty mi trzeba tylko! U was, Marku, tyle majątków i handlów, dajcie mi służbę! Martę zostawię — sam pójde dla niej po chleb!

Czertwan znów spojrział na niego. Dziwny los. On to miał dać ten chleb dla Marty! Przychodzili o pomoc do odrzuconego, skrzywdzonego jak wszyscy. Za ten chleb oddadzą mu kamieniem może jak wszyscy!

— Jak bracia żyliśmy tyle lat! — mówił smętnie Łukasz. — Chodziliśmy razem z *pieńką*, i ze zbożem, i z wołami. Znamy się dobrze od dziecka! Wiecie, żem trzeźwy i uczciwy. Nie było między nami żadnej waśni. Wam się wszystko wiedzie, a u mnie w rękę się łamie, co wezmę! Będę teraz jeszcze tężej pracował, bo nie sam jestem, a Marcie chciałbym nieba przychylić! Ot! Ona tego nie mówi, ale często płacze, a mnie strach, że jej szczęście popsulem. To mi najgorsza troska! Pomóście mi po bratersku jak dawniej!

Wiele słów cisnęło się Markowi na usta, więc po swojemu milczał i żadnego z nich nie powiedział, tylko wreszcie odparł krótko:

— Dobrze, pomogę!

Grał aż pokraśniał; podniósł głowę, ożywiony nadzieją, a Marek przystanął około kapliczki na rozdrożu i ozwał się:

— Znasz jezioro Wilajki?

— Znam! — odparł, mimowoli prostując się służbowo.

— Pójdiesz tam. Słyszałem, że dzierzawca umarł. Zobacz tonie, pogadaj z rybakami i pójdź do właściciela. Można dać sto rubli drożej, niż Żydzi! Oto zadatek, spisz kontrakt na twoje i moje imię. Podzielimy się zarobkiem. Pojutrze czekam cię z powrotem.

Krótki ten, dobitny rozkaz, brzmiał jak chór anielski w uszach Grała, nappełnił go przy tym niesłychanym uszanowaniem. O śmierci dzierzawcy bogatego jeziora nikt nie słyszał, Marek miał dar jasnowidzenia chyba. Dobry interes nie umknął mu nigdy. Uprzedził każdego.

Grał nie śmiał o nic pytać, wcale się nie odezwał.

Od pewnego czasu dawny towarzysz wędrówek urósł na potentata, a on sam zmalął i znędzniał. Czuł się sługą, i to sobie jeszcze uważał za szczęście.

Milcząc, przyjął z rąk Marka paręset rubli, a Czertwan strzeżbę poprawił, przed obrazem w kapliczce uchylił czapki i ruszył śpiesznie ku Skomontom.

Dla niego czas był drogim, nie umiał go marnować.

W godzinę potem od Wojnatów wyjechał wóz parokony,

a na nim Grał ściągnął fajkę, z miną sfinksa. Nikt nie wiedział, dokąd jechał, chyba może żona, bo miała uśmiech na ustach i długo patrzyła w małe lusterko.

Zapewne szukała w swych oczach tajemnicy Markowej pomocy i łaski; może myślała już, jak mu za nie zapłaci, gdy zażąda...

A Dewajtis szumiał. Wśród liści młodych szemrało tchnienie bogini czarodziejki, a wokół dęby wnuki kłaniały mu się pokornie, a gdzieniegdzie srebrna brzoza zaglądała trwożnie ku polance, jak zaklęta służebna Alexoty, szukając ognia i ofiary.

W noc głuchą zaszeleściły wrzosa i paprocie, czciciel wychodził do bóstwa.

Nieopodal stanął, odkrył głowę i na strzelbie wsparty długo pozostał, błędząc oczyma po konarach. Długie mrozy, śniegi i wichry przeszły bez znaku po członkach olbrzyma, nietknięty został, jeszcze potężniejszy.

— Nie boli cię ta zima, nie męczy, nie gubi? — wyszeptał człowiek z odcieniem zawiści w zachwycie.

— Jakby uśmiech wżgardliwego lekceważenia zmarszczył wierzchołki gałęzi.

— Mnie nic nie boli, nie męczy, nie gubi, póki mi ziemi stanie i słońca! Zima, jak troska, długo trwa, a lato, jak szczęście, mija chwilą... Oto wieki stoję i Bóg mi lata nigdy nie odebrał, przyjdzie słońce i ożywi każdego! Przyjdzie dzień, co rany zabliźni!...

— Czy przyjdzie? — zamruczał człowiek zgnębiony.

Dąb się zakolysał jakby gniewny.

— Widziałeś ty, człowieku-efemerydo, takie lody, których marzec nie stopi? Widziałeś ty pola, których Pergrubia nie obudzi?... Dziesięć wieków stoję i wiem, że wszystko mija. Kto silny, najgorsze wytrzyma...

Księżyc wzeszedł i oświecił w pełni podniesione oblicze samotnika.

Ostre rysy wygładzały się stopiowo, wyprostował się hardo.
— Wytrzymam... — rzekł półgłosem.

W tej chwili pies zawarczał. Człowiek, jakby złapany na gorącym uczynku winy, nieufnie się obejrzał, czapkę wcisnął na oczy i zbiegł szybko ścieżyną ku wybrzeżu. Na wodzie pluskało wiosło i jakiś śpiew pobożny biegł z falą.

Po chwili nad rzeką rozległa się żmudzka rozmowa w krótkich pytaniach.

— *Kas tian?* (kto tam?).

— *Asz esu, ponel* — odparł głos poświckiego ciwuna. (Ja jestem, panie).

— *Ko mori?* — zagadnął Marek niespokojnie. (Czego chcesz?).

Czółno przybiło do brzegu. Chłop, zamiast odpowiedzi, podał mu na czapce kopertę z depeszą i czekał dalszego rozporządzenia.

Czertwan otworzył zdziwiony. Kto mógł mieć do niego tak pilny interes?

Przy świetle księżyca i fajki odczytał lakonicznych słów sześć:

«Orwid jest, list w drodze. Anna Czertwanówna».

Markowi pociemniało w oczach, potem zaczął dygotać jak w febrze: zdawało mu się, że go grom trafił, a serce biło, biło coraz szaleniiej.

— Orwid jest! — powtórzył radosną wieść dąbrowie, rzece, niebu i zdziwionemu ciwunowi, który dawno zapomniał, że Poświcie miało innych panów.

— Co pan każe? — spytał głupowato.

— Ruszaj! — zakomenderował, wskazując do łódki i chwytając drugie wiosło!

Margas, zapomniany, skomlał żałośnie, aż straciwszy nadzieję powrotu pana, rzucił się wplaw za nim, ale Marek o niczym nie pamiętał.

— Orwid jest! Jest! Jest! — śpiewało mu w duszy, jak hosanna.

Wpadł do mieszkania, i raz pierwszy cugowe konie, drzeмиące nad żłobem, poznały co służba.

Posłaniec jeden poleciał cwałem na pocztę do Gryni, drugi do Kowna, trzeci do Rossień, we dworze zapanował sądny dzień.

Marek wcale się nie kładł. «Orwid jest!» szumiało mu ciągle, starczyło za sen, spoczynek, jadło, skarby całego świata.

Jest, a zatem go Hanka widziała, mówiła z nim, znała — może już był w drodze, może lada dzień się zjawi. Emigrant zapewne, może syn Kazimierza, może on sam! Czegoż tak zwlekał, czemu dawniej nie pisał? Należy mu dom przygotować, zrywając z całą okazałością!

Marek, całe życie mruk i flegmatyk, oszalał.

O północy wydobyto z pościeli stróżów pałacu, stuletnią niankę pana Kazimierza i odwiecznego kredencera. Starzy myśleli, że to koniec świata, gdy ich z głębokiego snu wezwano do administratora. Stawili się na pół przytomni.

— Pan Orwid lada dzień będzie! — wrzasnął im nad uchem.

Szanowna ta para była głucha, stosownie do wieku, i odu-rzona niespodzianą napaścią.

Nie słyszełi i tylko dla rezonu, wyobrażając sobie, że to zapewne wieść jakaś smutna, bo dla radosnej nie budzą ludzi o tej godzinie, pokiwali *unisono* głowami.

— Dom przygotować, opylić, wywietrzyć, srebra poczyścić, spiżarnię zaopatryć! — huczał dalej, jak z tuby.

Te same oznaki smutku i mimika oznaczały gotowość i posłuszeństwo. Stara miała ochotę popłakiwać, staremu nos poczerwieniał.

W tej chwili posłaniec z poczty wpadł zabłocony. Starzy wysunęli się sprzed oblicza straszego pana.

— Słyszał pan Filemon, co się to stało? — zagadnęła babina po drodze.

— A słyszałem! Przeciem nie głuchy, a pan choć mówił z cicha, ale wyraźnie. Lada dzień wojna będzie, powiedział!

— At! Baję pan Filemon! Nie wojna, ale święty Jan się

pokazał w dąbrowie. Cud się stał dla przykładu, dla wszelakich złości ludzkich. Pan krzyczał, że aż mnie fluksja zabolala, a panu Filemonowi to tylko wojna w głowie.

Dalsza rozprawa ucichła za drzwiami pałacu, które zatarałowali za sobą na wszelki wypadek, żeby Filemon lepiej słyszał, niż jego towarzyszka.

List od Hanki był. Depesza na Żmudzi okazała się wątpliwej doskonałości. Marek czytał cały w gorączce:

« Kochany braciszku! Od miesiąca jestem w posiadaniu tej ważnej dla ciebie wieści, ale, nie zabrawszy faktów i pewników, nie chciałam cię ludzić może fałszywą pogłoską. Teraz zupełnie śmiało mogę ci donieść: Orwidowie są — sukcesorowie Kazimierza z Poświcia — mieszkają w Ameryce...

« Było to tak: Zimą, wskutek wydrukowania mego nazwiska w dziennikach, przy jakimś sprawozdaniu z żeńskich kursów Sorbony, otrzymuję list po francusku, z marką Stanów Zjednoczonych i z podpisem: Marwitz. Podpisany pyta mnie bardzo uprzejmie, czy nie znam kogo w Rosji noszącego toż imię, a mianowicie w kowieńskiej gubernii. Załącza adres i koszt marki, prosząc kilkakrotnie o odpowiedź.

« Znasz mój brak decyzji; Julka zmusiła mnie prawie do odpowiedzi, posłałam całą naszą genealogię. Julka prorokowała spadek amerykański. Stało się lepiej. Otrzymuję drugie pismo! Pan Marwitz, bogaty właściciel ziemski z Illinois, donosi mi, że w jego domu jest dziecko niejakiego Kazimierza Orwida, któremu rodzice pomarli od dawna. Wspominali niejasno, że mają w Rosji posiadłość i przyjaciele tegoż, co ja, nazwiska. Czy nie mogę im o tym czegoś donieść? Naturalnie donoszę — i załączam im twój adres i Jazwigi! Stało się to przed tygodniem. Rolę swą odegrałam do końca, teraz na ciebie kolej. O jakże się cieszę, że życzenie ojca się ziści i ty nareszcie będziesz wolny! Dawno nie pisałeś, lecz się nie dziwie; kto pracuje, nie skory do gawędy, choćby listownej. Jeśli mi wszystko pójdzie po myśli, przyjadę do kraju odetchnąć parę miesięcy. Ciężko mi bywa czasem, ale dodaje otuchy Julka i nadzieja choć dalekiego końca! Wedle twej woli, pomocy u

nikogo nie proszę i nie skarżę się nigdy. Chciałabym, żebyś był ze mnie rad — kiedyś! Twoja siostra, Hanka ».

Marek odetchnął. Był zbawiony. Niewola jego potrwa parę tygodni, może więcej, ale będzie jej kres wreszcie. Teraz należy przygotować dom i pojechać do Kowna; tam z Jazwigłą będą wyglądać zamorskich sukcesorów.

Ziemia paliła mu się pod stopami, we dworze zapanował jakiś ruch gorączkowy, wieść poszła z ust do ust, od najstarszych do najmłodszych, i wszędzie ją przyjęto nieufnie i z żalem.

— Dwadzieścia lat panowali nam Czertwanowie! Tamci cudzy, może dobrzy, ale nieznan! A ci nasi! Nie będzie lepszych na świecie! Szkoda, szkoda!

Gdy Marek nazajutrz, wydawszy najdrobiazowsze rozporządzenia, kazał sobie konie zakładać, kilku najśmielszych przyszło się pożegnać.

— Ale pan wróci do nas? — pytano niespokojnie.

— Wrócę z Orwidami, zdać im służbę! — odparł z niebywałą wesołością.

Jak huragan przeleciał przez zaścianek; starych nie było. Panna Aneta kopała jakieś korzonki w dąbrowie, Ragis pola pilnował; rzucił im słów kilka, zatknąwszy papier za szybę; rad był tę wieść radosną krzyzcć całą drogę każdemu spotkanemu.

W Kownie Jazwigo go nie poznał, cofnął się o trzy kroki, z czerwonego stał się fioletowym, sinym, jak śliwa.

— Co się stało? — zakrzyzczał — pała się poświckie składy z wódką? Czy co? Gadaj!

— Orwidowie są! — wyrzucił z siebie bez zwykłego namysłu i lakonizmu. — Sukcesorowie pana Kazimierza pisali do Hanki z Ameryki. Nie miał pan listu?

— Listów mi nie brak, ale nie od Orwidów! Jakże to, czy tylko prawdziwi? Może jakie oszukaństwo? Opowiedz porządnie!

Wysłuchawszy, stary jurysta długo sumował, bębniąc palcami po stole; wieść ta zakrawała na bajkę. Ostrożny to był Żmudzin i często zdradzany.

— Paczekajmy listu! — wygłosił wreszcie swe zdanie.

Czekali tedy. Marek chodził od telegrafu na pocztę, lub siedział w salonie Jazwigły, admirując brata i pannę Marynię, gadających ze sobą godzinami. Co to można mówić, widząc się codzień, po dniach całych — tego nie pojmował i nigdy nie słuchał, a tamci też nie krepowali się jego obecnością.

Raz tylko spytał brata, wieczorem w drodze do zajazdu:

— A cóż tam z twoją spółką handlową z Kirgizami?

— Niech ją pies zje! — machnął ręką Kazimierz — a'bo ja dziki, żebym do dziczy wracał? Mnie tu, jak w raiku, miły brat! Szukam posady, bo to, widzisz, i żenić by się wypadało! Złe samemu na świecie. Co?

— A pewnie — potakiwał Marek roztargniony.

Tego samego dnia stary Jazwigło zaszedł, niby przypadkiem do pokoiku córki, i zaczął od pytania, co jutro będzie na obiad. Potem zagadnął o cenę mięsa, o sklep piekarza, o uczciwość Agatki kucharki wreszcie umieścił swoją okrągłą figurkę na kanapce i po długim, milczącym pykaniu z cybucha, rzekł mimochodem:

— A to, słyżę, Czertwan wyjeżdża znowu do Rosji?

Panna Maria miała bardzo bujne brwi, bystre oczy i wiele stanowczości w rysach. Chowana bez matki, oddawna była gospodynią w domu, z gotową decyzją i z całym zrozumieniem swej roli.

— Chyba się ojciec myli — odparła spokojnie. — Pan Czertwan powinien zostać w kraju.

— A po co? — marudził stary, zajęty pozornie tylko fajką — ma tam karierę gotową i pewny byt, a tu co?

— A tu swe stanowisko i obowiązek — odpowiedziała córka.

— A to czemuż matce nie pomaga, w domu nie siedzi?

Panna Maria poruszyła się żywo.

— Nikt tam go o pomoc nie prosił. Zresztą matka straciła jego kapitał i oddała zrujnowany folwark gdzie nie sposób się było utrzymać. Sądzę, że dosyć zrobił dla rodziny, gdy to zniósł w milczeniu.

— Aha, to tak? Nie wiedziałem. Dobrze, że od ciebie można o wszystkim się dowiedzieć.

Dziewczyzna spojrzała uważnie w dobroduszną twarz starego jurysty. Poczuła docinek, nie lubiła fałszywej pozycji.

— Nic dziwnego, że wiem — odparła spokojnie — pan Kazimierz jest otwarty i do nas się przywiązał szczerze.

— Uhm, czemuż, kiedy do nas, ze mną nie pogada otwarcie?

— Pogada i z ojcem — uśmiechnęła się lekko — niech tyko sobie trochę mowy przypomni i dostanie posadę.

— Aha? Pogada, ręczysz? No, to poczekam, kiedy tak.

Uspokojony stary dźwignął się z kanapy i udał się na spoczynek, pogładziwszy na pożegnanie głowę córki. Żmudzini to byli zakuci. Nie marnowali słów na frazesy, ale rozumieli się wyśmienicie.

Nazajutrz bracia stawili się o zwykłej godzinie. Kazimierz trochę czerwieniący i weselszy, Marek znudzony, trochę pęśpniejszy.

— Nie ma listu? — spytał, wchodząc do gabinetu prawnika.

— Dzień dobry, Marku! — odrzekł flegmatycznie gospodarz. — Umiesz ty po angielsku?

— Nie, a po co?

— A toż te Amerykany, to jakoby *angielscyki*. Bo i list po angielsku.

— To jest list?

— A jest. Właśnie go szukam. Rozpatruję dziś sprawę Komarów z Molem! Tyle tych papierów na biurze. Ot, masz list, ale zawołaj chyba Maryni, bo my obadwa nie do angielszczyzny.

Marek spłoszył czułą parę w salonie. Panna Maria wstała natychmiast na wieść tę tak pożądaną; Kazimierz na handlowym wydziale niegdyś studjował obce języki, ofiarował się też z pomocą.

List był pisany dużym, wyraźnym pismem, mniej więciej następującej treści:

« Szanowny Panie! Dowiedziałem się od panny Czertwa-

nówny w Paryżu, że w pana ręku znajduje się główny zarząd interesów świętej pamięci Kazimierza Orwida. Korespondencja jest powolna i trudna, wysyłam tedy do pana dziecko Kazimierza Orwida. Taka była jego wola w razie odkrycia śladów spuścizny. Wedle zapewnienia panny Czertwanówny, trafiam do uczciwego człowieka, toteż z całą wiarą upraszam o pomoc sierocie. Dziś odpływa do Libawy niemieckim statkiem "Aurora", list mój uprzedzi ją tylko na dni parę. Raz jeszcze polecam ją pańskiej opiece. Marwitz ».

— To panna? — zagadnął Jazwigo.

— Widocznie—odparła córka. — Nie prawdaż panie Kazimierzu? Stoi wyraźnie « she » i « her » wszędzie...

Jeszcze raz oboje tłumacze pochylili się nad listem. Musnęli się włosami o skroń, poczerwienieli i czytali bardzo długo. Ale nikt się o nich nie troszczył.

— Jechać do Libawy? — spytał Marek, patrząc na zegar ścienny.

— I czego? — zreflektował stary — rozmiemy się w drodze, broń Boże! Dojeżdże sama do Kowna. Ho, ho! Amerykanki to rezolutne niewiasty. Nie pamiętam, jaki to był tytuł jednej powieści, którą kiedyś czytałem. Była tam mowa, jak jedna kobieta z Ameryki polykała żywe węże. Nie przypominasz sobie, Maryniu?

— Co takiego, ojczy?

— No, o tej kobiecie, co to węże jadła. Ale nie, ty bo nie możesz pamiętać. Zdaje się, że to jeszcze czytaliśmy z nieboszczką.

— To już chyba dotychczas z mody wyszło — zauważył Marek. — My teraz we wszystkim stoimy za Ameryką. Może już czas na dworzec?

— Zwariowałaś? Dziś nie warto wcale jechać. Trzeba obliczyć dni. Pokażcie, państwo tłumacze, datę listu. Żeby tylko broń Boże, okręt się nie rozbił...

Marek zzieleniał. Nie czekał obliczenia, czapkę porwał i poleciał na kolej. Boże, Boże; czy też ci Orwidowie odłącza się kiedy od jego losu, dadzą mu chwilę spokoju i wczasu? Te

ostatnie chwile oczekiwania dobijały go moralnie i fizycznie. Nabierał on do nazwiska tego nienawiści.

Brakło pół godziny do przyjścia pociągu. Zaczął chodzić z końca w koniec platformy, wyglądając całą siłą wzroku obłoczka pary na horyzoncie. Plant się bielił prosto, jednostajnie, bez końca zda się. Długo był pusty i równy, wreszcie zamajaczyła plamka ciemniejsza, żelazny potwór szedł, witany gwarem, gorączkowym ruchem, gwizdem sygnałów, stukiem monotonnym depesz w biurze. Marek stanął i czekał z mocno bijącym sercem.

Co mu przyniesie ten kłęb dymu? Wybawienie, czy jeden więcej zawód?...

Pociąg wtoczył się majestatycznie w obręb dworca. W oknach ukazywały się twarze różne, nieznane; szedł wzrokiem za kapeluszkami kobiet, jakby się spodziewał zobaczyć gdzie znak jaki, imię Orwidów wypisane na twarzy. Mijały go, znikaly, aż nagle w ostatnim oknie mignęła malutka czapka ryskiego studenta z barwami stowarzyszenia.

Czapkę tę właściciel wzniosł nad głowę i, wychylając się, powitał Marka homerycznym kichnięciem. Był to delikatny żart właściciela Skomontów.

Marek obojętnie kiwnął głową. Przyjazd Witolda był gorszym od zawodu. Czuł w powietrzu umizg do pugilaresu.

— *Morgen!* — powitał student po niemiecku, skracając wyraz do *minimum*.—Co to? Na wojaż się wybrałeś? Nie straszno ci, tak daleko od domu? Pilnuj się, żeby cię nie zamienili!

Zaśmiał się sam ze swego konceptu i zniknął z okna, bo pociąg stanął. Po chwili ukazał się na platformie. Szczupły, drobny, ubrany bardzo kuso i obciśle, z cygarem w ustach i zuchwałym cynizmem w zmęczonych oczach, szedł niedbale za tragarzem z laseczką w jednej ręce, a drugą prowadząc za obrożę, czarnego pudła. Nucił pod nosem niemieckiego walczyka i zaglądał impertynencko w oczy kobietom. Wyzywał, zda się, do skandalu.

Marek dawno odszedł. Górując nad tłumem, rozglądał się na wsze strony. Szukał Amerykanki; podsłuchiwał rozmowy, ścisnął wzrokiem każdą młodą osobę. Daremnie! Platforma się opróżniała, tłum ginął w czeluściach bufetu, rozpywał się po woli. Potwór żelazny przywiózł mu nowy zawód tylko.

Zwiesił głowę i zniechęcony ruszył w stronę dorożek. Już schodził ze stopni ganku, gdy tuż za sobą posłyszał wymówione nazwisko Jazwigły.

Drgnął i obejrzał się. Średniego wzrostu młody mężczyzna, ubrany elegancko, z pozoru zakrawający na uczonego przymysłowca, rozmawiał złą niemczyzną z grupowatym tragarzem na którego twarzy malowała się chęć pozbycia się obcego typowym żmudzkim: « *ne suprantul* ».

Coś tknęło Marka. Zawrócił i zbliżył się do rozmawiających. Niemiecki język posiadał wraz z odrobiną francuskiego. Przemógł wrodzoną dzikość, podszedł, uchylił czapki i spytał:

— Przepraszam, pan szuka pana Jazwigły?

— Tak, panie—odparł obcy, dotykając kapelusza i z pewnym rodzajem podziwu mierząc wzrost interlokutora.

— Pan ma do niego interes?

— Hm, nie, tak sobie!—zamruczał nowoprzybyły.—Pan mi może dostarczyć adresu?

— Mogę.

W tej chwili Witold mijał ich, wracając z bufetu. Jak łobuz gwizdnał przeciągle.

— Phi, phi! Jak ty ładnie umiesz po niemiecku! — zauważył, przystając — czy to przy wołach się nauczyłeś? Może pozwolił ci cygaro?

— Dziękuję!

— Nie ma za co. Długo tu zabawisz?

— Nie wiem.

— No, w każdym razie przyjdź do mnie, do hotelu. Mam coś naksztalt interesu.

— W takim razie będę cię oczekiwał w swoim hotelu.

— Możesz oczekiwać, a potem każ się wypchać i na zielono pomalować. Bądź zdrów, ozdobo Czertwanów!

Zakręcił się na obcasie i, gwizdząc, odszedł do dorożki. Obcy tymczasem słuchał cierpliwie niezrozumiałej rozmowy i nagle spytał:

— Co ten młody człowiek powiedział na końcu?

— Nic ciekawego—odparł chmurno Marek.

— On powiedział « Czertwan ». Kto tu Czertwan? Pan zna Czertwana? — rzucił się przybyły niespokojnie.

— Dla czego nie mam znać?

— No, to prowadź mnie pan do Czertwana! Już mnie Jazwigły nie trzeba. Czy to daleko trzeba jechać? Niech pan prowadzi! Zapłacę z ochotą. Wie pan: Czertwan, Poświęcie...

— A czegoż pan chce od Czertwana? — zagadnął Marek, drżąc cały.

— To już ja jemu samemu powiem, panie—odparł, chłodniejąc znacznie obcy.

— Czy pan Orwid?—rzucił głucho Marek.

Nieznajomy cofnął się o krok.

— Pan wie o Orwidach?—zagadnął żywo.

— Od dwudziestu lat czekamy na nich! Czy to pan, syn Kazimierza?

— A pan sam Czertwan, legendowy Czertwan? Co za spotkanie! Otrzymał pan nasz list?

— Czytałem list, pisany do pana Jazwigły.

— Chodźże pan za mną!

— Krótkie te pytania i odpowiedzi krzyżowały się nadzwyczaj szybko. Nieznajomy, rzuciwszy wezwanie, zwrócił się znów do dworca. Marek szedł za nim, obserwując spod oka syna bohatera, a swego obecnie pryncypała.

Dziwna rzecz! — Młody człowiek nie miał ani odrobiny rodzinnego typu, znanego Markowi z portretów i opowiadań. Orwidowie byli ciemnowłosi—on był złotawy blondyn. Mieli typowe, bardzo gęste brwi i ciemne oczy — on miał rzadki rudawy zarost i szare, bardzo zimne i jasne źrenice. Nie zostało mu żadnego wspomnienia ojczyzny, nie rozumiał słowa rodzinnego języka, cudzoziemcem był od stóp do głów.

I znowu pomyślał Marek, że ojciec jego szczęśliwym był, że nie dożył powrotu tego i tego widoku. Jego dola zahartowała na wiele podobnych niespodzianek; starzec nie zniósłby obrazu takiej ruiny swoich ideałów...

W milczeniu postępował po pustych prawie salach, do pokoju pierwszej klasy, nie rozumiejąc, po co go tam wiodą. Może przybysz chce wylegitymować się, pokazać mu ów sygnet złamany, którego połowę nosił wiernie na sercu.

Szwajcar otworzył drzwi, Amerykanin grzecznie ustąpił Markowi wejścia, po czym zamknął je za sobą troskliwie. Salon zarzucony był pakunkami, nikogo nie było.

W chwili, gdy Marek podnosił pytający wzrok na towarzysza, w głębi rozchyliła się portiera, i wesoły, młody głos spytał po angielsku:

— Jakże, Clarke, znalazłeś tego prawnika?

Amerykanin postąpił parę kroków i uśmiechnął się z dumą.

— Znalazłem lepiej! Pozwól sobie przedstawić pana Czertwana we własnej osobie!

Portiera rozsunęła się zupełnie. Młoda osoba, ubrana w elegancki strój podróżny, ukazała się w całej okazałości. Chwilę jasnowłosa Żmudzin i czarnooka smagła Amerykanka mierzyli się wzrokiem. W obu spojrzeniach była nieufność, wreszcie ona pierwsza zmarszczyła bardzo gęste ciemne brwi i rzekła spokojnie.

— To fałsz! Ktoś cię oszukał, Clarke! Ten pan nie Czertwan!

Mówiła po francusku tym razem, pragnąc widocznie, aby ją zrozumiano.

Marek ruszył lekko ramionami.

— Nie ja potrzebuję składać dowody tożsamości, ale państwo — odparł po niemiecku. — Pan Jazwigo mieszka niedaleko! — dodał z pożegnalnym ukłonem.

Amerykanin zastąpił mu drogę.

— Ależ, Irenko! — zauważył tonem wymówki — przecież nie posiadasz rysopisu opiekuna Poświcia, czy jak się to nazywa. Uwaga pańska jest słuszną — dokończył prezentacji. — Ma pan

przed sobą córkę Kazimierza Orwida, Irenę, i jej eskortę przyboczną, Marwita.

Marek ukłonił się lekko.

— A pan ma być Pawłem Czertwanem? — zagadnęła panna niedowierzająco.

— Paweł Czertwan od roku spoczywa tam, gdzie i jego przyjaciel, Kazimierz Orwid; w ziemi. Na imię mi Marek, jestem jego najstarszym synem.

Dziewczyna rozchmurzyła czoło. Raz jeszcze zmierzyła olbrzymą bystrymi oczyma, i jakby w egzaminie tym znikła jej ostatnia wątpliwość, wyciągnęła do młodego człowieka rękę, przyodziając w duńską rękawiczkę.

— Przepraszam pana — rzekła.

Ale on nie przyjął uścisku i mówił dalej głuchym, urywanym głosem:

— Umierając, ojciec mi porucił administrację Poświcia w spadku po sobie. Rozkazał pracować i ochraniać od złego, ile w mej mocy, i oddać temu tylko, kto, oprócz urzędowej legitymacji, przyniesie mi znak umówiony z przyjacielem.

— A co? Mówiłam ci, że ten drobiazg ma wielką wartość! Ojciec, konając, zalecał ani zgubić, ani go się pozbyć! Proszę pana!

Sięgnęła do medalionu, który miała u zegarka, i po chwili na dłoni jej błysnął odłamek sygnetu. Marek spojrział i w milczeniu zdjął z piersi ojcowską spuściznę — drugą połowę pierścienia. Milcząc, podał go właścicielce.

W piersi jego rozlewało się szczęście jak potok. Stał u zarania swobody i wolności!

Irena Orwidówna złożyła sygnet i odczytała powoli:

— « Osądź mnie Boże i rozeznaj sprawę moją! ».

Marwitz zajrzał też przez jej ramię, dość obojętny na ten rycerski istic epizod.

— Dziękuję panu! — ozwała się dziewczyna, po raz drugi wyciągając rękę.

I tym razem Marek się tylko ukłonił.

— Pani jeszcze nie wie, czym wart podziękci. — zamruczał.

Rzecz dziwna! Tyle lat nazwisko Orwidów zrosło mu się z codzienną troską, że dziś na tę wybawicielkę z długiej niewoli patrzył jak na wroga.

Miał do niej jakiś nielogiczny żal. Miał ochotę powiedzieć: « Poświcie zatrulo mi tysiące chwil, odebrało marzoną swobodę; nie dziękujcie; służyłem nie wam, ale ceniom ojca! Szczęśliwy będę, gdy was porzucę! ».

Milczał jednak pod jej zdziwionym, badawczym spojrzeniem. Pokręciła głową.

— Czy pan się wstydzi swojej ręki, czy mojej? — zagadnęła, brwi marszcząc.

— Tu zapewne nie znają naszego *shake-hand!* — zauważył Marwitz pojednawczo.

— Zapewne! No, zatem pan zadowolony z moich dowodów tożsamości, panie Czertwan? Mogę odzyskać ojcowski majątek?

— Pani co do prawnych szczegółów uda się do swego plenipotenty, pana Jazwigły. On wszystkie trudności ułatwi. Poświcie od dwudziestu lat co dzień gotowe na przyjazd właścicieli. Pani raczy tylko naznaczyć dzień, w którym mam wysłać konie i ekwipaż.

Dziewczyna porwała się za głowę: przykre wrażenie pierzchło; w oczach jej piwnych, nadzwyczaj wrażliwych na myśli i uczucia, snujące się po głowie, zamigotały jakby iskierki złota...

— Słyszysz, Clarke? Powiozę cię swoim ekwipażem, nakarmię cię swoim chlebem, ugoszczę cię pod własnym dachem! Słyszysz? Mam swą ziemię i dom, ja — sierota!

— Czy ci źle było, Iry, w naszym domu? — spytał poważnie Marwitz.

— Wiesz, że was kocham, jak rodzinę! Ale teraz taka szczęśliwa! Więc to prawda, panie Czertwan? Nikt mi nie odbierze własności, pomimo tylu lat nieobecności? Mam tu istotnie, w tym obcym kraju, coś mojego, jestem bogata? Mam prawo się rozporządzać?

— Ziemia, co nie wyszła z rąk przez takich lat dwadzieścia, teraz już nie zginie! — odparł — doczekała się właściciela,

nikt słowa nie powie! Córka po ojcu przychodzi do dziedzictwa. Ma pani swój dach i chleb, i bogata pani bardzo. Kwestia czasu i kilkunastu arkuszy stemplowego papieru. Forma tylko!

— A tymczasem?...

— Uda się pani do Jazwigły. Oto adres. Pozwoli się pani pożegnać. W razie potrzeby — mieszkam w hotelu Wileńskim.

— Clarke! A my gdzie zamieszkamy?

— Zapewne także w Wileńskim hotelu — odparł Amerykanin, zbierając tłumoczeki. — Pan Czertwan nie opuści nas w obcym mieście.

Panna Irena odrzuciła hardo głowę.

— Pan Czertwan nie wygląda na usłużnego człowieka... Rad będzie pozbyć się nas co najprędzej, nieprawdaż?...

Spojrzała mu w oczy pytająco.

— Do chwili zdania, komu pani poleci, administrację Poświcia, uważam się za sługę Orwidów. Może mną pani rozporządzać!

— Doprawdy? Bardzo mi to miło. Zatem pan nas ulokuje w hotelu, przedstawi temu prawnikowi, będzie wspierał swą radą i pomocą moje pierwsze kroki? Chwilami zdaje mi się, że to sen i że się ocknę w Ameryce u swoich opiekunów. Możemy jechać do hotelu tymczasem. Clarke *my dear*, każ zabierać rzeczy. Masz dorożkę?

— Czeka! — odparł towarzysz, systematycznie układając pakunki przy pomocy tragarza.

— A zatem chodźmy, panie Czertwan. Daj mi pan ramię, proszę!

Marwitz usunął się im z drogi i uśmiechnął dobrodusznie.

— Widzi mi się, że rychło dostanę dymisję — zauważył.

Dziewczyna wsunęła sama rękę pod ramię Marka i, oparłszy się na nim mocno, obejrzała się na Amerykanina.

— Ciekawam, co ty mi tu możesz pomóc? Jesteś sam, jak zbłąkana owieczka! Ja cię tu przyjmuję w swoim kraju. Czekał mojej rewizyty w Illinois.

Zaśmiała się serdecznie i, podnosząc oczy na twarz Czertwana, dodała:

— Miałam pięć lat, gdy ojciec umarł. Zapamiętałam jednak upartą dziecięcą pamięcią, co mi mówił: jak wrócisz do swego kraju, to go kochaj, bo choć smutny, ale dobry i wart kochania. A jak spotkasz Zmudzina, śmiało mu zawierz, bo choć milczy, nie zawiedzie! Dlatego, pomimo pańskiej posępnej miny, nie boję się i wierzę... Prowadź mnie pan!

— A jednak na wstępie zarzuciła mi pani fałsz — mruknął.

— Nie spodziewałam się zobaczyć młodego. Ojciec mówił o starym przyjacielu. Wszak przeprosiłam natychmiast pana!...

Zeszli do dorożki. Za nimi Marwitz składał na drugą kufry i tłomoki.

Marek pozostał u stopnia.

— Pan siada? — spytał.

— Dziękuję panu. Dopilnuję do końca depozytu. Boże uchowaj, co zginie, to mnie za powrotem ojciec srodze wylaże. Miłuję nade wszystko spokój.

— Dyrektor przędzalni, miłujący spokój! Co za zestawienie! — zaśmiała się panna Irena. — Jedźmy, panie Czertwan! Dość mam włóczęgi! Radabym spocząć nareszcie!

— Ruszaj, żywo! — zakomenderował Marek furmanowi.

— Czy to po litewsku — spytała ciekawie.

— Nie, pani, po po'sku.

— To tu państwo zapomnieliście rodzinnego języka?

— O! Nie, pani. Nie zapomnieliśmy niczego i, na Żmudzi naszej dzieje nie zapisały żadnego wstydu! Ubodzy jesteśmy i nieliczni tylko, ale uczciwi...

Przez mroczną jego twarz wybił się blask życia i gorąca z głębi duszy...

Bezwidnie, przypadkiem, dotknęła najdrażliwszej strony cichego charakteru. Uderzyła w bryłę pozornie bezkształtną i jałową, nie spodziewała się usłyszeć takiego czystego dźwięku, zobaczyć takiego ognia w zimnych oczach.

Wpatrywała się w niego z zajęciem.

— Pan kocha bardzo swój kraj? — rzekła poważnie.

Urwał i, jak zwykle, po mimowolnym wybuchu, spuścił głowę, jakby ze wstydem, i nic nie odparł.

Patrzała wciąż na niego.

— Ojciec miał słuszność — ozwała się po chwili. — Kraj ten musi być wart kochania, gdy na wzmiankę o nim ludzie tak promienieją. Niech pan milczy; już ja wiem, co pan myśli, i wiem, dlaczego mi pan swej ręki nie podał.

— Dlaczego? — spytał z zajęciem.

— Pan ma mi za złe, że lat tyle nie zatęskniła i nie stanęła z wami, nielicznymi do pracy, nie szukała swej ziemi, ale czas i siły oddała obcym.

Ruszył lekceważąco ramionami. Czas i siły ośmiemnastoletniej dziewczyny był to, wedle niego, kapitał bez procentu. Oprócz doglądania kwiatów, ręcznych robótek, czytania i muzyki, nie widział nigdzie, żeby eleganckie panienki coś więcej robiły. Wyjątki nazywano pobrażliwie dziwołagami.

Panna Irena spostrzegła wyraz ten pogardliwy, wyczytała mu myśl spod czaszki.

— Pan ma słabe pojęcie o mej pracy! — uśmiechnęła się pobrażliwie. — Dżiwna rzecz: panowie z Europy zawsze, gdy mowa o kobietach, mają na twarzy ten brzydki wyraz. Kobieta u was widocznie stoi bardzo nisko i jest tylko zbyt kownym sprzętem. Czy to krewna pańska studiuje w Sorbonie?

— Przyrodnia siostra.

— Czy i do niej pan stosuje swoje lekceważenie?

— Zobaczymy, jak skończy.

Pańenka wyrzała na drogę. Przeszła oczyma po domach, sklepach, ulicy, i zagadnęła:

— Czy to wieś, Kowno?

— Miasto nasze gubernialne.

— Och, jakież nędzne i brudne! Wyobrażam sobie zgrozę Clarka. Już od libawskiego portu słyszę bezustanne wykrzykniki podziwu i wstrętu. Istotnie, po Ameryce Europa sprawia przynębiające wrażenie. Co tu brudów, niedbalstwa, jakie wszystko małe i opuszczone! Czy tu ludzie nie pracują i nie myślą?

— Ludzie, co bronią gruntu pod stopami, nie mają czasu myśleć, czy na tym gruncie kwitną róże, i czy ładnie wygląda.

Na placówkach nie gracują ścieżek!...

— Ciężko tu wam bardzo?—spytała poważnie.

— Zobaczysz pani!—odparł, i po chwili długiego namysłu dodał: — Naród każdy myśl ma swoją miejsce w szeregu świata i urząd naznaczony. My od wieków dwóch rzeczy strzeżemy: Boga swego i ziemi. I ustrzeżliśmy!

Paniuszka spuściła głowę i spod brwi obserwowała młodego człowieka. Kim on był? Gdzie się wychował? Jakie zajmował stanowisko wśród swoich? Twarz miał wicherami i skwarem spaloną, twardą i pozornie dziką, ręce muskularne i ciemne świadczyły o częstej fizycznej pracy; odzież nosił wytartą, a kosmyki płowych włosów nie znały fryzjera. Wyglądał na wyrobniaka, zgrubiał moralnie i fizycznie troską o chleba kawałek. Gdy z trudem i niechęcią dobywał słowo, mówił jak człowiek delikatnie i głęboko czujący: krótko, dobitnie, bez piękných zwrotów i frazesów. Kim on był? Czy da się oswoić i czy rozchmurzy się kiedy?

Wtem dorozżka stanęła. Był to hotel. Na wstępie ujrzał Marek czarnego pudła Witolda, a z głębi korytarza słycać było śmiech właściciela, opowiadającego jakąś anegdotę po niemiecku.

Weszli tymczasem. Dla młodej panny otworzono paradne apartamenta, nadjechał Marwitz z kuframi, powstał hałas i zamieszanie. Marek wycofał się dyskretnie i ruszył do swego pokoju.

— *Halt!* — zapiszczał głos Witolda z bocznego numeru.— Cóż to za ładna panna z tobą? Gdzieś ją zdybał? Przedstaw mi! Słowo daję, nie wiem, co z czasem zrobić w tej waszej *szpeluncel!*

Drzwi stały otworem. Marek ujrzał brata, jak wypoczywał na kanapie, bez surduta, ziewając co trzy słowa. W progu Żyd faktor uśmiechał się z łaskawych żartów obywatela.

— Najlepiej, żebyś zaraz jechał do Skomontów—poradził brat serio — tam twój czas przyda się bardzo!

— Et, sam nie wiesz, co gadasz! Tam, to nawet mój Kafr się nudzi!... Ale, znasz Kafra? Sto rubli dałem za bestię,

ale, co prawda, rozumniejszy od niektórych wielkich ludzi. Kafr! Kafr! Do nogi, zaraz!...

Bez ceremonii gwizdnął na cały hotel. Marek ramionami ruszył i odszedł, nieznacznie skinąwszy na znajomego faktora.

Żyd wysunął się za nim. Szli ciemnym korytarzem i zaczęli cichą rozmowę:

— Chce pieniędzy?

— Nu, kto ich nie chce?

— A dają?

— Oniby dali, ale się boją.

— Czego?

— Ryskich lichwiarzy i jasnego pana. Nikt nie wie, co on ma.

— Niech nie dają, bo nie odbiorą. Pamiętaj, żem ostrzegał!

— Dziękuję wielmożnemu panu.

Żyd zgiął się do ziemi. Cicha ta rozmowa trwała sekundę, i znowu faktor stał u progu Witolda, i uśmiechał się do sztuk pudła. Gdy pies pokazał, co umie, chłopak kopnął go nogą, zapalił cygare i zagaił interes.

— Słuchaj, panie Rubin, trzeba pieniędzy.

— Och, komu ich nie trzeba? — westchnął sentencjonalnie Żyd.

— No, to daj, zamiast stękać.

— Och, skąd ich wziąć?

— A co mi do tego? U twoich przyjaciół, szubieniczników.

— Wysoko patrzą takie przyjaciele!... Chcą ewikcji...

— Toż ją mają przecie te pijawki!

— Nu, a gdzie?

— Mam Skomonty!

— To i chwala Bogu, że pan ma! Ale to taki interes, że i pan Kazimierz powie, że ma, i starsza pani powie, że ma, i *panienka* powie, że ma. Nu, jak to zrozumieć?

— No, i pan Marek powie, że ma! Zapomniałeś największej osoby! — zaśmiał się z przymusem Witold, a blade jego policzki zabarwiła krew.

— Co ja miał zapomnieć? Ja o panu Marku nic nie powiedział, bo on taki, co nie gada on nie ma czasu na gadanie. Jego ręce i głowa *zakręcona* interesami! Ja sobie myślę, że on także co ma, bo *pieniędzy* nie bierze!

— On nawet daje, jak wy, na pewną ewikcję! Nie sztuka! Poświcka kasa niedaleko! — syknął Witold, gryząc zawzięcie paznokcie.

— Nu, daleko, czy niedaleko, ja nie wiem! U niego dobra kasa swoja jest — w głowie i w ręku.

— Czy ty tu stoisz, żeby śpiewać pochwały Markowi? Mnie trzeba pieniędzy, słyszałeś? Dam, jaką chcecie, ewikcję:

— Nu, niech pan las sprzeda!

Jakaś złośliwa myl mignęła w oczach młodzika.

— Las? — powtórzył powoli, śmiejąc się do własnej myśli.

— Może to najlepsze! Co ty za kasę masz w głowie, panie Rubin! Las?... Genialne!... Pośpieszna sprawa... No, zobaczmy... przyjdź wieczorem... Ale, nie wiesz, co to za panna? Kaducznie ładna!

— Fi! Gdzie ta ładność? Taka chuda! — odparł, krzywiąc się, Żyd.

— Et, głupiś, panie Rubin! Tak się na tym znasz, jak zając na ananasach. Pójdęno ja na zwiady.

Poprawił włosy, krawat, musnął projekt na wąsiki, ubrał się i, z czapką na uchu a rękoma w kieszeniach, wyszedł na korytarz.

Tablica z nazwiskami była nie opodal; zbliżyli się z Żydem do niej.

W tejże chwili szwajcar zapisywał nowych gości; zajrzeli ciekawie: « Irena Orwid » stało sążnistymi literami.

Student odskoczył o krok, oczy mu się rozszerzyły ostupieniem.

— Widzisz? — zagadnął Żyda.

— Nu, co nie mam widzieć? Orwid! Pan Marek dostał gdzieś dziedziczkę. Nu, to teraz zobaczymy, gdzie jest kasa!

— Awantura! I nic nie powiedział ten hipochondryk!...

— Kiedy on miał mówić? Pan psa pokazywał!...

— Irena Orwid! — zamruczał zamyślony Witold. — Poświckie przepadło! Marek nic nie wart bez ich pieniędzy! To źle! Ale ona, pierwsza partia! Hm, hm... można przepadłe odzyskać! Ha! To byloby dobrze! Trzeba jechać do domu.

Naprzemian nucąc i monologując, wyszedł na ulicę. Żyd ruszył w drugą stronę, i także monologował:

— Dębina ich warta grubo, spław o krok. Można od tego małego dostać za byle co! Tylko trzeba pośpieszać, bo interes *tre!* Jak starszy przewącha, aj! Gwałt! Nu, na to nasz rozum.

Jednocześnie z pokoju panny Orwidówny ozwał się dzwonek. Służący stawiał się na rozkazy.

— Proszę poprosić pana Czertwana! — poleciała.

— A którego pani każe? Jest trzech w hotelu.

— Trzech? — zawołała zdziwiona i dodała: zatem poproście pana Marwitza.

Eskorta stawiała się natychmiast.

— Wiesz, Clarke, jest już trzech Czertwanów. Nie pamiętasz, jak naszemu na imię?

— Marek. Przeciem się zdał na coś. Trzech Czertwanów? To dużo, ale jeśli wszyscy do siebie podobni, to wiesz, temu krajowi. Też to musi być pracownik!

— Podobal ci się?

— Mnie zawsze to się podoba, co i tobie — odparł z ukrytym żalem.

— Zobopólny honor, *my dear!* Czy chcesz mi towarzyszyć do tego prawnika?

— W razie chyba twej woli. Radbym zasnąć w spokoju. Masz lepszego opiekuna.

— Śpij choć do skończenia świata. Dość nadużyłam twej dobroci. Dziękuję ci serdecznie!

Stali naprzeciw siebie. Przy ostatnich słowach wyciągnęła do niego obie rączki. Wziął je, uściśnął, i ostrożnie, powoli, jakby trzymał filigranowy przedmiot poniósł do ust.

W tejże chwili wszedł Marek, spojrzął i cofnął się o krok. Nie spodziewał się trafić na czułą scenę.

Rola Marwitza w tej zamorskiej podróży wyglądała zagadkowo, teraz zrozumiał.

— Narzeczeni — strzeliło mu nagle do głowy, i natychmiast posępny cień pokrył twarz.

— Obcy weźmie Poświcie, sprzeda, wróci do siebie za morza! Ziemia przepadnie na marne i na marne pójdzie praca dwóch pokoiń!...

Los go dziwnie prześladował, i to w tym właśnie, co kochał nade wszystko.

Ponuro spojrzął na Amerykanina. Wydał mu się w tej chwili zbrodniarzem! Odebrać miał Żmujdzi kawał ziemi. Dla Marka nie było w świecie gorszego przestępstwa. Torturowałby za nie.

VI.

Wiosna była w całym rozkwicie. Kwitły bzy, sady, smukie narcyzy. Powietrze dyszało ciepłym i wonnym tchnieniem przyrody.

Pod wieczór długiego majowego dnia powóz toczył się szybko traktem rosieńskim, wioząc do ojcowizny zamorską dziedziczkę.

Spasione konie pianą były okryte: spieszyły do domu przed zmrokiem. Panna Irena rozglądała się ciekawie po okolicy, która wypiastowała jej dziadów i pradziadów; obok niej rozglądał się też Marwitz.

— Natura dała, co mogła — mówił — ludzie nie dodali nic nad konieczną potrzebę. Żeby to u nas!

— Czy blisko Poświcie? — zagadnęła dziewczyna siwego stangreta.

Obejrzał się, pomarszczona twarz jego wyrażała daremną chęć zrozumienia, spojrzął na równie starego lokaja.

— *Supranti, kumaj?* — pytał. (Rozumiesz, kumie?).

— *Ne suprantu!* — odparł kum.

A Poświcie zbliżało się coraz bardziej. Ponad wioski i osady górowały topole i drzewa parku, wszystko świeże, zielone, niby ubrane od święta na przyjazd właścicielki.

— Czertwan nas czeka niecierpliwie — ozwała się znowu panna Irena.

— Zapewne. Stary prawnik mi mówił, że go ojciec prawie

zmusił do objęcia zarządu. Kazał mu czekać i pracować dzień lat.

— Już w Kownie chciał zdawać rachunki, — uśmiechnęła się — ledwie uprosiłam, żeby jakiś czas jeszcze pozostał. Patrz, jaki to ładny dwór. Może to Poświcie?

— Prawdopodobnie, bo zjeżdżamy na jeszcze gorszą, boczną drogę. To przypomina nasze puszcze przed dwudziestu laty. Pierwszym twoim czynem powinny być szosy...

W tej chwili lokaj z furmanem obejrżeli się na młodą panią i uchyłili czapek.

— Poświcie! — ozwali się z uśmiechem.

Dziewczyna stanęła w powozie, uśmiechnięta, zarumieniona wzruszeniem. Szybki oddech rozchylił korałowe usta, wiatr wieczorny rozwał ciemne włosy, oczy piwne promieniały skrami złotymi. Drżała całym ciałem.

Brama, szeroko otwarta, opleciona była zielenią, dziedziniec natłoczony ludem wioskowym, na przedzie stała cała służba odświętnie przybrana, a stary ekonom, Sawgard, który jeszcze dziada jej pamiętał, trzymał na złoconej tacy bochen żytniego chleba i sól.

Powóz stanął. Tłum się zakotłosał jak fala zahuczał stłumionym szmerem. Dziewczynie łzami nabiegły oczy, pierwszy raz straciła pewność siebie. Sawgard zbliżył się do stopnia, odkrył siwą głowę i schylił się do jej kolan.

Panna Irena usunęła się i wyskoczyła na ziemię. Rozpacz mignęła w jej oczach. Spojrzała po tłumie tym, który ją witał, przyjmował całym sercem w dom pradziadów i nie rozumiała ich słów, ani odpowiedzi im nie mogła.

— Nie mogę im rzec, jakam wdzięczna, jak im dobrze życzę!... — wyszeptala żałośnie, słuchając przemowy starego ekonomy.

Wtem ktoś stanął za nią. Obejrzała się. Postać Marka wyrosła jak z ziemi. Stał też z odkrytą głową, ubrany świętecznie, jakby się uważał za jednego z jej sług, i witał głębokim ukłonem.

Odetchnęła na widok znajomego wśród tych wszystkich, podała mu rękę i pociągnęła ku sobie.

— Niech pan im podziękuje za mnie! Bardzo serdecznie! Proszę powiedzieć, że im nie zapomnę nigdy tego przyjęcia.

Podniósł głos swój donośny. Tłum słuchał, potem odpowiedział zmieszany, gromadnym okrzykiem.

— Co oni mówią? — spytała.

— Proszą, żeby pani wśród swoich została na zawsze.

— Zostanę, zostanę! Powiedz pan.

Stary Sawgard postąpił o krok i ozwał się:

— Panoczku, proszę panię powiedzieć, żeby nas kochała, jak ojcowie kochali; żeby na ich wzór rządziła.

Marek przełożył orację. Przez dzy spojrzała na siwego sługę, bez namysłu objęła go za szyję i uścisnęła z całego serca.

Stary stracił głowę. Tacę z chlebem oddał Markowi, a sam, jak długi, runął jej do nóg; tłum zahuczał zapałem i cisnąć się począł do niej. Lody były przełamane, gdzieś w głębi ozwała się włościańska kapela, śmiano się i szlochano na przemian, całowano ją po rękach, chciano nieść do domu, aż wreszcie sił jej zabrakło — obejrzała się o pomoc Marka.

Zrozumiał, rzekł słów kilka i wnet ciżba się rozstąpiła na dwie strony, zostawiając jej przejście wolne aż do ganku. Wsunęła rękę pod ramię olbrzyma i szli tym szpalerem powoli, wśród ciągłych okrzyków.

W pół drogi zaledwie przypomniał sobie Czertwan Marwitza i poszukał go ozyma. Amerykanin uciekł od owacji. Jego nerwy, miłujące spokój, skryły się pod opiekuńcze skrzydła domu. Chciał wejść, ale na progu trafił na głuchego Filemona, który, sztywny, w swej odwiecznej liberii, trzymał na poduszce pęk kluczy i rolę swą szambelana traktował najzupełniej serio. Do grodu tego, gdzie stróżował dwadzieścia lat, miał wpuścić córkę i kasztelanekę — pierwej nikogo...

— Otwórz panu! — krzyknął mu ktoś w samo ucho głosem do grzmotu zbliżonym. Otrząsnął się, jakby mu proponowano grzech śmiertelny.

— Pan zamknął, odchodząc, i powiedział: otworzysz tylko

Orwidom! — wymówił bezzębnymi usty, z kamiennym uporem, i dodał dla większej mocy: i Czertwan tak samo mówili! Otworzy panienka, niech obcy czeka.

Marwitz, zrezygnowany, założył ręce na piersiach i czekał, oglądając ciekawie stroje włościan, liberię służby, falowanie tumbu na podwórzu i młodą parę, zbliżającą się powoli do podjazdu.

Takich rumieńców i rozpromienienia nigdy jeszcze nie widział na twarzy Irenki. Wyglądała wyższą, dumniejszą i nad wyraz szczęśliwą.

— Chciałbym, żeby ją mój ojciec taką zobaczył. Byłby dopiero rad — pomyślał, uśmiechając się z zadowoleniem.

Filemon postąpił parę kroków, jak mumia pod prądem galwanicznym. Poczzerwieniał mu nos i roziskrzyły się oczy: doczekał się Orwidów!

— Stary emeryt, sługa jeszcze dziada pani! — szepnął Marek — proszę uszczęśliwić go i własnoręcznie otworzyć drzwi swego domu.

Wzięła klucze. Zamek zgrzytnął, Marek rozwarł podwoje.

— Daj Boże pani w starym ojców domu ich cnoty i szczęścia! — rzekł, uchylając głowę.

— No, a teraz wolno mi już wejść, stary? — zagadnął Marwitz mumię służbową, naturalnie, bez żadnego skutku.

— Daremny trud! — rzekł Marek — on nic nie słyszy!

— Ty tu, Clarke, chodźże! — zawołała panna Irena.

— Dobrze, iż raczyłaś sobie przypomnieć moją egzystencję.

— Daruj, mój drogi, ale tak wzruszona i zajęta! Panie Czertwan, jabym chciała ugościć tych ludzi!

— Wiedziałem o tym! Mają przygotowane jadlo i napój! Niech pani pomyśli o sobie i wypoczynku.

— Oh, dziękuję panu, że pan się tam znalazł na wstępie. Myślałam, że się rozplacę z żalu, żem obca, i z wrażenia na ten widok! Oh, jakżem szczęśliwa i wdzięczna panu!

— Za cóż mnie? spełniłem swój obowiązek!

— Powietrze Europy dziwnie na ciebie działa, Iry! — zauważył Marwitz, rozbierając się powoli z płaszcza i oddając

go w ręce Filemona. Tam, u nas, byłaś zawsze silna, zdrowa i spokojna! O! Jakież oryginalne meble!

— A prawda! Proszę mi mój dom pokazać, panie Czertwan.

— Panoczku — ozwał się Filemon tonem, który miał być konfidencyjnym, a brzmiał, jak hukanie w puszczy — *tylczko* przyjechał po pana parobek z Jurgiszek. Stara pani chora, panienka bardzo prosi pana!

Marek zaniepokoił się widocznie. Stanął, pomyślał chwilę, i zwrócił się do swej młodej pryncypalki:

— Muszę odjechać na godzin parę. Pani raczy darować. Chory mnie potrzebuje.

Spojrzała badawczo, z niezadowoleniem...

— Czy to ktoś chory z pańskiej rodziny? — spytała.

— Nie, pani;

— Cóż on mówił, ten stary?

— Sąsiadka Poświcia, ociemniała wdowa, zasłabła. Wzywa mnie!

— Niech pan wraca prędko! Ja tu bez tłumacza nie dam sobie rady. Będę czekać z obiadem.

— Dziękuję, mogę dłużej zabawić. Może wrócę w nocy...

— Ach, jakież pan dobroczynny!...

— Czy tam tylko mieszka ociemniała wdowa? Nikt więcej? — zagadnął Marwitz podejrzliwie.

Marek nic nie odpowiedział, uklonił się i zniknął. Na dworze grała kapela i biesiadował tłum ochoczo. Przybywsze wędrowali po domu, pełni podziwu.

Dwadzieścia lat nie było gospodarzy, a wyglądało wszystko, jakby wczoraj odjechali! Troskliwa snadź i przyjazna ręka rządziła tutaj.

Marwitz zatrzymał się nareszcie, skończywszy przegląd.

— Znasz, Iry, bajkę o królu Haraldzie? — zagadnął.

— Daj mi pokój ze swoją bajką! — rzuciła niecierpliwie.

— Nie chcesz posłuchać? Szkoda! Prawda, że jesteś gniewna, a więc nie ciekawa. Wolną chwilą, gdy się rozchmurzysz, przypomnij, żebym ci ją opowiedział.

Mimowoli roześmiała się.

— No, przypuścemy, że się rozchmurzyłam? Opowiedz swoją bajkę!

Amerikanin usiadł, zapalił cygaro i, gładząc w takt swe faworyty, prawil:

— Król Hara'd, dla wypróbowania uczciwości poddanych, na drzewie przydrożnym zawiesił złoty naramiennik. Po trzech latach przejeżdżając, znalazł go na tej samej gałęzi.

— I to wszystko? Do czegoż to stosujesz? — spytała ubawiona.

— Ty, Iry, jesteś bardzo rozsądna i praktyczna osoba, ale masz jeden błąd: nie lubisz powolnego rozumowania. Każda prawda potrzebuje przykładu. Stosuję do tego moją bajkę, że, sądząc po tym domu, lud tutejszy zapewne pochodzi z Anglii, z poddanych Haralda! Co? Nie prawdaż? Ta stara mumia może nawet pamiętać legendowy naramiennik.

Wskazał Filemona, który zjawił się w progu i grobowym głosem oznajmił obiad.

— Zapewne wezwanie do uczy! — rzekł Marwitz, wstając. — Służę, ci, Iry; radbym skosztować owego chleba, któryś mi w Kownie obiecała. Na Czertwana nie warto czekać. Sądząc z pośpiechu, ta ociemniała wdowa ma u niego szczególnie łaski.

— I ja tak myślę — potwierdziła z brwią ściągniętą. — Nie dowiedziałeś się o nim niczego w Kownie u prawnika?

— Myślałem, że ty posiadasz wszystkie sekreta od narzeczonej jego brata. Czy uważasz, jakie tu ładne kobiety? Ta panna Jazwigoło robi bardzo przyjemne wrażenie. Żeby nie drogi, mosty i nieporządek, nie miałbym twej ojczyźnie nic do zarzucenia. Milczysz, Iry? Nad czym tak głęboko rozmyślasz?

— Ależ nad przyszłością, mój drogi! Pomyśl tylko, co zrobimy, gdy Czertwan wypowie swe usługi? A uczyni to niezawodnie!

— Ba, podwój mu pensję! Ile bierze rocznie?

— Nie wiem. Ma swój majątek, z musu tu pracował.

— Weź Niemca agronoma.

— Tu podobno Niemców okropnie nienawidzą.

— Trudna rada! Uczmy się forsownie języka, a tymczasem spuść się na służbę. Niech Czertwan wskaże ci zaufanych.

Jedli w milczeniu długą chwilę. W końcu panienska potrząsnęła głową.

— Rozpieścił mnie twój ojciec! Fe! Wstyd mi. Odzyskałam kraj i mienie, i zamiast się cieszyć, upadam na ducha. Masz słuszność! Za miesiąc muszę nauczyć się języka, a tymczasem trzeba cierpieć. Ty mnie nie opuścisz zaraz?

— Zostanę, póki zechcesz. Może się jeszcze Czertwan da utrzymać! Nie chcesz przyjrzeć się tańcom? To oryginalne!

Usiedli przy oknie salonu i długo patrzyli na rozbawiony tłum.

Wieczór zapadał, zabawa cichła, na koniec zaczęły się jakieś szepty tajemnicze, spoglądano w okno, na młodą panią; naradzano się widocznie.

Potem obraz się zmienił. Muzyka wystąpiła naprzód, wszyscy odkryli głowy i ze stu piersi zabrzmiał nieuczony, wiejski śpiew.

Skończywszy zwrotkę, skłonili się do ziemi i ruszyli do wrót.

Muzyka grała wciąż, idąc, śpiewali dalej, za bramą syciły głosy, i długo jeszcze słychać je było w spokojnym wieczorze.

Panna Irena pochyliła się na oknie i łowiła chciwie dźwięki.

— Jakie to proste i śliczne! — powtarzała.

Na dziedzińcu służba sprzątała ślady uczy i zabawy. Kilku poważnych oficjalistów przesunęło się od folwarku i obsiadło ganek prawej oficyny. Gwarzyli coś z cicha, paląc fajeczki i patrząc na drogę. Marwitz, zmęczony, porozumiał się na migi z Filemonem i udał się na spoczynek.

Po wrażeniach dnia panna Irena nie chciała spać. Czuwała, słuchając szmerów wiatru i drzew. Kiedy ona zrozumie ten kraj i ludzi? Kiedy poczuje się obywatelką Zmudzinką?...

Okolo północy daleki tętent spłoszył brytany podwórzowe, ożywił drzemiących ekonomów. Jeździec się zbliżał, jechał

prędko bardzo, u bramy zsiadł z konia i pieszo podszedł do oficyny.

Poznała jego wzrost i głos ponury. Krótko dawał jakieś rozkazy; oficjaliści odpowiadali parę słów, czasem o coś zapytał, wreszcie odprawił ich skinieniem ręki.

— *Łaba nałt, ponuj!* — ozwali się *unisono* — (dobranoc panu!).

— *Łaba nałt, jums!* (wam) — odparł.

Klucz zazgrzytał w zamku. W oficynie zaśwyciło światło, otworzono okno.

Godzinę czekała panna Irena. Zegary wydzwoniły pierwszą, we dworze rozlegały się tylko gwizdanki nocnych stróżów, światło wciąż tlało i słychać było, gdy wiatr przestawał szumieć, szelest papieru w otwartym oknie. Czarny cień człowieka siedział schylony u biurka, coś pisał i rachował, nie podnosząc głowy. Poruszyła się, wstała i poszła do sypialni.

— Ładna perspektywa! — szepnęła do siebie — to i ja tak ślęczyć będę jak on!

Marek wciąż pracował. Jak kiedyś ojciec jego, tak on teraz zbierał dokumenty, plany, raporty ekonomiczne, wykańczał rachunki i sprawozdania. Robota żmudna i męcząca była mu rekreacją. Jutro stos ten bibuły odda właścicielce, weźmie swoją strzelbę, Margasa, i pójdzie, jak przyszedł, przez Dewaję do Sandwilów. Skończona służba, skończona!

Kosztowało go Poświcie rok trudów i narzeczoną. Ludzie w końcu nazwali go złodziejem. Miał dosyć na swój rachunek.

Jeszcze godzin parę! Zebrał porządnie papiery, upakował w skrzynkę trochę odzienia, obejrzał strzelbę, pogładził laszatego się psa i zgasił świecę.

Brzask świtał na wierzchołkach drzew...

Gdy się Irenka Orwidówna ocknęła, było blisko południa. Chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Sypialnia to była jej dziadów, obszerna, ciemna od obić gobelinowych. Przez okno zaglądały lipy ogrodu. Dziewczynka przeciągnęła się rozkosznie na olbrzymim łożu z kotarami i zadzwoniła.

Wiejska pokojówka wsunęła się z cicha. Była to wnuczka

szanownego Filemona. Podała pani jakąś książkę. Panienka otworzyła ją i uśmiechnęła się radośnie. Były to rozmowy niemiecko-polskie, istna nić Ariadny!

Za ich pomocą porozumiała się jako tako. Dowiedziała się nowa obywatelka, że służąca ma na imię Justka, że dziś pogoda, że pan z oficyny dawno przyszedł i rozmawia z obcym panem, i że to on dał jej tę książeczkę.

— Dowcipny pomysł! Rola tłumacza musiała mu dokuczyć! No, gotowam!

W salonie panowie rozmawiali tymczasem. Marek raczej słuchał z zajęciem, a Marwitz opowiadał systematycznie historię swoją i sieroty.

— Ojciec mój za młodu miał fermę, w półdzikim Stanie. Handlował bydlęm i skórami zwierząt. Ożenił się z jedynaczką sąsiedniego osadnika, miał oprócz mnie dwóch starszych synów. Gdy się urodził, nasz Stan był już inny. Puszcze padły pod siekierami, Indianie cofnęli się głębiej, zaczęły z błyskawiczną szybkością wzrastać miasta i fabryki. Trafiono na pokłady żelaza i cyny, grunt dawał bajeczne urodzaje. Wokoło naszej fermy, jak grzyb po deszczu, urosło miasto—nazwano je Drakecity, od nazwiska ojca mej matki. Pamiętam jeszcze, gdy miało tylko jeden sklep, jeden kościół i jedną szkołę. Teraz liczy sześćdziesiąt tysięcy ludności, posiada kilkanaście sekt, dziesięć szkół, piętnaście fabryk, kilkaset magazynów. Ubiegło dwadzieścia lat zaledwie; jeszcze za dziesięć dorośnie Filadelfii!

Amerikanin zrobił pauzę i z dumą spojrzął na słuchacza.

— Dają wam wzrastać!—mruknął Marek.

— Ojciec mój przeczuł świetną przyszłość osady. W początkach skupił za bezcen obszary ziemi, potem połowę rozprzedał, zarabiając sto za sto. Połowę zostawił sobie dla dorobku. Najstarszemu bratu kupił kilkaset akrów z żyłą cyny, ożenił go i osadził. Średni nie chciał w domu pracować, z amatorstwa marynarzem został — ja otrzymałem wykształcenie techniczne i kapitał. Założyłem przedziałnię bawełny, ojciec został na fermie, matka dawno umarła, zaraz po moim narodzeniu. Oto masz pan nasze dzieje.

— A panna Orwidówna?—zagadnął Marek.

— Oh, to także stara historia. Miałem dwanaście lat, gdy do plantacji naszej przyszedł, prosząc roboty i chleba, człowiek wychudły, w gałgany odziany, pokaleczony, z dziewczynką czteroletnią może, ledwie żywą ze zmęczenia i głodu. Szli z zachodu i długo stali pod bramą naszą, bo nikt nie wierzył, aby ten nędzarz zdał się na co w polu. Nareszcie ojciec mój go spostrzegł i przyjął z łaski, dla dziecka więcej — bo lubił dzieci bardzo.

Człowiek stanął z Murzynami i Chińczykami do pracy. Robił cicho i posłusznie, ile sił mu zostało w wynędzniałym ciele, ale siaby był już ich zasób.

Zapomniano go w tłumie. Z dzieckiem mieszkał w budzie na plantacjach...

W tej chwili zza pleców Marwitza Irenka Orwidówna wychyliła się cicho i, kładąc mu rękę na ramieniu, rzekła:

— Ja dokończę. Clarke, swoich dziejów! Ty wiele zataisz!

Usiadła między nimi i mówiła dalej wzruszonym głosem:

— Mieszkał w budzie ten zły robotnik, źle jadł, chodził w łachmanach, a grosz zbierał i chował w szczelinę ściany. Dziecko uczył pacierza w nieznannej mowie i usypiał obietnicą, że wnet pójda dalej na wschód przez wielkie morza — do matki, co na nich czeka. Mówił, że kraj ma piękny, i termę swoją, i dobrego, starego przyjaciela za morzami. Dziecko wszystko zapamiętało! Pracował dwa lata, aż wreszcie pewnego dnia sięgnął do kryjówki po krwawy grosz na podróż — i nic nie znalazł. Ktoś odkrył skrytkę i ograbił biedaka w czasie nieobecności. Chińczyk zapewne z plantacji.

Potem już człowiek stracił ducha. Miara goryczy przelała się za brzegi: nie chciał pracować, na dziecko popatrzał szklanymi oczyma i zapłakał.

Parę tygodni leżał w budzie: dziecko było głodne, on tyłko pić wolał i modlił się. Zginęliby oboje razem, gdyby nie pan Marwitz, a raczej Clarke! On raz przypadkiem zajrzał do budy i ojca sprowadził. Zabrano chorego i dziewczynkę do pańskiego domu, ją nakarmiono do niego sprowadzono doktora,

niezczędzono starań. Ale już nie było co ratować! Natura się wyczerpała, jak knot bez oliwy. Umarł po kilku dniach. Przed śmiercią z łachmanów wypruł zwitek pożółkłych papierów i szczyptę siwego piasku w szkaplerzyku. Dziecku dał medalik złoty, ułamek sygnetu, i kazał, gdy dorośnie, iść na wschód, za morza, do matki. Z panem Marwitzem chwilę rozmawiał, oddał sierotę i papiery owe. Gdy umarł, ksiądz katolicki pochował go i ten piasek rzucono mu do grobu.

Głos opowiadającej zerwał się. Umilkła na chwilę i wpatrzyła się w okno, zagryzając usta, na które może z głębi duszy cisnęło się łkanie.

Marek nie spuszczał oczu z jej twarzy. Do głębi poruszyła go ta opowieść.

Rozbitek nie doszedł do kraju, szczyptę tylko żmudzkiej ziemi, jak relikwię, rzucono mu na trumnę, a dziecko zostało bez matki ukochanej a dalekiej i płakało...

W piersi ponurego człowieka zabolalo coś dotkliwie. Ból nieznanym, przejmującym, wybił się na lica, przedarł się przez szerniałą skórę, zabarwił policzki i skronie ciemnym rumieńcem. Spuścił głowę przejęty.

A Clarke Marwitz złożył ręce i kołysząc się na krześle, wrócił ich oboje do równowagi spokojnym, powolnym tonem:

— Całe to nieszczęście nie byłoby się stało, gdyby w fermie naszej była kobieta, jaką w kilkanaście lat potem została Iry.

Dziewczynka ocknęła się z zadumy, potrząsnęła głową:

— Na takie niedole, co duszę toczą, Clarke, nie ma ratunku. Zawiele stracił mój ojciec w życiu i za daleko mu było do kraju. Tysiące tu leżały dla niego, a pochowano go z łaski pana Marwitza. Łaską ich ja wzrosłam!

— Deklamujesz puste frazesy, Iry! — przerwał Amerykanin — ja ten ustęp opowiem. U nas w domu, panie Czertwan, brakło córki. Ojciec nie miał z kim się pieścić i żartować, ja nie miałem z kim swawolić. Poweselał nasz pusty dom, gdy ona przybyła.

— Mogłiście przyjąć krewną jaką lub znajomą. To fałsz!

Zrobiliście łaskę! Hodowano mnie jak rodzoną, oddano do szkoły, nie gniewano się nigdy.

— Nie było za co. Ledwie od ziemi odrosłaś, stałaś się użyteczną. Ze szkoły, po latach piętnastu, przyniosłaś patent, odbyłaś kurs handlowy w fabryce, praktykowałaś pół roku jako dozorczyńni w szpitalu. Nie myślałaś, czyniąc to, o karierze dla siebie, boś wróciła do starego ojca i na fermie stałaś się Opatrznością.

— Deklamujesz puste frazesy, Clarke!—powtórzyła jego zdanie, wstając. — Chodźmy na śniadanie! — dodała.

— Poczekaj! Nie powiedziałaś jeszcze, że dzieci robotników zabrałaś do szkółki, że chorym dałaś opiekę, żeś zastąpiła ojcu sekretarza.

— Obowiązkiem było pracować. Dostyc tej gadaniny!...

— Przepraszam, nie powiedziałaś, żeś odrzuciła rękę Williama Jacksona, milionera, dlatego tylko, że ojciec płakał na myśl rozstania.

— Mój drogi, mogłam mieć osobiste powody, więc żadnej zasługi z tego niby poświęcenia.

— Toteż i ja tak myślałam i w tej błogiej nadziei oświadczyłem ci się nazajutrz po Jacksonie. Byłem tak pewny przyjęcia, że miałem nawet pierścionek w kieszeni.

Roześmiała się szczerze.

— Nie przypuszczałaś, że poza tobą może ktoś istnieć w mojej duszy?

— Żebyż istniał, tobym go *zlynczował* przynajmniej! Ależ i tej osłody nie doznałem w odmowie!

— Został ci pierścionek i swoboda. Pocieszyles się prędko.

— No, zapewne! Nie mogłem płakać, albo się powiesić! Coby to pomogło? Zresztą, wtedy byłem okropnie zajęty nową maszyną do skubania bawełny. Pamiętasz? Nawet od tego zacząłem oświadczać...

Marwitz wzniosł do sufitu blade oczy i westchnął.

Panna Orwidówna roześmiała się i wyszła z pokoju.

— Biorę pana za świadka — zwrócił się poszkodowany do Marka—czy to nie logiczne? Ojciec ją chciał zatrzymać,

ona chciała pozostać. Wypadało się połączyć w rodzinę. Nie bronilibym jej pracować dalej w swym zawodzie. Małżeństwo powinno się było skojarzyć. Ojciec ją kocha do dziwnactwa, ja tak byłem pewny takiego końca, żem, oprócz niej, nie odzywał się do żadnej kobiety wolnej. Po co próżny trud i strata czasu? Myślałem; znaliśmy się wybornie, nie było nigdy sprzeczki. Mogłem śmiało kupić pierścionek. A wie pan, dlaczego odmówiła? Żeby nie posądzono jej o interes. Nie, nie i nie! Godzinę gadałem, wezwałem ojca, bratową, nic nie pomogło! Proszę mi powiedzieć, czy to nie wstyd, taki brak logiki?

— Jaby m na miejscu panny Orwidówny nie inaczej postąpił — wygłosił swe zdanie Marek. — Była biedną, więc dumną i nieufną. Teraz odpowiedziałaby może inaczej.

— Otóż właśnie, że nie. Jeden więcej dowód nielogiczności. Ojciec mnie umyślnie z nią wysłał. Stoimy teraz majątkowo na równi. No i także nie chce! Pierścionek zawsze noszę w kieszeni, ale sądzę, że innej go oddam, bo strasznie, pomimo nauki i rozsądku, nielogiczna.

Umilkł i kołysał się dalej, gładząc w takt faworyty. Wyglądał zafrasowany, jakby po nieudanej próbie szarpania bawełny.

— Czemuż tak długo nie zaczęliście panowie starań co do spadku? — ozwał się Marek po małej przerwie.

— Nie mieliśmy żadnego dokumentu, oprócz metryk i świadectwa rodu. Kazimierz Orwid chciał właśnie wracać; nie wiedział, że go śmierć zaskoczy. Ustnie ojcu opowiedział, kim był, i nazwał pana Czertwana. Po śmierci zaniechano starań, a potem ojciec nie chciał stracić ulubionej i ociągał się z dnia na dzień. Przypadek wszystko zrządził. W gazecie Irenka wyczytała pańskie nazwisko, i ona je pamiętała. Uprosiła ojca, żeby napisał do Paryża. Czy to pańska siostra, ta studentka z Sorbony?

— Przyrodnia.

— Czy panowie już po śniadaniu?—ozwała się panienka, wsuwając głowę spoza drzwi jadalni.

— Dziękuję pani — uklonił się Marek, wstając żywo

z miejsca. Zaledwie przypomniał sobie, z czym tu przyszedł.

Clarke z wielką precyzją zaczął dobierać cygaro; Czertwan, jakiś dziwnie nie swój, podszedł do młodej gospodyni.

— Przyniosłem pani książki — wymówił z trudnością. — Może pani raczy je przejrzeć i uwolnić mnie już...

— Czyż pan nie może pozostać? — rzekła z prośbą w głosie.

— Nie mogę pani. Dorabiam się i ja ciężko lepszego bytu. Mam nawał pracy u siebie.

— Czy panu mało wynagrodzenia?

— My za pieniądze nie służyliśmy tutaj! — odparł, odrzucając hardo głowę. — Ojciec robił to dla przyjaciela, a ja dla ojca. Zresztą, zarządzających nie brak; ja pani mogę nastręczyć zdolnego i uczciwego człowieka; służba stara, zaufana, procesów i sporów żadnych, porządek utrwalony od dwudziestu lat.

— Ależ panie! Ja nie znam mowy, obyczajów, praw. Mnie trzeba nie rządcy, ale przyjaciela. Niech mi pan choć swą pomoc i radę przyrzecze w początku nowego życia.

— Ile razy pani mnie zapotrzebuje, stawię się na rozkazy.

— Niech pan choć co tydzień przyjeżdża.

— Przyjadę na każde pani wezwanie. Zagroda moja niedaleko, za Dubissą.

— Dziękuję panu i za to. Czy to wielka łaska i ofiara?

Spojrzała nań uważnie, ale on oczu nie podniósł, i patrząc w ziemię, odparł głucho:

— Nie, panie! Żadna ofiara...

Zwróciła się, zniecierpliwiona tym chłodem kamiennym. Czyż oprócz kochania kraju, głaz ten nic nie ma w duszy?

— Iż mi pan jeszcze czasu poświęci teraz?

— Do wieczora skończymy rachunki i kontrolę.

— Do wieczora... a potem?

— Pójdę do domu!

— Panie, litości! — zawołała przerażona. — Wczoraj przyjechałam, nie byłam nigdzie poza dziedzińcem. O majątkach swoich tyle wiem, co o wnętrzu Afryki. Pokaż mi pan przynajmniej choć z daleka moją ziemię, lasy, folwarki. Niech cokolwiek zobaczę, zrozumieć. Ojcowie nasi byli braćmi; przez

pamięć dla nich, proszę mi dać odrobinę przyjaźni. Ja tu nikogo nie mam w tym kraju, do którego z taką tęsknotą jechałam...

Głos jej miał śliczne, miękkie dźwięki, a piwne oczy spojrzały żałośnie.

Spotkali się wzrokiem. Surowe jego rysy złagodniały, pociemniały od fali krwi. Złe zrobił, że patrzył, bo się zachwiał w postanowieniu.

— Zostanę, pani, ile będę mógł! — odparł bez namysłu.

Było to jej pierwsze zwycięstwo. Odetchnęła!

Marwitz dokończywszy cygara, znalazł ich w gabinecie nad stołem, zarzuconym papierami. Umieścił się wygodnie i godzinnie słuchał agronomiczno-administracyjnej prelekcji, wreszcie znudzony, powstał z zamiarem udania się do parku.

— Panie Czertwan — zagadnął — czy ogrodnik mnie zrozumie?

— Nie, on nawet po polsku mało co umie. Czego pan potrzebuje?

— Widziałem rzekę i wnioskuje, że rybna. Chciałbym dostać przynęty do wędki. Jest to najmiłsze spędzenie czasu! Hazard i obserwacja! Wędkę przywiozłem z domu. Już się śmiesz, Iry? Ty zawsze moje gusta traktujesz z humorystycznej strony.

— Myśl wędki z Ameryki, to istotnie niezwykle hazard i obserwacja! Przecież byłoby gorzej, gdybym płakała nad twoimi gustami!

Marek zawołał służącego i polecił mu amatora rybołówstwa. Panna Orwidówna szczerze była ubawiona tym epizodem. Olbrzym ani mruknął.

— Czy pan się nigdy nie śmieje? — spytała.

Pochylił się nad planem jakimś.

— Nigdy... — zamruczał niewyraźnie.

— Pan nie żonaty?

— Nie, panie!

— Wdowiec zatem?

— Czemu? — zagadnął, podnosząc zdziwione oczy.

— Bo pan ma obrączkę...

Spojrzał na swą rękę i niewyraźnie odparł:

— To matczyna.

— Ah, więc pan stracił matkę? Dawno?

— Bardzo dawno!

— To dlatego pan zawsze ponury. I narzeczonej pan nie ma?

Potrząsnął głową.

— I rodziny żadnej?

— Przyrodnia, nie swoja. Oni osobno, ja osobno.

— To panu bardzo pusto i nudno na świecie!

— Jak każdemu! Jest smutek, jest pociecha. Czy pani przejrzała ten plan folwarku Gilus? Oweczarnia tam stoi i tysiąc owiec angielskich.

Zatopili się znowu w pracy. Słuchała go uważnie, serio, robiła notatki, pytała o mnóstwo szczegółów. Po dwu godzinach policzki jej pobrały, oczy świeciły gorączkowo. Zmęczyła się, nie odpoczęła jeszcze zupełnie po drodze, ale pomimo to pracowała dalej. Parę razy tylko skrzywiła się i dotknęła skroni. Bolała ją głowa z natężenia i chaosu cyfr.

Dziwna rzecz: on tylko księgami był zajęty, a jednak spostrzegł i zrozumiał ten ruch. Zawahał się i wreszcie przerwał swe sprawozdanie.

— Cóż dalej?—pytała—skończmy o tej gorzelni.

— Może jutro skończymy? Pani zmęczona.

— Mniejsza z tym. Muszę korzystać z pana grzeczności i czasu. Wypocznę potem!

Już jutro skończymy! — powtórzył, wstając.

— I owszem, kiedy pana wola, Chodźmy odwiedzić rybaka.

— Możemy dziś zwiedzić jeden folwark, ten najbliższy. Powerpiany.

— Ach dobrze! Z całą przyjemnością. Dziękuję panu.

Zakończyła ślicznym spojrzeniem i ruszyli razem do ogrodu. Park tarasami zbiegał do rzeki, i utrzymany był, jak wszystko, bardzo starannie. Dubissa na wiosnę, obrzucała pianą nadbrzeżne drzewa, teraz ustąpiła już nieco, zostawiając kawał twardego, stromeego brzegu. Marwitz tam siedział, z cierpliwością bonza

chińskiego patrząc na kawał korka, tańczący na falach. W kuble obok miał już parę drobnych rybek.

Nie obejrzał się wcale na szelest kroków.

— Jakże z twoim hazardem i obserwacją? — zawołała wesoło gospodyni.

Poruszył się niecierpliwie.

— Iry, wiesz, jak ryba boi się hałasu! Tyle razy ci to mówiłem. No i znowu teraz, jak zwykle, spłoszyłaś zwierzynek. Od pięciu minut krążyła około haczyka. Uciekła i nie wróci!

Wydobył wędkę i zniechęcony rzucił ją na piasek.

— Niech się pan nie troyży — ozwał się Marek — nie jedna ona! Łakomstwo i ciekawość, to uniwersalne rybie wady!

Panna Irena ruszyła ramionami i ciekawie przyglądała się panoramie okolicy. W lewo Ejnja wpadała z łoskotem, obracając koło wodnego mlyna, w prawo białe Skomonty, czerwieniał dach kościółka, grusze plebanii czerniały majestatycznie i długą linią wyciągało się wsi kilka.

Wprost dąbrowa stała cicha, poważna, ozłocona słońcem, i przeglądała się w sinych, burzliwych falach Dubissy.

Kilka łódek płynęło tu i tam z rybami, lub pękami świeżego siana; po polach snuli się ludzie z pługami, czasem zaśpiewał kto na wodzie pieśń pobożną, lub przy spotkaniu witali się bożem imieniem.

Obrazek był wdzięczny, cichy i bardzo pogodny. Podniósł nawet na niego oczy Marwitz i po chwili raczył zauważyć:

— Podoba mi się twój kraj, Iry! Ten widoczek okupuje nawet złe drogi i dziurawe mosty.

— Ładny — powtórzyła z uśmiechem — tylko dziwnie cichy. Zobacz, jak ci ludzie powoli się ruszają, powoli pracują i wciąż milczą! Porównaj to z gorączką naszej fermy?

— Lud, co innego!—odparł Marwitz.—Z moich obserwacji wnoszę, że musi być leniwy, ociężały, nieroztropny i ponury! Cóż dziwnego, że narzekają na biedę!

Marek w dąbrowę miał oczy utkwione i wytężony słuch. Przez huk Dubissy i pomimo oddalenia, szum daleki wpadał mu w ucho i coś gwarzył, i wołał, i witał. Słowa Marwitza

przerwały tę rozmowę tajemniczą, spuścił w dół na Amerykanina oczy i zaczął glucho, coraz się ożywiając:

— Pan się myli. Lud nasz, ociężały pozornie i ponury, jak mrowka pracuje i serce ma łagodne a szlachetne. Milczy, to prawda, ale nie dla tego, że mówić nie chce, albo nie myśli. ale dla tego, że mu mówić nie wolno i czasu nie ma! Po wsiach tych nie znajdzie pan szynków, ani rozpusty; lepsza ta cisza od lada jakiej wrzawy! Robimy powoła, ale ciągle, ile mocy...

— Przepraszam pana za lekkomyślne przypuszczenie— rzekł Marwitz, wyciągając do niego rękę.—Zaraztem się wada Iry: prędkim sądem; będę teraz po waszemu milczał i obserwował.

Panienska spod brwi zmierzyla ich obu.

— Nie rzucaj na mnie własnych grzechów!—zawołała— wyznaj, że dla ciebie poza Ameryką nie ma doskonałości, a poza kościołem anglikańskim nie ma zbawienia! Tyle razy mi to powtarzałeś!

— No, zapewne, z wyjątkiem kościoła. Nie jestem dewotem. Lubię nade wszystko spokój.

— Wiemy, wiemy; To *credo* słyszał pan Czertwan pewnie już dzisiaj kilka razy, a ja tysiąc razy! Co to za dwór?— zagadnęła Marka!

— Skomonty!—odparł krótko.

— Czyje? Może tej wdowy, którą pan wczoraj odwiedzał?

— Nie pani, to ojca mego majątek.

— Ach, zatem pański; a to dalej kościół?

— Nasza parafia.

— To pan tam mieszka w Skomontach?

— Nie, pani. Moje za Dąbrową, nie widać.

— A las czyj?

— Mój! — rzekł z wyrazem radości w chmurnych źrenicach.

— Są tam zwierzęta jakie?—wtrącił się do rozmowy Marwitz.

— Zwierzyna, pan myśli?

— No tak. Kujoty, szakale, niedźwiedzie?

— Nie, tego u nas nie ma, — odparł z najzienniejszą krwią Marek.

Panna Orwidówna usiadła na brzegu i, błędząc oczyma po krajobrazie, spytała:

— A ta wdowa, sąsiadka, zdrowsza?

— Co ją może obchodzić nieznajoma? — pomyślał — ot, dla próżnej gawędy chyba.

— Zdrowsza! — odparł lakonicznie.

W tej chwili lokaj znalazł ich i oznajmił, że konie gotowe. Mieli jechać i obejrzeć folwark.

Marwitz pozostał. Zarzucił wędkę i wółprzymkniętymi oczyma obserwował korek na wodzie. Chwilami ciepło i cisza rozmarzały go i drzemał, kiwając się i bezwiednie ruszając rękoma. Śniły mu się plantacje, bawełna, tłoki maszyny, tygodniowe wypłaty i pudding, przygotowany białymi rączkami Irenki. Uśmiechał się przez sen, a tymczasem ryby ogryzały robaki i zmykały dalej, a rybacy z łódek przyglądali się nowej nieznaney figurze i śmieli się dobrodusznie.

Mógł oddawać się swej namiętności bez żadnego skrupułu. Irenka nie potrzebowała go wcale. Od świtu pieszo lub wózkem odwiedzała swe posiadłości, wglądała w każdy szczegół, za powrotem słuchała objaśnień Marka i uczyła się gwałtownie języka swych ojców. Siedzieli zwykle na ganku ogrodowym: on zgarbiony, zapatrzonej w ziemię, ona otoczona podręcznikami i słownikiem. Nie wspominał już o odjeździe, ale powoli nakłaniał ją do sesji gospodarskich, do kontroli, do zatrudnień gospodyni domu, uczył przykładem, przygotowywał do obowiązków.

Zwiedzili folwarki, lasy, młyny, choć powierzchownie, ale wszystkie; służba udawała się do niej po rozkazy; rozumiała już kilkadziesiąt słów mowy. Tydzień minął, a on się nie wydzierał na swobodę, do swej pracy i obowiązków. Siedział, jak zakłęty, przy niej, i milczał.

Pewnego wieczora siedzieli we troje nad Dubissą. Marwitz kocietował ryby robakiem, Irenka uczyła się z podręcznika po

polsku jakiegoś zdania, najeżonego spółgłoskami, Marek opodal spoczywał na ziemi i na Dąbrowę patrzył.

Wtem spoza drzew cicho, tajemniczo, wysunęła się łódka, jak lupina, i kierowana śmiałą ręką jednego wiosłarza, poczęła w poprzek przedzierać się do Poświęcia. Gdy minęła zakres cienia, ostatnie promienie zachodzącego słońca oświeciły wyraźnie śniadą cerę i skrzywione płacziwie rysy Łukasza Grała.

Czertwan wstał; na twarzy jego malowało się wrażenie przykrości. Pierwszy to raz w życiu ktoś go szukał, wzywając do pracy, przypominając, że czas do dzieła.

Grał spostrzegł go i wiosłował wprost do brzegu, zakłopotany widocznie obcym, a tak pięknym towarzystwem, w którym zastał dawnego przyjaciela.

Z daleka już zdjął kapelusz.

— Po mnie jedziesz? — zagadnął Marek.

— Darujcie! Czekałem dwa tygodnie. Może nie macie czasu?

— Wziąłeś jezioro?

— Jak kazaliście, zrobiłem wszystko. Jezioro nasze, a le nie miałem rozporządzenia na połów, a tu mi Żydzi progi obijają po rybę. Poszedłem po radę do naszego chrzestnego. Chciał po was sam jechać, ale coś niedomaga, mnie posłał. W Jurgiskich młynach zabrakło żyta, od czwartku stoją. Pytał się o was młodszy ze Skomontów trzy razy. I panna Hanka przyjechała wczoraj z proboszczową synowicą i także was potrzebuje. A najgorzej z tymi rybami, bo bardzo płacą teraz. Tak was czekamy, jak słońca.

Panna Irena słuchała tej oracji nadzwyczaj ciekawie. Czasem zrozumiała jakie słowo, reszty się domyśliła.

— Pan już nas opuści? — rzekła z żalem.

Pomilczał sekundę i, nie patrząc na nią, odparł po swojemu mruklawie:

— Ile razy pani zapotrzebuje, rzucę swoje i przyjdę. Teraz iść trzeba.

— Zaraz?

— Zaraz.

Sklonił się przed nią głęboko.

— Do widzenia zatem! Dziękuję panu za wszystko.

W tej chwili rybka srebrna była o cal od przynęty, już zwracała do niej pyszczek, pomimo to, Marwitz wydobyl wędkę i wyciągnął do Czertwana szeroko otwartą prawicę.

— Do widzenia, byle prędko! — wymówił serdecznie.

Uścisknęli sobie po bratersku dłonie, Panienska spojrziała bystro na Marka.

— Możemy się pożegnać i my po amerykańsku — uśmiechnęła się z przymusem.

Szeroka, ogorzała, twarda ręka objęła jej delikatne palce, ołbrzymia postać pochyliła się z uszanowaniem. Musiała być bardzo pewna swego, gdy do tego mruka odezwała się wesoło, z błyskiem zalotności w oczach:

— No, możesz ją pan pocałować, kiedy trzymasz.

Pochylił się jeszcze głębiej i spełnił w milczeniu pozwolenie. Gdy się wyprostował, ciemny rumieniec miał na policzkach: unikał jej oczu.

Nie wymówił więcej słowa, skłonił się raz jeszcze i zsunął ze stromego brzegu wprost w czołno; Łukasz zostawił mu miejsce u steru, podał wiosło. Odskoczyli o parę sążni.

Słońce rozpalilo na kolor luno fale Dubissy. Płonęła woda, czołno, czuby dąbrowy, stały w ogniu sylwetki obu wiosłarzy. Jeden drobny, zgarbiony, wpatrzony bezmyślnie w tonie, drugi jak dąb wybujały i potężny, z podniesioną głową, niedbały o wartki prąd i ciągle wiry rzeczne.

Wiosło gięło w jego muskularnych dłoniach, postać pochylała się i nagiwała rytmicznie, bez żadnego widocznego wysiłku.

Patrzył uparcie na dęby swoje i słuchał obojętnie płacziwej opowieści Grała:

— Już tydzień, jak nas Wojnat wygnał z chaty. Garnki, co były nasze, potłukł, krośna porąbał, odzież i kuferek za próg wyrzucił i ją precz wygnał na deszcz. Dola moja taka! Drugiego dnia ledwie wróciłem z jeziora i do swej chaty przeprowadziłem biedną. Teraz płacze bezustanku i gadać nie chce. Co ja winien nieszczęsny? Innemu wszystko się śmieje, mnie wszystko płacze. Było się lepiej nie rodzić. Cały zaścianek

na języki mię wziął i na śmiech, a ją palcami pokazuje. Co ona winna, biedna, słaba kobieta? Moja dola uczepliła się jej, jak czyrówka (kanianka) lnu i splątała całe życie.

W tej chwili od Poświęcia zabrzmiała po fali melodia niezna-nej piosenki. Śpiewał ją jeden głos, potem dwa i znowu jeden kobiecy. Marek się obejrzał. Irenka Orwidówna stała na brzegu, oparta o dziwacznie pokręcone członki starej wierzy. Gibkie gałązki objęły, jak w zielone ramki, jej głowę, tło ozłociło słońce. Wyglądała, jak obrazek bizantyjskiej szkoły, retuszowa-ny pędzlem Fra Angelica.

Młody człowiek minutę stał zapatrzony, bezczynnie trzy-mając wiosło, potem jakby gniew i wściekłość przeszła mu przez oczy, wiosło zagłębił w fale, brwi zmarszczył i nie spojrział więcej. Łódka wpłynęła w cień dębów i z tamtego brzegu nic już widać nie było. Luna na rzece zaczęła opadać i gasnąć, potem pieśń ucichła.

Na obu wybrzeżach zapanowała pustka i spokój niczym niezmacony, tylko Dewajtis stary słuchał wieści, co mu niósł Dubissa, i majestatycznie szemrał.

Pod jego cieniem długo dumał człowiek samotny; gdy odszedł, gwiazd było pełne niebo, a w zaścianku piał pierwszy kury. Dąb go żegnał przeciągłym szelestem, a dęby wnuki za patriarchą powtarzały pożegnanie głuchym chórem.

VII.

— Panno Aneto?

— A co, dobrodzieju?

— Czy prędko będzie koniec z tymi podłymi robakami?

— Dobrodzieju, nie godzi się pocziwej pszczołki tak postponować! Pracy jest wzorem, jak nasz Marek, śpiewem Boga chwali przy robocie, pałace stawia, jakichby architekt nie potrafił, biały wosk daje do ołtarza i miód na wiele chorób pomocny...

— Niech je tam wszystkie dziecioty wydziobią, to kaśliwe lichy!

— Zli ludzie obgadują biedaczkę! Nie kasa ona! Matki broni i ula do śmierci! Kto ją lubi i szanuje, tego nie tyka. Ot, trzy roje osadziłam i nie mam żadnej krzywdy!

— Panna Aneta czymś się sekretnym smaruje to i spokojna! A tymczasem ani my, ani dobytek miejsca znaleźć przed nimi nie może. Pocięły Marka onegdaj, a wczoraj mi żrebaka okałeczyły. Fe! Grenis spuchł, jak kadka, mnie oko wygrzyły. Skaranie boskie!

— Ja jegomości dam biedrzeńca do oka. Wnet przejdzie!

— Niech panna Aneta lepiej swoim pszczołom da biedrzeńca na umitygowanie. Szelmstwo to lata sobie bez ceremonii wszędzie... Ja im zrobię kiedy sztukę!

— Mój dobrodzieju, nie róbcie, proszę! Melisy im nasiąlam, wnet się obeznają i jak dzieci będą ciche! Trzy pnie, co to

znaczy? Ledwie początek. Dziś czwarty znalazłam w dąbrowie, w dziupli; to będzie ostatni!

— Co? Jeszcze jeden? I to leśne, najzjadliwsze! I Grenisa mi weźmie panna Aneta, i wóz, i konia, i drabinę! A! To winszuję!

— Ostatni raz, dobrodzieju, ręczę! Samabym poszła, ale wysoko, a starość. Żeby Marek był, to by pomógł.

— Pewnie, nawet jemu czas roje wykurzać! Grenis! Zaprzę-gaj siwą! No, ale jak mnie panna Aneta zwiedzie, że to nie ostatni, to daję żołnierskie słowo, że pozatykam w ulach okienka, niech zdychają.

— Dobrodzieju, pszczołka umiera, nie zdycha. Nie zwiode, bo i miejsca więcej nie ma, i czas przechodzi. Jesienią wosk i miodek za to mieć będziemy...

— Ho, ho! Trafila panna Aneta na moją słabą stronę. Ma się rozumieć! Będzie z tego dochodu tyle, ile kot napłacze. Już ja to wiem. Niech tylko panna Aneta prędko wraca, bo na podwieczorek przyjdzie czarna Julka i Hanka.

— Za godzinkę wróć. Dziękuję dobrodziejowi za konika!

Grenis zajechał przed dom. Starowina włożyła na wóz sitko, woreczek, kropidło i t. p. przyrzędy pszczelnicze, potem sama się wgramoliła i pojechali, pożegnani skomleniem lisa i klekotaniem żurawia.

Rymko Ragis pozostał na ławce przed domem z fajeczką w zębach, filuternymi oczyma wodząc dokoła.

Było to świąteczne południe i sobota. Ludzie się rozproszyli po rzece i polach: młodzi dla rozrywki, starzy dla gawędy. Z sąsiedniej zagrody słyhać tylko było ciężki kaszel starego Wojnata i gderliwy jego głos, musztrujący parobka i służącą.

W Markowym obejściu nikt się nie kłócił, chyba bocianięta młode na szczycie stodoly, wyglądające żeru. Pogoda, słońce i dobrobyt usporobiły pokojowo mieszkańców. Lis drzemał na przyźbie, siwy żuraw melancholijnie łowił muchy na ścianie, czerwona wiewiórka ze swawoli goniła wróble po wiśniach lub ścigała swój własny ogon, kręcąc się, jak szalona; pod płotem mignęły czasem uszy królika, zajętego gryzieniem

łozowych prętów. Gołębie, jak biała chmurka, spadły do koryta z wodą, a potem obsiadły dach, gruchając *unisono*, psy wy-grzewały na słońcu to lewy bok, to prawy, przeciągając się ruchem sybaryty.

Wszystko było zgodne, spokojne i z losu zadowolone; nawet kos w klatce za oknem gwizdał wesoło, a szpak, skacząc po szczebelkach, krzyczał coraz donośniej:

— Na zdrowie! Dzień dobry! Winszuję!

Ragis kręcił węża, mrużył oczki, gładził szcztokową czuprynę, potem nałożył nową fajkę i jął śpiewać pod nosem:

Nie mówiąc matce powodu,

Tari, tari, tari

Poszła Filis do ogrodu,

Tari, tari, tari.

Jakby dla kontrastu, w ulicy rozległo się gwizdanie zrazu, potem kuplety z operetki po niemiecku:

Beim Weine, beim Weine, da sitzt man gern zu drei,

Beim Liebchen, beim Liebchen, da sitzt man drei allein!

Podkowa zadzwoniła o kamień, i za bramą ukazał się Witold konno, ubrany, jakby jechał na łowy do Windsoru.

— Hej! Jest tam kto? — krzyknął, w bok się biorąc.

Ragis jeszcze szczerzej zmrużył oczki i udawał śpiącego, psiarnia nawet nie raczyła się odezwać, tylko wiewiórka i króliki pierzchnęły w głąb ogródka, przerażone niebywałym krzykiem.

— *Verflucht, verdammt!* — zamruczał paniczyk. — Powymie-rali ci szpitałnicy, czy co? Ani śwędu! Hej, Marek! Otwórz wrota, bo ci je połamię!

Psy jakby rozumiały pogrózkę, porwały się z wrzaskiem; wówczas i Ragis odemknął jedno oko i, splunawszy flegmatycznie, odezwał się do hałaśliwej zgrai:

— A sa, a sa! Do Nogi! Cicho! Subordynacja, hołoto!

— A zasię! Do stu piorunów! Łby wam porozwalam, bestie!

Czy to wy jesteście Rymko Ragis?

— A ja! — zamamrotał stary, nie ruszając się z miejsca.

— Czy Marka zastałem?

— A nie! — była tymże tonem odpowiedź.

Ładna twarz chłopca poczęła drgać nérwowo. Zbrzydł do niepoznania.

— Dokąd ja tu po niego będę jeździł? Czy to drwiny? Czy on nigdy w domu nie bywa?

— On domu nie ma, a za młody, żeby ze szpitalnikami siedzieć! — odparł Ragis flegmatycznie, wytrząsając fajkę.

— To mi nic do tego. Bez żadnych konceptów oświadczam, że ostatni raz tu jestem i raz ostatni wzywam Marka. Więcej mnie nie ujrzycie!

— Cóż robić? Zniesiemy i ten dopust! — uśmiechnął się szydersko Ragis.

Witold zakipiał złością.

— Proszę powiedzieć mu, żeby się w trzy dni stawił w Skomontach dla podpisania działu majątkowego wedle woli ojca, i żeby mi oddał dobrowolnie plany, które podstępnie zatrzymał! Rozumiesz? Do trzech dni daję termin, potem go zmuszę. Niech sobie to zanotuje!

— Zanotujemy, jasny panie, każde wasze słóweczko! Ma się rozumieć! Rachunki się zejda! Ho! ho! Czemu nie? Potrzeba wam nagle kruszcu widać? No, no, trochę cierpliwości! Marek go dla siebie nie zatrzyma. Przyniesie!

— Ja jego nieczystych pieniędzy znać nie chcę! Niech mi odda, co zagarnął, i idzie sobie na cztery wiatry! Ja go nauczę uczciwości i akurtności!

— Może i mnie? — wtrącił Ragis.

— Wam się należy także nauka, jak traktować poważnie poważny przedmiot. Głupie żarty wcale nie na miejscu.

— I głupie pogrożki także!

— Zobaczymy, czym się ten upór i szachrajstwo wasze skończy?...

— Zobaczymy, a tymczasem wasze impertynencje warto kończyć, blaźnie! — podniósł głos Rymko, wstając z ławy.

Na ruch ten i głos komenda czworonożna stanęła do boju gotowa. Psy, nader awanturnicze, skoczyły pierwsze, warcząc złowrogo. Stary sięgnął po kij i postąpił do wrót.

— Wracaj do domu, młokosie! Tu w tej zagrodzie nie ma miejsca dla szubrawców! A języka pilnuj, bo możesz pożałować! Fora!

Witold z wyżyn swego folbluta spojrział zuchwale na kalekę, szpicrutę, ścisnął mocniej w dłoń i, gryząc do krwi pobladłe wargi, żuł przekleństwa.

Ragis doszedł do furtki, otworzył ją; psiarnia patrzała mu w oczy.

— Fora! — powtórzył jeszcze silniej.

— Nie krzycz, staruszkule! — odparł młodzik, uśmiechając się zjadliwie — tyle dbam o ciebie, co o twe szczudło!

— Fora! — huknął kaleka.

Psy, jak na hasło, skoczyły na przód. Dwa rzuciły się do nozdrzy konia, dwa do nóg i brzucha. Jeden znieńacka porwał za but jeźdźca. Zapanował piekielny hałas. Koń zaczął wierzgać, chrapać, rzucać się jak szczupak. Szpicruta Witolda, zamiast odpędzić psy, pobudzała do szału konia, który, pomimo mundsztuka, wziął na kiel i rzucił się w ulicę bezprzytomny. Po chwili jeden pies zziąjany przyniósł do nóg Ragisa zakurzoną dżokejską czapeczkę; drugi dostawił podartą rękawiczkę, dwa przyszyły kulejąc i skomlać żałośnie, ostatni nareszcie ukazał się z największą zdobyczą — niósł triumfalnie groźną przed chwilą szpicrutę.

Po świetnym jeźdźcu został tuman kurzu...

Psy, mocno zdziwione, obchodziły pana i zaglądały mu do rąk. Nie mogły zrozumieć, czemu po łowach na takiego grubego zwierza nie dostały ani skokków, ani jelit? Ragis, dysząc z gniewu, nie patrzył nawet na swych faworytów.

Spokój i cisza uciekły z zagrody. Pozostało nadzwyczaj przykre wrażenie: dołączyła się zewnętrzna przeszkoda.

Parobek od Wojnata zajrzał przez plot i rzekł zaleźliwym głosem:

— Gospodarz prosi pana Marka.

— Nie ma — odburknął Ragis.

— Oj, to co będzie? — zajęczał chłop — on musi już prędko umrzeć!

— Wojnat? Cóż mu tam?

— Nie wiedzieć co! Położył się i bardzo grzecznie gada. Musić to już mu koniec, panie!

— Powiedz, że jak Czertwan wróci, to go przysię.

Parobek odszedł; ale wieść ta mocno podnieciła starego. Czego mógł chcieć wuj od wygnanego niegdyś siostrzeńca? Może naprawdę umiera?...

Niedługo dumał spokojnie kaleka. Sądzonym było, że zagroda Markowa będzie dnia tego celem pielgrzymki i hiobowych wieści.

Furtka skrzywnęła, na dziedzińcu wszedł chłop nie młody, obielony mąką, postawy, pomimo lat, prostej i zdradzającej dawną żołnierkę.

O trzy kroki od Ragisa stanął w prawidłowej pozycji szeregowca i milczał.

— A cóż tam, kolego Juchno? — zagadnął były kapral, wąsa muskając.

— Z raportem od młyna przychodzę. Dziś w nocy woda porwała koło.

— A gdzie ty byłeś, żeś nie dopilnował? Spałeś?

— A spałem. Panicz mi wyznaczył trzy godziny wypoczynku od północy. Jak się obudziłem, nie było koła. Poszedłem go szukać i znalazłem pod Gryniskami. Chłopi złowili. Chcą wykupu!

— To dopiero facecja! Takie koło! Paręset rubli warte! A mówiłem ci, Juchno: w młynie, jak na forpoczcie; Dubissa zawsze nad złem przemyśliwa. Zdradny to nieprzyjaciel! No, i zrobiła psotę!

— Aha! To klekotanie i hałas tak odurzy, że śpisz, jak zabity. Chłopi chcą teraz trzydzieści rubli! Już jabym swymi zapłacił, ale odesłałem wnukowi do szkół, więc przyszedłem do panicza po ratunek...

— Ma się rozumieć! Do panicza po ratunek! Już on do tego tylko na świat się urodził. Ho, ho! To się wiel! Każdy rad puchlinę z głowy jemu oddać. Jeszcze łają potem na podziękę.

Wracajże, stary, bo ci Dubissa i resztę zabierze. Panicza przyśle jutro rano.

Tu Ragis, jak arcykapłan wielce możnego boga, skinął laskawie, dumny ze swego stanowiska — i rozsiadł się wygodniej.

Cudowna Panienko! — rzekł z westchnieniem, gdy się furtka za Juchną zamknęła — dzięki ci raz jeszcze, że tylko to drewno mam swoje na świecie! — Pokiwał głową i przerwał monolog nuceniem:

*Kto pieniędzy nie ma, ten żyje szczęśliwy—
I noc ma spokojną, i dzień nietęskliwy!*

— Marczysko moje niby coś ma i cóż mu z tego? Spiesz, spiesz od tego jeziora, jak na gody do chaty! Aha, ma się rozumieć — będą mu gody! Witold, Wojnat, Juchno z kołem! Antyfona! Jeszcze nim przyjdzie, kilkoro tego przybędzie. Ot tobie pociecha obywatelska! Och, moje ty drewnuszko pocziwie — z tobą nie ma kłopotu!

Uśmiechnięty starzec poklepał piśszczotliwie swą drewnianą nogę i wnet ucha nadstawił.

— Oho, wraca panna Aneta z muchami swoimi! Moje uszanowanie! Dostanę buziaka, nie prosząc! To ci dopiero ama torstwo!

Turkot się zbliżał, Ragis wstał żywo i umknął do chaty. Przez okienko wytknął głowę i parlamentował:

— A co? Udało się pannie Anecie?

— A jakże, dobrodzieju, a jakże! Jak Grenis podkurzył, wyleciały nieboraczki. Podałam im gałązkę jarzębiny i wnet opadły. Królowa siadła mi na rękę,—ot mam ją tu, w klateczce!

— Dziękuję, dziękuję, nieciekawym! Zabieraćcie to z podwórza! Hu, co ich lata! Aż mi ciarki chodzą po skórze!

— I nie wstyd to staremu żołnierzowi kryć się przed ukłuciem żądła? — zabrzmiał z nienacka obcy głos z przeciwnej strony, od łąk.

— A nie wstyd to wam, dziewczęta, trawę mi deptać? Ej! Ograbię, ograbię, — odparł niezmiessany, oglądając się z uśmiechem.

W głębi podwórza, za płotem ogródka warzywnego, stały dwie nierozłączone przyjaciółki i koleżanki: Julka Nerpalisówna i Hanka Czertwanówna.

Przyjaźń to była dawna, od dziecka, i braterstwo ducha, pragnącego czynić i myśleć samodzielnie. Julka, ze swą trzeźwą, żywą naturą, objęła od dawna pierwszeństwo i ster tej spółki. Rok ciężkiej pracy i koleżeństwa zacieśnił węzły. Zrównały się pracą, wytrwaniem, zespoliły się prawie w jedność, uzupełniała jedna drugą.

Pozornie nie podobne były do siebie, chyba z ubioru. Jedna śniada, żywa, rozmowna, zawsze wesola, o biegających oczach i mieniającej się co chwila twarzy, przedstawiała czyn i praktykę; druga, blada, milcząca, z wieczną zadumą na czole i chmurą w wielkich, tęsknych oczach, była obrazem myśli cichej, głębokiej a wielkiej.

Na wspomnienie zdeptanej łąki, przestrasz i zawstydzona mignęło w źrenicach Hanki. Nie znalazła się na żartach, słowo każde było dla niej świętą prawdą, co do litery. Julka potrząsnęła wyzywająco swą kędzierzawą głową i odparła swobodnie:

— Niech pan ograbi pasterzy tej trzody, którą właśnie wypłoszyliśmy z łąki. Nam się należy za ten czyn honorowa wzmianka!

Panna Aneta z własnego doświadczenia pojęła panikę Hanki, co rychlej więc nadeszła z pomocą, powiesiwszy uwieczony róg na wiśni.

— Nie słuchajcie, moje dzieciętki. Jegomość żartuje! Chodźcież do nas! A jakież to ziółko u ciebie w ręku, Hanczko? Może na co sposobne?

— Cynoglossum, ciociu. Ma szerokie zastosowanie! — odparło dziewczę, całując serdecznie twardą dłoń starowiny.

— Może od reumatyzmu... — zagadnął Ragis, podchodząc.

— Ej, nie. Na reumatyzm mikstury nic nie poradzą. Potrzebny klimat, sądzę — rzekła nieśmiało i bardzo cicho.

— Nie stawiaj diagnozy, Hanko! Poczekaj cztery lata —

zaśmiała się Julka i, zwracając się do gospodarzy, dodała:

— Pana Marka nie ma w domu?

— Co? I pani go potrzebuje? — zawołał Ragis.

— Naturalnie, i to bardzo pilno. Stryj potrzebuje go do pomocy w sprawie jakiegoś kościelnego gruntu za rzeką, który mu dzierżawca-Żyd chce odebrać. Prosi go bardzo do siebie na plebanię.

— Gdzie go nie proszą?... Ale go nie ma. W Wilajkach na połowie siedzi już tydzień — może dziś wróci.

Hanka zawahała się nieco i wreszcie odezwała się z cicha:

— I jabył rada go zobaczyć. Tam w domu...

— Wiem, wiem — przerwał Ragis — miałem dziś honor rozmawiać z waszym milutkim dziedzicem. No, ziółko!..

— Młodość, dobrodzieju, nierozwaga! — mitygowała, jak zwykle staruszka.

Panienci weszły tymczasem na podwórze i usiadły na ławce pod oknem. Julka już rzuciła trzymaną książkę, Hanka pęk ziół i kwiatów, zdjęły kapelusze i zabierały znajomość z menażerią Ragisa.

Panna Aneta wchodziła, to wychodziła z domu, mocno widocznie zafrasowana.

— Moje dzieci, czymże ja was ugosczę? — wymówiła wreszcie swą wielką troskę, załamując ręce desperacko.

Nim miały czas zaprotestować, skrzypnęła furtka i piękna żona Grała weszła na podwórze. Biała chustka z lekka okrywała jej złoty włos, słońce opaliło nieco twarz, a strój zaściankowy, barwny i dostatni, podniósł jeszcze urodę.

W jednej ręce trzymała spory kosz, liśćmi pokryty, drugą dłonią przysłoniła oczy i powitała całe towarzystwo wesolym uśmiechem:

— Dobre południe! Przyniosłam pannie Anecie poziomek z dąbrowy!

Błogość niebiańska rozmarszczyła stroskane oblicze, wnet jednak skrupuła ją zamąciła.

— Dziękuję wam, Martusiu, dziękuję! Ale nie godzi się odbierać jagód! Zbierać ciężko! Może staraliście się dla męża?

— Jeszczeby co? Czy on się tam zna na czymś dobrym? — odąwszy usta, odparła piękna kobieta.

Ragis zmrużył oczki filuternie i wąsiki nastroszył:

— Doprawdy? Na dobrym się nie zna? Ma się rozumieć! Cebula! Żle, pani Łukaszowo, kiedy tak człowiek bez gustu, to zupełnie fe!

Kobieta zaśmiała się, aż błysnęły wszystkie zęby w korallowej oprawie. Koszyk postawiła na ławce i dodała:

— Czyja dąbrowa, tego jagody. Zbierałam z uciechą, bo przy święcie w chacie tak nudno, że i pies nie usiedzi.

— Wojnat podobno umiera? — przerwał Ragis.

Twarz Marty zmieniła się w mgnieniu oka. Z uśmiechniętej stała się twardą i ponurą. Niedbale machnęła ręką.

— A niech umiera! — syknęła przez zęby.

— Marka dziś wołał — mruknął kaleka.

— Już wołał? Spróbował panowania w pustce! No, zobaczy, czy tak łatwo sprowadzić, jak wypędzić? Marek pewnie nie poszedł?

— Nie poszedł, bo go nie ma. Ale żeby był, toby nie odmówił choremu. I wam, pani Łukaszowo, przystoi tam zajrzeć...

— Żeby konał, to nie pójdę! Jak psa wypędził i Marka, i mnie! Niech go teraz pies dogląda!

Zaiskrzyły jej się oczy, poczerwieniały policzki. Z ładnej kobiety stała się megera. Ragis popatrzał, głową pokręcił i już milczał.

— Mnie się zdaje, że i Marek nie pójdzie — mówiła dalej — ot, żeby zawołał Łukasza, to co innego! Tenu się zawsze zdaje, że on za grzechy całego świata powinien cierpieć i lamentować! Ja, nie taka!

Szczęściem, że panna Aneta nie słyszała tej złości, boby nie odważyła się przyjąć jagód od takiej impetyczki. Ale starowina, uspokoiwszy skrupuły, zabrała koszyk, i znikła z nim w głębi domu. Ukazała się zaledwie po wybuchu gniewu, z pustym sprzętem, i serdecznym podziękowaniem przerwała niemłą scenę.

— Nie ma za co — uśmiechnęła się po dawnemu Marta — ale ja stoję, a nie mówię najważniejszej rzeczy Tam, na Dewajcie, spotkałam państwa z Poświęcia. Łódką przyjechali. Sama pani bardzo ładna i modnie ubrana, a pan, musi być mąż, to taki brzydki, że aż strach!

— Cóż oni tam porabiali? — spytali Ragis i Julka; bo Hanka od dawna zatopiona była w obserwacji białych chmur na szafirze, a panna Aneta podreptała do domu.

— Śpiewali, rozmawiali nie po naszymu, zaglądali do lochów, do studni, obchodzili trzy razy Dewajtisa, aż nareszcie zobaczyli mnie i podeszli. O coś się pytali, o dąb chyba, bo ręką pokazywali. Pani umie trochę po polsku, ale nie zrozumiałam. Potem zajrzała do jakiejś książki i pyta: gdzie pan Marek Czertwan? Pokazałam im ścieżkę, ukłonili się i poszli dalej. Niezawodnie przyjdą tutaj...

— Śliczna nowina! — zawołała Julka — będą ich wyglądała aż do północy! Bardzom ciekawa tej Amerykanki. Nie widział jej nikt jeszcze?

— Nie. Pytałem Marka, czy ładna, ale naturalnie nic się nie dowiedziałem, wtrącił Ragis.

— Podobno bardzo pracowita i praktyczna. Witold u nich był wczoraj — odezwała się Hanka — mówił, że bez zachwyty patrzeć na nią niepodobna.

— Ho, ho, ho! Może być źle z Witoldem! dostanie harbuza!

— Skąd pewnik tak smutny? — zauważyła żartobliwie Julka.

— Ma się rozumieć! Przecież żadna pracowita i praktyczna za niego nie pójdzie! A bo ja nie wiem? Zresztą ten brzydki, to jej narzeczony.

— Matko cudowna! — wykrzyknęła Marta — a gdzieżż ona oczy miała?

— Oh, oh, oh! Nie przymawiając, i wasze oczy musiały się zaćmić, pani Łukaszowo! — uśmiechnął się szyderczo Ragis.

Kobieta okryła się szkarłatnym rumieńcem.

— Niewola nie raj! — odparła zmieszana.

— Ochota gorsza od niewoli! — szydził stary bezlitośnie.

Zwróciła się do furtki, nasuwając chustkę na oczy.

— Do widzenia państwu! — rzuciła przez ramię i wyszła.

— Sliczna kobieta! — zauważyła z cicha Julka — podobno gust pana Marka?

— A gust! — skrzywił się stary. — Uchowaj Chryste takiego gustu!

Panna Aneta ukazała się w progu z tacą pełną spodków, salaterką poziomek i dzbankiem mleka; za nią Grenis wyniósł przed ławkę stół, świeżo heblowany.

— Macie, moje dzieci, pożywajcie ten specjał! — uśmiechnęła się łagodnie — a ja tymczasem pszczołki osadzę w ulu, żeby niedługo się męczyły w woreczku!

— Ja pomogę cioci! — ofiarowała się Hanka.

— Dziękuję, moja złota! Grenis pomoże. Ty jedz jagódki i odpoczywaj po tych okropnych lekcjach.

To mówiąc, starowina zarzuciła na plecy jakąś płachtę, na głowę włożyła sitko opięte płótnem, i w towarzystwie parobka powędrowała w głąb ogrodu.

Panienci śmiały się z tego dziwnego stroju, zajadając czerwone jagody.

Żuraw niekiedy, korzystając z roztargnienia, wyciągał szyję i zanurzał też w salaterkę długi swój dziób, reszta menażerii przyglądała się z daleka.

— A gdzie to Żywusia? — zagadnęła nagle Hanka, białą ręką gładząc pióra oswojonego ptaka.

— Żywusia! — gwizdnął Ragis, szukając czegoś po dachu i gałęziach.

Ze strzechy prosto na stół zeskoczyło czerwone, swawolne zwierzątko. Usiadło na tylnych łapkach, przednie złożyło na krzyż, i mrugając wąsikami, spoglądało po obecnych parą okrągłych jak paciorki oczu. Puszysty ogon, niby baldachim, chwiał mu się nad głową.

— Chcesz orzecha? — spytała Hanka z uśmiechem.

Na widok specjału, wiewiórka wykonała mistrzowski skok, porwała orzech, i uciekła z nim na płot. Lis zaglądał ciekawie,

żuraw zaś pomaszerował ku niej może w złych zamiarach, ale nie dbała o nie wcale, gryząc zawzięcie łupinę.

— Jeszcze jednego brak z moich dawnych znajomych — ozwała się Hanka. — Może zginął poczciwy jeż, co nie kole?

— Igiełko! — zawołał Ragis rozpromieniony — a gdzieżby się hultaj podział? Jest birbant, nie dobrego! Dni całe śpi, a w nocy harcuje. Z natury nieprzystojny! Ho, ho, uczę go bezustanku, ale uparte to, w zdrożnościach zakamieniałe! Skończy źle, jak każdy nicpoń!

— Przyrodę trudno zmienić! — zauważyła serio Julka. Znała już od Hanki dziwactwa starego wiarusa i słuchała z zajęciem.

A Ragis się zapalił, rozruszał. Ulubiony to był jego temat.

— Ma pani świętą rację. Zwierzęta, jak ludzie, tylko tym lepsze, że gadać nie mogą i pieniędzy nie znają! A zresztą to samo! Bywa dobry i zły, łagodny i gniewliwy, skrzętny i próżniak, uczciwy i złodziej, ładny i brzydki. Tylko się przypatrzeć! Proboszcz mię wyłajał, gdym mu rzekł, że w zwierzu każdym człowiek jakiś pokutuje. Grzech grzechem, ale ksiądz nie dał mi wyłożyć rzeczy; pewnieby sam uwierzył! Trzydzieści lat bestyjki różne hoduję i przypatrzyłem się dobrze każdej. Wszelako nie ma lepszego, jak pies, a gorszego nad liszkę. Oh, co ten mój Robak batogów zjadł, nim się trochę zreformował! Prawda, Robak?

Lis pokręcił ogonem i z miną niewiniątka zezem obserwował czubate kokosze panny Anety. Całe życie walczyło w nim zagadnienie: dyscyplina, czy kurnik?

— Proszę mi jeża pokazać! — poprosiła Julka.

— A mnie króliki! — dodała Hanka.

— Zaraz, zaraz! Pierwej Igiełka zbudzę, a potem całą tę hołotę zwołam. Chowają się po kątach błazny!

Gwarząc coś dalej, pokulał do domu i pó chwili wrócił, niosąc w rękach małe, kołczaste zwierzątko. Birbant Igiełko, ze smacznego snu zbudzony, zwinął się w kłębuszek i sapał z niezadowolenia. Znał jednak subordynację, bo kolce złożył i nie wydzierał się na swobodę.

Ragis umieścił go na stole przed Julką i gwizdnął. Jeż na to hasło wyścibił ryjek, wyciągnął się, i stukając w takt nóżkami, podpełzał do właściciela.

— Chcesz cukru, hultaju ty jeden? — zagadnął Ragis.

Ryjek podniósł się w górę, węsząc łakomie.

— Aha, chcesz? A brewerii po nocach zaprzestać to nie chcesz? Spokój zakłócasz w całym domu! Ma się rozumieć, jesteś potajemny łotrzyk, niby to układny, a lichem podszyty! Ho, ho! słuchaj-no, słuchaj!

Podczas tej przemowy, z kieszeni kapoty ukazał się kawał cukru. Moralizując, kaleka trzymał go nad głową winowajcy.

Jeżobojętnie znosił wyrzuty, węszył, podnosił ryjek, wreszcie wspiął się nieco i, korzystając z krasomówczego zapалу, porwał przysmak, przykucnął i począł zajaść w najlepszym.

— Zawsze z nim tak — skarżył się Rymko — ani dbał Groch o ścianę! Żeby nie jego pilność nad wytępianiem myszy i żab, powiesiłbym ladaco! Talent jest, ale charakter zły!

Widać było jednak z miny starego, że ladaco ten był jego faworytem. Poglaskał go parę razy i patrzył z lubością.

— No, teraz werbel i popis! — zawołał, wstając znowu.

Wszedł do chaty i wnet wrócił, trzymając flet stary w zielonym futerał. Przyłożył go do ust i zagrał piskliwie starodawną piosenkę:

Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły...

Niktby nie uwierzył, co za skutek piorunujący wyrwie ta sentymentalna melodia! Na pierwszy dźwięk, kilkoro dzieci, gapiących się z ulicy, pierzchnęło, jak stadko wróbli po strzale. Grenis, zajęty osadzaniem roju, zadygotał jak w febrze, ludzie wracający z pola, lub siedzący na progu sąsiednich domostw, obejrzeni się trwożnie i skryli co rychlej, zamykając szczelnie drzwi, a natomiast w Marka zagrodzie zapanował ruch nadzwyczajny. Gromadka długouchych królików wyskoczyła na podwórze do nóg starego, przymaszęrował żuraw pośpiesznie, przerwał kokięwanie kur rudy Robak, rzuciła orzech czerwona Żywusia, Igiełko nawet raczył przerwać chrupanie cukru...

Wszystko skupiło się dokoła wielkiego czarodzieja i z na-

teżeniem spoglądało mu w oczy. W dodatku szpak wołał wielkim głosem, a kos, jak umiał, naśladował, gwizdząc, pieśń o Filonie.

W tymże czasie Irenka Orwidówna i Clarke Marwitz wkraczali pieszo do zaścianka. U pierwszej zagrody przystanęli i panienska spytała kilkorga dziewcząt, śpiewających w ogródku, gdzie mieszka pan Marek Czertwan.

Zapytanie ułożone było w ozdobnym stylu polsko-niemieckich szablonowych rozmówek; zapewne dlatego nie zrozumiały go zaściankowe piękności. Spojrzały po sobie, po obcych miejskich panach i pierzchnęły, jak stado saren, w gęstwinę wiśniowych pędów.

Amerykanie poszli dalej, mocno zgorszani i zawstyżeni tym przyjęciem.

Po kilku jeszcze niefortunnych próbach, trafili na wyrostka, jadącego oklep na malutkim koniku z sążnistym batem w ręce.

Ten spod szerokich kresów kapelusza spojrzął na biały pieniądz w dłoni Marwitza, na jasną sukienkę pięknej pani i po chwili namysłu ruszył na przód, wzywając ich skinieniem. Przed Markową zagrodą przystanął chwilę i wskazał batem posiadłość.

Marwitz podał mu błyszczącą monetę.

Chłopak głową potrząsnął.

— *Dełuj, pan! Ne noriu!* (Dziękuję panu, nie chce) — odparł i ruszył dalej.

Amerykanin, zdziwiony, kręcił w ręce pieniądz, idąc za Irenką do bramy.

— Widzisz, Clarke, on mieszka, jak chłop! Nie znalazłabym tej fermy wśród tych innych. Widzisz...

Chciała coś mówić jeszcze, ale urwała i stanęła jak wryta na miejscu.

Ujrzała przed sobą bieloną czysto chatę, oplecioną dzikiem winem, a przed nią szczególny widok: Gromadka dzikich zwierząt łąsiła się do siwego człowieka, obsiadła mu kolana, tuliła się do nóg, igrała swobodnie, a obok pochylone dwie młode kobiety przyglądały się temu, śmiejąc się wesoło.

Irence stały w myśli stare podania o pustelnikach dawnych wieków; zdawało się, że śni obrazek z owych legend świętych; zapomniała, gdzie się znajduje. Stary grał na flecie, ptaszek w klatce powtarzał toż samo, a na podwórzu plątały się w barwnym nieładzie śnieżne gołębie, srokate króliki, lis, żuraw i psów kilka. Bez sporu i niechęci znosili się nawzajem.

— Widziałeś kiedy co podobnego, Clarke?—szepnęła wreszcie panna Ordwinówna.

Amerikanin stał nieruchomy, z wytrzeszczonymi oczyma, ale nie na zwierzęta patrzył, lecz na ludzi.

— *Beautiful!*—wybąknął równie cicho.

Mogli długo stać niepostrzeżeni, bo rewia podkomendnych Ragisa zajmowała zupełnie obie panienki, a panny Anety od pszczoł i gromby nie odwołał; ale poczuły obcych psy Rymki i, pomimo koncertu fletowego, zaczęły się niespokojnie oglądać. Stary mimowoli zwrócił oczy ku bramie, instrument osunął mu się z rąk; czar prysnął.

Pierwsze zerwały się gołębie i, jak biały obłoczek, wleciały nad zagrodę; króliki, ogryzające z apetytem cynoglossum z rąk Hanki, wpadły do sieni; wiewiórka zeskoczyła z ramienia Ragisa i pobięła szukać orzecha pod płotem; psy rzuciły się obejrzeć przybyszów, a za nimi majestatycznie udał się żuraw, stąpając z powagą szwajcara na dworskich przyjęciach.

Irenka podeszła bliżej, rzuciła wokoło okiem, jakby szukając kogoś, i powtórzyła swoje stereotypowe pytanie:

— Czy tu mieszka pan Marek Czertwan?

« Ciekawam, co będzie dalej, jeżeli go nie ma? — pomyślała — mój zapas polszczyzny wyczerpie się po kilku minutach! ».

— A słowo stało się ciałem! — zamruczał Ragis, zupełnie oszołomiony — to pewnie Orwidówna, a Marka nie ma!

Hanka zebrała się na odwagę publicznego występu, naturalnie na mocy mrugnięcia Julki.

— Tutaj, pani!—odparła, wstając i podchodząc kilka kroków.

Coby dała za to, żeby on tu był i uwolnił ją od tej rozmowy i badawczego wzroku obcych ludzi.

— Czy jest w domu? — wydobywała resztki swego talentu i pamięci Irenka.

— Nie, pani!

Był to ciężki cios. Panienska namyślała się chwilę, ale więcej potrzebnych w tym wypadku frazesów nie mogła sobie przypomnieć. Spojrzała tedy na modną sukienkę Hanki, na jej delikatną twarz i białe ręce i zaryzykowała śmiałą próbę.

— Czy pani rozumie po francusku? — spytała w tym języku.

Mimowoli dziewczynka się uśmiechnęła.

— Rozumiem, pani — rzekła najczystszy paryskim akcentem.

Twarz dziedziczki Poświcia zajaśniała radością.

— Ach, chwała Bogu! — odetchnęła z głębi piersi — no, przecie mogę się porozumieć! Ale zacznym od przedstawienia się. Irena Orwid, do usług pani; przyszedłam z Poświcia z tyśiącem interesów do pana Marka Czertwana. Czy rzeczywiście nie ma go w domu?

— Nie ma, pani. Od tygodnia nieobecny, ale wróci dzisiaj niezawodnie.

— Wróci?... Wie pani co, że mam wielką ochotę poczekać tu na niego. Cały dzień pieszo zwiedzamy okolicę i mam dosyć peregrynacji.

Hanka się zapłoniła.

— Proszę pani spocząć! — wyjąkała, czując, że coraz bardziej traci rezon i błagalnie patrząc na Julke.

Zrozumiano ją. Wezwana do pomocy, szepnęła coś Ragi-sowi, a potem przysłała w sukurs energicznie:

— I my musimy zacząć od prezentacji — ozwała się wesoło. To jest siostra pana Marka, Anna, a ja niedaleka sąsiadka. Jak pani, mamy do gospodarza tyśiąc interesów, z tą różnicą, że czekamy już kilka godzin.

— Więc to pani studiuje w Paryżu? Pani otworzyła mi drogę do kraju? No, wie pani, że podobnego spotkania nie oddałabym za miliony! Dziękuję po tyśiąc razy... Proszę mnie mieć za swego dłużnika...

Bardzo nieśmiało położyła Hanka swoją rękę na wyciągniętej dłoni i odpowiedziała na uścisk spojrzeniem prawie żałośnym.

— Ja nic nie zrobiłam, pani — odparła z cicha.

Nagle mileżący dotąd Marwitz wydobyl rękę z kieszeni płaszcza, uchylił czapki i zmanifestował swą obecność słowem:

— Proszę, Iry, a mnie przedstawić nie raczysz?

— Ach i owszem! Oto jest pan Marwitz, kawaler na wasze usługi, z tym szczegółem charakteru, że odkąd żyje, nigdy jeszcze galanterią nie zgrzeszył! Polecam go łaskawym względom!

Panienci powitały milczącym ukłonem sztywnego Amerykanina. Julka gryzła usta za pokusę śmiechu, Hanka płoniła się co chwila.

Miała rację. Od chwili wejścia swego na podwórze, Clarke Marwitz nie spuścił oczu z jej twarzy. Wzrok ten uparty męczył ją jak tortury.

Irenka z wielką swobodą usiadła na ławce, zdjęła rękawiczki i kapelusze i zaczęła wesoło rozmowę z Julką.

— Wyznam pani, że to mi rozkosz sprawia, iż mogę porozumieć się z kim innym niż z Clarkiem. Myślałam, że będę skazana na wieczyste milczenie w Poświęciu. Z rozpaczki jeździłam konno, z rozpaczki codzień byłam na mszy, z rozpaczki dziś łódką popłynęłam do tego lasu. Tym razem ciekawość moja została wynagrodzona. Widziałam cudo natury: dąb chyba tysiącletni!

— Ach, Dewajtis! — zaśmiała się Julka — widziała pani zatem ideał pana Marka...

— Jaki ideał?

— No tak... To drzewo pan Marek kocha nad wszystko.

— Dlaczego? Może to jaka pamiątka rodzinna?

— Może... Ja nie wiem... Pan Marek nie zwykł mówić dlaczego, ale dąb ten szanuje i często go tam znaleźć można zamyślonego...

Tu mowę przerwał Marwitz. Hanka od pewnego czasu znikła w chacie, wezwana na migi przez Ragisa, więc Amery-

kanin, straciwszy cel swych spojrzeń, zwrócił je w inną stronę. Zajrzał do ogrodu i nagle dotknął ramienia Irenki.

— Iry, co to takiego? — zagadnął cicho po angielsku, coś nieznacznie wskazując.

Owo « coś », była to panna Aneta i Grenis, oboje w sitkach na głowie, otoczeni obłóczkiem dymu i wykonywujący dziwne ruchy około uła.

Panienka spojrziała zaciekawiona i zwróciła się do Julki:

— Co to takiego? — powtórzyła pytanie.

— To — odparła ubawiona dziewczyna — to jest ciotka pana Marka, zajęta lokowaniem roju pszczół.

— Osobliwe! — zauważył Marwitz — pójdę bliżej obejrzeć.

— Ta ciekawość może się dla pana smutnie zakończyć...

— Oh, no! Będę tylko obserwował.

Uchylił furtkę i ulotnił się.

Tymczasem w izbie Ragis z Hanką żywą toczyli rozmowę.

— Czego ona chce?

— Ma interes do Marka!

— Co, i ona? Jeszcze jedna! Tego tylko nam brakło! Cóż my z nią zrobimy?

— Trzeba ugościć! Poproszę ciotki!

— Pewnie! Aha, zaraz! Żeby nie Orwidówna, ale nawet twój nieboszczyk ojciec przyszedł, to ona od tych przeklętych pszczół nie odejdzie. Wygląda na dobrą i ładną, aż miło popatrzeć. Czego ona się tak śmieje? — przerwał, zaglądając.

Powodem śmiechu był Igielko. Skończywszy popis, wgramolił się do kapelusza Hanki i zasnął. Potem cukier widocznie sprawił mu pragnienie, więc z wielkim trudem wydostał się z tego nowego gniazda, znalazł mleko w spodku i łączywie pił.

Irenkę ubawiła ta scena, przechyliła mu naczynie i gładziła, dziwiąc się po swojemu. Ragis na ten widok obraził się na « nieprzyzwoitego żarłoka », podszedł więc, chcąc go zabrać.

Panna Orwidówna zatrzymała go proszącym wzrokiem. Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się jednocześnie. Był to niemy początek wielkiej przyjaźni.

— Niech pani poprosi tego pana, żeby zostawił półciwce zwierzątka!... — rzekła do Julki.

Ragis, usłyszawszy żądanie, kiwnął głową na zgodę, a widząc, że ceregiele niedaleko zapfowadzą, własnoręcznie nałożył na talerz poziomek, zalał mlekiem i podał jej, prosząc gestem o spożycie.

— Dziękuję panu! Bardzom rada, bo się zgrzałam i zmęczyłam! — rzekła.

Julka przełożyła to na polski, a stary węża pokręcił i aż pokraśniał z zadowolenia.

— A co? — szepnął Hance — mozem źle się sprawił? Ja bo całe życie umiałem kobietom dogodzić! Ot, obeszło się bez panny Anety. A gdzież ten brzydki się podział?

Odpowiedź otrzymał natychmiast. W ogrodzie rozległ się tętent—sprawiał go poważny Marwitz. Biegł, zapewne raz pierwszy w życiu, pędem, i jak szalony machał rękoma. Były to owe smutne skutki pszczelnicznych obserwacji.

— Iry! — krzyczał — jedna mnie ugryzła w oko, druga w nos, trzecia w policzek! O je! Znowu coś brzęczy!

Zabiegł aż do stajni; gdy wrócił, poszkodowane członki już nabrzmiwały. Wyglądał strasznie.

Panienci wybuchnęły bezlitośnym śmiechem; psy, uważając te amonitwy, jako zachętę, zaczęły biegać, skakać, oszczekiwać Amerykanina; Ragis znów piorunował.

— Otóż i ugościła panna Aneta! Zrobiło się z człowieka weneckie straszdyło! Leżeć, psy, hultaje! Ot tobie i miodek! Wstyd i despekt dla domu! Panno Aneto! panno Aneto! Leżeć, hultaje!

Porwał za kij i powiększył gromadę biegających. Uciecha panienek rosła. Śmiały się do łez.

Jedna Hanka utrzymała powagę. Żal jej się zrobiło poszkodowanego; na ból każdy, choćby z pozorem komizmu, miała żywe politowanie. Skoczyła do ogródka, przyniosła pęk liści i bez wahania teraz zastąpiła drogę opędzającemu się Marwitzowi.

— Panie, proszę zachować się spokojnie, bo ruch drażni

owady. Niech pan usiądzie i na miejsce bolące przyłoży to ziółko; za chwilę przejdzie cierpienie!...

Na dźwięk tego głosu Amerykanin stanął, spojrział na nią jedynym okiem — drugie było jedną górą puchlizny — i uskutečnił żądanie.

— Żądła jeszcze tkwią!... — zawołała Hanka, przyglądając się uważnie.

— Niech pani mnie ratuje! — jęknął — ja nic nie widzę, nic nie słyszę, jestem kaleka! O je! jak boli!

Z całą powagą przyszłego lekarza, dobytek delikatnie żadła, podała mu liście. Irenka z Julką śmiały się ciągle, Ragis z wielką złością nałożył sitko i poszedł klócić się z panną Anetą.

Marwitz siedział sztywnie, jak chińskie bożyszcze, po chwili zaledwie odsapnął, wstał, ujął rękę Hanki i z całą ostentacją poniosł do ust.

— Pani! — rzekł — nade wszystko miłuję spokój i w całym życiu nigdy go nie naruszyłem! Myślałem — tu westchnął — że w tych zasadach umrę. Niestety! rachując, zapomniałem o pszczołach. Jestem człowiek chwiejny...

Wygłosivszy to patetycznie, siadł napowrót i, zwracając się do Irenki, dodał:

— Iry, ty się śmiałaś? Ty zawsze ze mnie się śmiejesz! Daruję ci, ale o jedno proszę: nie opowiadaj w Drakecity, żeś widziała Clarka Marwitza biegającego. Tego nie przeżyję!

— Będziesz żył z tym, mój drogi! — odparła ze śmiechem. — Podziękuj-że równie szumnym słowem panie Czertwanównie za ratunek, bo żeby nie ona, biegalbyś jeszcze długo!...

— Ja panie Czertwanównie odwdzięczę się czymś lepszym, niż słowem!—odparł zupełnie serio.

Szydercze oczy Irenki popatrzyły nań długą minutę. Zamięgotyły w nich iskry żartu; może zrozumiała, co chciał powiedzieć, bo zagryzła usta i zmusiła je do milczenia i powagi. Julka z równą trudnością hamowała wesołość.

W ogródku Ragis burczał, wzdychała żałościem panna Aneta, przejęta całą grozą wypadku z takim gościem. Wracali razem

do towarzystwa. Na widok tak świetnego zgromadzenia starowina straciła głowę. Z daleka obchodziła stół, dygając co krok i po staroświecku dwoma palcami unosząc spódniczkę. Myślała ze strachem, czym to grono nakarmi?

Goście skłonili się jej w milczeniu, Julka wyłożyła pannie Orwidównie, kto to był; Ragis na pociechę ofiarował Marwitzowi poziomek; spokój powracał powoli.

Wokoło za to robiło się coraz gwarniej: wieczór nadchodził, trzody ściagały z pastwisk, ludzie ze świątecznych wędrówek. Ulica wypełniała się bydłem, koźmi, owcami, zabrzmiała gwarem ludzi i zwierząt.

I brama Markowa otworzyła się szeroko. Dobytek, rycząc, przeciągał do stajni. Niewiele tego było, ale gładkie, lśniące, wesole i — jak menażeria Ragisa — oswojone do rąk i głosu człowieka.

Amerykanie przyglądali się ciekawie tym mizernym do statkom człowieka, który tam, w Poświciu, obracał setkami tysięcy, a zostać nie chciał za żadną cenę, i wrócił do tej zagrody na pół chłopskiej, do twardej pracy i niewygód. Spodziewali się zobaczyć wcale inną fortunę.

Potem Grenis zamknął bramę, zakrzętnął się z Ragisem na podwórzcu, służąca z panną Anetą poszły ze skopkami do obory, goście, zostawieni sobie, rozmawiali, coraz częściej spoglądając na słońce.

— Może pan Czertwan dziś nie wróci? — zauważyła Irenka.

— Musi wrócić — szepnęła Hanka. — Już zawczoraj posyłano po niego! Tyle interesów czeka!

— Doprawdy? A ja go chcę zabrać z sobą do Poświcia.

— Nie wiem, czy to się pani uda! Potrzebuję go dla rodzinnych spraw, bardzo naglących.

— Mój stryj wygląda go też niecierpliwie!

— Kazimierz pisał, wzywając gwałtownie do Kowna.

— Woda mu młyny porwała!

— Istotnie, roboty, jak na jednego, dosyć! — pokręciła głową Irenka.

Wtem psy podniosły głowę, nadstawiły uszu, zaczęły węszyć i ruszać się.

— Marek idzie! — oznajmił Rymko radośnie.

— Marek idzie! — powtórzyła panna Aneta — ah, czym ja ich nakarmię?

Wszyscy zaczęli wyglądać w ulicę i słuchać; psy wybiegły na spotkanie.

Istotnie, drogą szedł Czertwan z Galem i kilku młodzieńcami z zaścianka, co mu pomagali przy połowie ryb. Okurzeni, brudni, odziani byle jak, w skorzaniach, zamiast butów, wyglądali bardzo zdrożeni. Pomimo to, na widok rodzinnych chat, fantazja wróciła w młode dusze i ktoś najweselszy zaśpiewał z całych płuc:

Wróbel warzy gościom alus,

Dam dam, dali dam,

Prosi ptaki na swój lamus,

Dam dam, dali dam — na swój lamus.

Poszedł wróbel z sową w taniec,

Dam dam, dali dam,

Oddeptał jej mały palec,

Dam dam, dali dam — mały palec.

Sowa na sąd, wróbel na płot,

Dam dam, dali dam,

Sowę zjadł lis, a wróbla kot.

Dam dam, dali dam — a wróbla kot.

Ogólna wesołość zakończyła piosenkę. Jeden Marek się nie śmiał, jak i nie śpiewał. Zmęczony był, głodny, po trzech bezsennych nocach bolała go głowa, ręce i nogi po długiej pieszey wędrówce. Patrzył na swą zagrodę i rozmyślał, jak go ciotka nakarmi, napoi, jak potem legnie na posłanie i wy-pocznie choć godzin kilka przed kłopotliwym jutrem. Na-zajutrz czekała go familijna scena w Skomontach, ale się jej nie lękał — niosł w zanadrzu gruby pugilares z zarobionymi na jeziorze pieniędzmi!

Dochodząc do zaścianka, towarzysze pożegnali go i wyprzedzili. Przy wtórze radosnego skomlenia psów, wszedł na

podwórze, spojrzal i stanal zdziwiony. W marzeniach jego nie bylo nikogo z tych, co tam siedzieli pod jego chatą i powitali wesoło jednozgodnym okrzykiem:

— No, przecie! Dobry wieczór!

Chwilę nic nie odrzekł. Spod brwi zmęczone jego oczy błysnęły jakimś rzadkim wyrazem radości; w milczeniu uchylił kapelusza.

— Dobry wieczór! — odparł nareszcie, podchodząc.

Z głębi huczał bas Ragisa i piszczał dyszkancik panny Anety. Biegli oboje z powitaniem ulubieńca i powtarzali radośnie:

— No przecie, no przecie!

On wyglądał jakiś ogłuszony i roztargiony. Hankę powitał ukłonem, Julkę chciał uściskać, Marwitza omal nie pocałował w rękę, o Irencie jakby zapomniał, a na starych wcale nie zważał.

— Już od południa czekamy na pana — zaczęła szturm Julka — stryj koniecznie potrzebuje pana, choćby zaraz, najdalej jutro!

— Mój drogi — ozwała się Hanka — na miłość boską chodź do Skomontów dziś jeszcze. Burza się tam gotuje na ciebie.

— A wiesz, że jurgiski młyn podruzgotala Dubissa? — wołał zdaleka Ragis — koło poniosło o trzy mile! Jedź i wykupuj, bo ukradną!

— Mój Mareczku, moje dzieciątko! — dobiła się staruszka swej kolei — pewnie nic nie jadłeś? Mam dla ciebie jagódki. Za chwilę wieczera. Siadźże, spocznij.

— Przed wieczera i spoczynkiem, skocz-no do Wojnata. Podobno umiera i trzy razy przysyłał po ciebie.

Marek wciąż milczał. Opadnięto go ze wszech stron: Hanka trzymała jedną rękę, panna Aneta drugą, Ragis krzyczał w jedno ucho, Julka z drugiej strony prawila o stryjowskim procesie, nawet lubiący spokój Marwitz wmieszał się do ogólnej wrzawy i czynił mu gorzkie wymówki, że go nie wziął z sobą na połów.

Irenka tylko nie ruszyła się z miejsca; odrzuciła głowę i wółprzymkniętymi oczyma patrzyła na tę grupę ludzi. Obejrzała każdą twarz, wreszcie spoczęła wzrokiem na Marku i wpatrywała się weń z natężeniem. Człowiek ten, ponury, milczący, obojętny na wszystko, co nie było interesem, zajął ją od pierwszej rozmowy na kowieńskim dworcu. Słuchała chętnie, co o nim mówił Jazwigoł, obserwowała go na każdym kroku. W dzień przyjazdu do Poświcia, gdy go ujrzała wśród tego obcego tłumu, zabiło jej serce jak do kogoś swojego; przez tydzień obcowania przywykła doń; gdy odjechał, zrobiło się jej nudno i nie swojsko. Potem często wspomnienie stawiało jej przed oczyma jego olbrzymi wzrost, ostre, nieruchome rysy, rzadko spoglądający na kogo stałowy wzrok i wąskie, nigdy nieśmiejące się usta; przynosiło do uszu jego głuchy organ mowy; i mimowoli myślała często o nim, czasem z gniewem, czasem z nieznaną ciekawością.

Teraz, po długim niewidzeniu, znajdowała w nim ten sam chłód, tę samą posępnosć, i z przykrością prawie poczuła, że jej raz drugi złowieszczo zabiło serce.

A on, jak zwykle, nie patrzył na nią, prawie się nie przywitał: obojętny, z kamiennym spokojem słuchał tych różnorodnych prośb, nalegań, spraw, pretensji, i cierpliwie czekał, aż skończą.

Gdy nareszcie umilkli, po swojemu lakonicznie odpowiedział najpierwszej Hance i pannie Nerpalisównie:

— Powiedz matce, że jutro rano stawię się niezawodnie. Pieniądze mam, niech będą spokojni, a do księdza proboszcza wstąpię o południu.

— Na pewno? — spytały obie z naciskiem.

— Na pewno! — potwierdził, i zwracając się do Marwitza, dodał: — Nic nie ma straconego. We czwartek, wracam na jezioro i zabawię tydzień. Jeśli pańska ochota i wola, służę.

— Panie, to moja jedyna namiętność! Wezmę wędkę.

Czertwan widocznie trochę oprzytomniał, pocałował z uszanowaniem rękę ciotki.

— Bardzo pożądana wieczera i wypoczynek. Od rana

wędrujemy pieszo, a tam mało co się jadło. Wasze zapasy w szafiasie ktoś ukradł.

— Ach Boże! Biednyż ty, biedny, mój dzieciaku kochany! Zaraz ci, duchem, usmażę jajecznicę i zrobię zacierkę z mlekiem! Biedactwo, nieboraczek!

Podreptała do domu, panienki także zaczęły nakładać kapełuszki.

— Dobranoc zatem, panie Marku — rzekła Julka — czekamy jutro niecierpliwie!

— Będę, pani! — odparł z ukłonem.

Dziewczęta pożegnały Irenkę, Ragisa, zajrzały do kuchni panny Anety, a tymczasem Marwitz wziął kapelusz.

— Dokąd idziesz? — zagadnęła z cicha panna. Orwidówna.

— Odprowadzę tę cudowną lekarke! Wieczór, mogą tu być szakale, kujoty, złoczyńcy...

— Czekać cię będę pod starym dębem!

— Dziękuję, Iry.

Koleżanki szły ku wrotom. Dopędził je i ruszyli razem. Na środku dziedzińca został chrzestny ojciec z synem. Rozmawiali już spokojnie. Urywki tylko rozumiała Irenka.

— Idź do Wojnata! Może cię przeprosi i wróci do łask.

— Za późno! Kiedyś oddałbym za to całą fortunę i krew, teraz nie chcę!

— Nie pójdziesz? On może umiera!

— Pójde, dajcie spocząć minutę, zdrożyłem się srodze, głód dokucza!

— Dobrze, dobrze! Ma się rozumieć! Spoczniej! Pójde pomóc pannie Anecie; i bestyjki moje głodne! Pogadaj z tą panną! Na biedę i ona ma jakieś interesa do ciebie. A gdzież to się podział ten pokąsany? Ho, ho! może do panny Anety się umizga? Dain ja mu!

Po chwili na dziedzińcu został sam tylko zmęczony wędrowiec i nieśmiało podniósł oczy na siedzącą pod ścianą jego chaty poświcką dziedziczkę.

W tej samej postawie, z odchyłoną głową, patrzyła nań

śliznymi oczyma, na których dnie, za iskrami ożywienia, leżała tęskna, przejmująca głąb.

Sekundę spłoty się spojrzenia, po rysach jego przeszło jakby wrażenie bólu, zbliżył się, oparł o plot, i tak o krok od siebie długą chwilę milczeli.

Ona, jakby czekała słowa od niego, ale daremnie. Wstała, nałożyła kapelusz, i powoli wciągała rękawiczki.

— Miałam i ja do pana mnóstwo interesów — ozwała się — a le posłyszawszy, jak pan jest zajęty, milczę! Do widzenia! może kiedyś w przyszłości...

— Gdzież to pan Marwitz? — obejrzał się.

— Nie ma! Odprowadza siostrę pańską, którą jest zachwycony! Będę na niego czekała nad rzeką, około czółna.

— To ja pójde z panią do rzeki...

— Pan zmęczony, głodny i bardzo nieszczególnie wygląda! Nie chcę.

— Pójde, pani. Posłucham interesów, może się zdam na co. Nie głód mi dokucza, ani zmęczenie. Do rzeki niedaleko.

— Dziękuję, panu! — rzekła z cicha. Był w głosie tym dźwięk, co się gwałtem przedzierał do serca. On zamilkł.

Wyszli niepostrzeżeni, tylko wierny Margas im towarzyszył.

Po kilku minutach Ragis wyjrzał na podwórze.

— Marku! wieczerza czeka! — zawołał.

Nic! Pusto, głucho! Stary zaszedł do ogródka, obejrzał wszystkie kąty.

— Marku! — powtórzył o ton głośniej.

Żadnej odpowiedzi, tylko psy zaczęły szczekać.

— Ot tobie masz! Znowu poszedł, aha! z Orwidówną powędrowali. Ma się rozumieć! Ot tobie, i głód, i zmordowanie! I wierzyć tu komu? Wie co panna Aneta? nie ma naszego chłopca! Poprowadził się z poświcką panną! Szukaj wiatru w polu! A to łotr chytry i kłamliwy! No, no, no!

— Poszedł? — odpowiedziała poczciwa kobieta, ocierając pot z czoła — cóż robić, dobrodzieju? Musi być to chodzenie milsze mu było i nad jadło, i nad posłanie! Za co się gniewać?

Niech biedaczysko choć raz sobie dogodzi, choć chwilę się ucieszy! Szczęść mu Boże!

— Panna Aneta rada każdej rzeczy! Co to dobrego? At! nowa zgryzota, tylko, że najgorsza, bo słodka, jak trutka na muchy! No, no, no! i ktoby się po nim tego spodziewał? Dziewięć mil odrzepał i znowu gotów maszerować! A Wojnat tymczasem umrze! At, głupi!

Panna Aneta miała słusność: ani o posiłku, ani o śnie nie myślał ponury człowiek. Irenka oparła się na jego ramieniu i szli sobie bardzo powoli przez osadę aż do figury. Tam dopiero zaczęli rozmawiać.

— Pan niesłowny. Dwa tygodnie nie odwiedził mnie, nie pomógł! Musiałam panu bardzo dokuczyć...

— Nie miałem czasu.

— A w Jurgiszkach pan był?

— Byłem. Zarządzam majątkiem po ojcu.

— I nie rzucił pan jak Poświęca...

— Tam nie mam komu zostawić.

— Jakto? Jest panienka w moim wieku.

— Słabowita i bardzo delikatna. Babki ślepej dogłada.

— Czy to pańska narzeczona?

— Nie, pani!

— Ale ją pan kocha?

— Pannę Janiszewską?...

— No, przecież nie babkę? Pan umyślnie pyta, żeby uwolnić się od odpowiedzi, ale się to nie uda! Kocha ją pan? Ruszył ramionami.

— Dobra panienka—odparł obojętnie.

— Nie pytam o jej cnoty, ale czy ją pan kocha?—rzuciła niecierpliwie.

Zdziwił go ten ton, zwrócił ku niej oczy i odparł spokojnie:

— Nie kocham!... Ale tym dwom sierotom radbym nieba przychylić. Same one, jak palec, na świecie! Często tam bywam, gdy czas się znajdzie!

— To pan nigdzie nie bywa dla własnej przyjemności?

— Nie, pani, nigdzie! Nie ma takiego miejsca.

— A pod dębem, tym starym, w lesie?

Zdumiał się, ramię mu drgnęło.

— Kto pani mówił o dębie?—zagadnął.

— Mniejsza kto, dość, że wiem. Pójdziemy tam teraz razem i pan mi opowie, jaka pamiątka wiąże pana z tym drzewem! Opowie pan?

— Nie ma co opowiadać.

Zapanowała chwila milczenia. Panienka niecierpliwie gryzła usta, on spoglądał przed siebie na bór ciemny i słuchał znanego szumu. Weszli w gąszcz; mrok już leżał wśród olbrzymów.

— Nie zbłądzi pan?—spytała.

— Ja? W Dewajcie? Wychowałem się tutaj! Każdy krzak mam w pamięci! Nad rzekę pani chce zejść?

— Nie, na tę polanę. Obiecałam Clarkowi, że mnie tam znajdzie, jeśli trafi.

Z widoczną niechęcią zmienił kierunek drogi i prowadził ją manowcami ociągając się.

Po chwili weszli na polanę. Wysunęła rękę spod jego ramienia i rozejrzała się wokół.

— Musi to być ciekawa karta z naszych starych dziejów. Był tu zamek zapewne — to ruiny?

— Był.

— Czemuż nie został?

— Nie stało obrońców. Ot tam kurhan po nich!—wskazał ręką.

— Tradycja pewnie żyje w okolicy. Niech mi pan opowie...

— Co tu opowiadać? Oni strzegli tego samego, co my teraz: ziemi i świątyni. Padli wszyscy. Wróg zajął ziemię, spalił zamek, zburzył świątynię. Ot i koniec!

— Praojcowie nasi pewnie także tam leżą? — szepnęła, ogarniając kurhan wzrokiem. Oblicze jej powleka powaga i żalność głęboka; jakieś wspomnienie zamąciło jej oczy. Usiadła na głazie Aleksoty i po chwili zadumy ozwała się smutna:

— Dziwna rzecz, jak mi ta polana przypomina dziecięce lata. Gdy pierwszy raz wyjrzała z kołyski, widziałam wokół takiż czarny las i na trzębieży niewielkiej naszej chaty,

z bierwion skleconą. Matka zawieszała kołyskę na gałęzi i pomagała ojcu przy karczunku. Musiała to być ciężka praca, bo postępowała nadzwyczaj powoli. Stan był dziki, pełen Indian i zwierza; żyliśmy suszonym mięsem i korzeniami; wokóło nigdzie nie było osad, miast, ani białego człowieka.

Bydło nasze pożarły jaguary i co noc wokóło chaty syczał by'o okropne wycia i krzyki. Bardzo mi straszno było i często płakałam; wtedy ojciec brał mię do siebie i zasypiałam w jego objęciu. Matka była wątła i kaszłała ciągle, ojciec często zapadał z trudu, głód nierzadko dokuczał, pomimo to nigdy oni się nie skarżyli i nie gniewali na siebie. Musieli kochać się nad wszystkie nieszczęścia — nad całą mędrzę żywota! Pomimo wszystko, byli szczęśliwi!

Kto wie? Po kilkunastu latach takiej pracy miałby może miliony, jak Marwitzowie, osada byłaby podwaliną pięknego miasta, wróciłibyśmy do kraju! Inaczej się stało — jak i tu na tej polanie, został tylko kurhan.

Umilkła. Dewajtis szemrał łagodnie, a od rzeki dolatywał p'usk fali monotonny, tęskny. W ustroniu tym żyły tylko wspomnienia...

Marek zrazu słuchał dość obojętnie, potem zbliżył się, usiadł obok niej i ukradkiem spoglądał w uroczą twarzyczkę opowiadającej. Po ostrych jego rysach snuły się jakby smugi światła i głębokiego wrażenia.

— Pani była wtedy bardzo małą? — rzekł z cicha.

— Miałam cztery lata zaledwie, ale takie chwile dziecku nawet rują się w duszy. Pewnej nocy Indianie nas zaskoczyli; przez chwilę bronił się ojciec, strzelał, matka broń nabijała; potem wdarli się do środka: jeden matce *tomahawk*iem pierś rozszczępił, dwóch rzuciło się na ojca, reszta, jak stado szatanów, rozbiegła się za rabunkiem. Boże!.. pan się dziwi, że taką noc można zapamiętać? Dzieckoby nowonarodzone zapamiętało...

Ciemność, wrzask, wycia, pisk, trzask łamanych sprzętów, w ciasnych ścianach natłoczenie tygrysów wściekłych — i trupy, charczące agonią...

Wypelzłam z posłania, dygocąc, jak w febrze, szukałam rodziców, opieki, wołałam z cicha: «mamo!» «mamo!». Nikt mi nie odpowiedział, bo nie było żywego ducha w matczynem ciele, co obok leżało na ziemi i stygło już!..

Nie mogła mówić dalej. Zbladła aż do ust, a z oczu, jak perły, padały łzy na splecione kurczowo dłonie; członki drżały okropnym wrażeniem.

Czertwan już teraz śmiało na nią patrzył. Cała ta ohydna scena mordu odbiła mu się w duszy, jakby ją wspólnie widział i razem cierpiał.

I pomyślał ze wstydem, że wszystkie jego smutki, niedole, troski, niczym były przy rozpacy i żalu tego dziecka czteroletniego, szukającego darmo ratunku u piersi zmarłej matki — w tę noc straszłą.

Zapomniał, kim ona była, co stało między nimi, że nie miał prawa odezwać się z pociechą, on, obcy, biedak, do tej magnatki; w duszy jego coś nieznanego bolało, rwało się, ciągnęło do niej, aż wybuchnęło na zewnątrz.

Pochylił się, ręce jej zimne a drżące wziął w swoje i do ust poniósł. Wargi mu drgały, spazm dławiał w krtani, żal rozdzierał serce.

— To panią boli, proszę nie mówić! — rzekł z cicha, dziwnie serdecznie.

Na te słowa przyjazne załkała z głębi duszy i długo płakała w milczeniu. Potem opanowała się trochę, otarła oczy, odrzuciła włosy z czoła, i spokojnym już, smutnym wzrokiem spojrzała na niego.

— To nic, panie!.. Mówić nie gorzej boli, jak śnić o tym i ciągle tę chwilę mieć przed oczyma!.. Tyle lat minęło, czas zahartować się... Od kiedy tutaj jestem, ciężiej mi, bo wśród obcych — dlatego dziś gorzej płaczę!.. Tam, w Ameryce, miałam tyle życzliwych serc, strzegli mnie przed tym wspomnieniem, a teraz ciągle myślę... W ojcystym domu rodzice zawsze na myśl przychodzą. A moi daleko!.. I tak marnie zginęli... Panu się zdaje, że już koniec to, com mówiła? Nie, widziałam gorsze chwile!.. Matka nie słyszała mego płaczu, ale ojciec

usłyszał. Miał na sobie ran kilkanaście, broczył krwią, porzucano go, jako trupa, a jednak on posłyszał i znalazł siłę powstać, wziąć mnie na ręce i wypełznąć z chaty... Noc była czarna, jak piekło; na kolanach, bo nogi miał pokaleczone, zaczął się w gąszcz, tam mnie ukrył a sam legł... Myślałam, że umarł, straszno mi było; przytuliliam się do niego i nie śmiałam odetchnąć, ani płakać..

Wrzawa w naszej chacie wciąż trwała: musiały powstać bójki o nędzną zdobycz, okrzyki triumfu... Potem coś błysnęło w tej stronie, potem w drugim miejscu i w trzecim. Wycie wznosiło się ciągle... Aż nagle buchnęła jasność pod niebo, rozświetliła polanę i drzewa lasu. Nasza chata stała w płomieniach. Indianie otoczyli kołem pożar i, miotając się w bojowym tańcu, zaintonowali jakiś śpiew dziki i przejmujący... Przerażona, zaczęłam skubać ojca za ręce i odzież, wołając: «mama tam!» «mama pali się!» — ale on omdlał z upływu krwi i nie ocucił się. A łuna rosła, pożerała trud tyloletni, cały nasz skarb i — zwłoki matki...

Zgliszcza i ruiny zostały na polanie — jak tutaj!... Wróg wszystko zabrał!...

— A ojciec pani? — szepnął słuchający.

— Ojciec po to tylko ocalał, by dowlec się do pierwszych osad. Trafili szczęśliwie na pana Marwitza; chciał wracać do kraju, ale, jak wszystko, i to go zawiodło... Teraz coraz częściej myślę: i mnie lepiej było tam pozostać. Po co ja wróciłam? Tak mi tu źle, i ciężko, i pusto...

Wstała przy tych słowach i obejrzała się po polance. Nie spostrzegła, że wieczór zapadł zupełny. Kilka bladych gwiazdek zarysowało się na ciemnym szafirze, rosa pokryła mchy i trawy.

— Zatrzymałam pana tak długo. Przepraszam!... Clarke widocznie wracać nie myśli. Popłynę już sama z powrotem i odeślę mu czołno.

— Pewnie go zatrzymano w Skomontach na noc.

— Należy mu się nagroda za poświckie nudy, które znosi dla mnie. Żegnam pana i dziękuję za towarzystwo. Czy pan nigdy nie przypomni sobie Poświcia?...

— Jeśli pani sobie życzy, mogę dziś tam być.

— Czy to przez litość, panie Czertwan? — zagadnęła dziwnym tonem.

— Dlaczego?...

— Bo przecież nie dla własnej przyjemności, sądzę...

Nic nie odrzekł. — «Może dla własnej zgryzoty» — pomyślał z goryczą, ale się nie cofnął.

Pierwszy raz w życiu Marek Czertwan opuścił obowiązek. Cekał go napróżno Ragis, i Juchno, i Wojnat chory, czekano go daremnie w Skomontach i na probostwie, w Żwirblach i Ejnikach. On pozostał w Poświciu.

Gdyby przewidział nieszczęścia, co nań spaść miały za ten jeden dzień zwłoki, możeby nie został. A zresztą — kto wie?

VIII.

Nad jeziorem w Wilajkach zapadła noc przerwała robotę. Dwa obozy biwakowały nad wodą, pod szałasami, wypoczywając po dziennych trudach. Z jednej strony kupcy z podwodami, z drugiej rybacy.

Od biwaku Żydów rozlegał się hałaśliwy gwar i sprzeczki, przy ognisku żmudzinów zmęczeni ludzie pokładli się do snu, inni śpiewali nabożne pieśni lub odmawiali wieczorne pacierze, kilku czuwało pod szałasami, paląc fajki i podsycając ogień. Siedział tam Marek, Grał, młody Downar i Ejnacki z Saudwilów, a wśród nich drzemał w pled owinięty Clarke Marwitz, wyczerpany całodziennym rybołówstwem i ruchem.

Wieczerec dawno spożyli, a teraz otoczyli wieńcem Łukasza Grała, który smutnym, jęklwym tonem opowiadał starą bajkę:

— « Była piękna Egle sama u rodziców bogatych, i chodziła co rano po kwiaty nad jezioro w głąb puszczy, śpiewając cudnie. I razu pewnego otworzyła się woda, i wąż zielony wstał z głębi, i pozdrowił ją ludzkim głosem: " Witam cię, piękna dziewico! Królewiczem byłem młodym, i bogowie za karę kraszy zmienili mą postać! Żaltis mi na imię, ale tam w wodzie mam pałac z bursztynu, i ogrody z pereł, i postawę mą dawną odzyskuję. Nic mi nie brak, tylko smutek mnie toczy, bom sam wśród mych skarbów i pałaców. Dni mi płyną w smutku i tęsknocie, bo nikt nie chce mnie poślubić! Zstąp, piękna Egle, bądź królową mych ziem, żoną moją! ».

« Egle strwożona uciekła, ale nazajutrz znów ją coś zawiodło nad wodę i Żaltis znów wypłynął i błagał, i zaklinał. Aż za trzecim razem usłuchała go i poszła za królewiczem w głąb jeziora! A tam na dnie opadły go łuski węzowe, i stał się pięknym jak zorze, i dał jej sznury bursztynu i pereł, wprowadził w komnaty koralem wykładane, i była z nim Egle bardzo szczęśliwa lat kilka. Dwóch synów i córkę wypiastrowała mężowi, i miłowali się jak słońce z kwiatem, i nic im nie brakło w szczęśliwości. Aż po kilku latach przypomniała sobie rodziców starych i braci dorodnych, i jęła prosić męża, by ją tam do nich puścił w odwiedzinny. Długo się opierał i ociągał, i przystał z wielką żałością: " Idź, rzekł wreszcie, ale wracaj rychło, i wołaj mnie po imieniu. Jeśli żyw będę, wypłynę, ale jeśli zobaczysz na wodzie czerwoną pianę, to znak, że zginął ».

" Poszła tedy Egle, zabrawszy dzieci. Przyniosła w dom piękne dary, ale skąd szła, nie chciała powiedzieć, i dzieciom zakazała. Więc bracia na pierwszą noc na stróżowanie koni poszli, i wzięli z sobą najstarszego chłopca. Bili go i męczyli, ale on nic nie wyznał. A na drugą noc wzięli młodszego, ale i ten milczał jak skała, pomimo katowania. A na trzecią poprowadzili dziewczynkę, a ta ze strachu i bólu wyznała prawdę. Wzięli tedy bracia ostre miecze, poszli nad jezioro i wołali: " Żaltis! Żaltis! Wyjdź do mnie! ». A gdy uradowany mąż wypłynął, rozsiekli go mieczem i wrócili do domu, nic nie mówiąc siostrze.

« A po tygodniu gościny, zatęskniła Egle za mężem, i pożegnała rodzinę. Przyszła nad wodę, i wołała wedle umowy — ale tylko piana czerwona wystąpiła na wierzch, i nikt jej nie odpowiedział.

« Zapłakała Egle, że go opuściła, i w żałości nie dała się utulić ani ojcu, ani matce. Więc bogowie zmienili ją w ciemną jedlinę; starszego syna w dąb, młodszego w jesion, a dziewczynę w drzącą, podłą osikę.

« I długie lata widzieli ludzie tych drzew cztery pochylonych

nad jeziorem, a jedlina gałęzmi obejmowała wodę, i wciąż szumiała: Zaltis! Zaltis! Zaltis!».

Umilkł Łukasz, ciężko westchnąwszy. Słuchający drzemali, ukolysani monotonną opowieścią. Znali ją wszyscy zapewne. Jeden Marek nie drzemał, ale też i nie słuchał. Duch jego daleko był, sądząc po oczach, po całej twarzy. Wpatrywał się uparcie w toń wodną, migotliwą i ruchu pełną, to znów w głównię ogniska czy wlepiął, to po niebie gwieździstym błędził wzrokiem bez blasku, takim, co, skupiony w jakiś obraz myśli, nie widzi przedmiotów wokoło. Śnił z otwartymi oczyma, on, dziki Marek Czertwan!...

Roiły mu się po głowie także pałace i skarby, ale nie z bajki, lecz rzeczywiste, otoczone łąkami zbóż, gęstwinami lasów. Marzyły mu się piękne cugi i liberia, srebra, kobierce i kryształ, zbytek magnacki! Już go teraz nie zajmowała ani zagroda, ani młyny, ani Żwirble, ani złotodajne jezioro, które dawało mu setki: on chciał tysięcy; mogła go ta praca mrówcza uczynić bogatym za lat dziesięć, on chciał mieć dzisiaj miliony.

Ogarnęło go jakieś męczące uczucie niepokoju, gorączki i rozstroju. Chwilami rzeźwił nieco, ruszał się żywo, to znów siadywał jak martwy, nie słysząc i nie widząc nic, co się działo wokoło. Nie był to już jego spokój i chłód niczym nie wzruszony; był to stan chorobliwy, cierpienie całego organizmu.

Towarzysze posnęli, on tylko czuwał i Grał. Mąż Marty, pomimo ślubu, śpiewał, jak przedtem półgłosem żalosną pieśń o złej doli. Skarga nie schodziła nigdy z ust jego, i teraz, spostrzegłszy, że Marek nie śpi, zaczął opowiadać swe troski.

— Sądzenia boskie krzyżować — ozwał się, głową kiwając — doli nijakiej to nie da i życie zatruje! Nie z Boga to, ale z szatana takie zaślepienia bywają! Trza mi było iść precz; jeśli oczy pamiętały, oczy wydrzeć; jeśli serce pamiętało, serce zdeptać! Grzech takie miłowanie okrutne, a jam na grzech nie patrzył. Za to mnie Bóg pokarał! Co mi przyszło? Żonę mam i nie mam! dom mam i nie mam! Zawiniłem, musi być, ciężko!

— Cudze winy bierzesz na siebie — odparł Marek — mi-

lowanie nie grzech, tylko to gorzkie szczęście mało komu spokój da i uciechę, zawsze frasunek

— Czyś ty kiedy mocno miłował — zaryzykował Łukasz dziwne pytanie względem nieufnego i skrytego człowieka.—Po Marcie toś nie tęsknił, ani desperował!

— Kto wie, co za zębami się kryje? — odparł Marek przysłowiem.

— Za zębami ciężko kryć — westchnął Grał — człowiekowi lżej *stanie*, jak się wygada, poskarży. Żeby ciebie wielkie kochanie ogarnęło, tobyś nie mógł milczeć! Boga mi! Powie-działbyś...

— Nie! — rzekł Czertwan stanowczo, po krótkim namyśle.

W tej chwili na drodze, daleko jeszcze, rozległ się tętent konia cwałem puszczanego. Obadwa podnieśli głowy. Marek, jakby go coś tknęło, powstał i wyteżył w tamtą stronę wzrok i słuch. Bez żadnej racji serce mu bić poczęło gwałtownie. Kto mógł jechać o tej porze konno? Nie szedł tu trakt, nie było nigdzie miasteczek.

Galop nie ustawał, zbliżał się co minuta; noc była bez księżycy, ale bardzo pogodna; tam, gdzie kończyły się zarośla, jeździec się ukazał; zamiast jechać drogą, skręcił na wygon, pędził prosto na blask ogniska.

— Kto to być może? — szepnął Łukasz, również zajęty.

Marek, zamiast odpowiedzi, skoczył na przód: poznał zdaleka swoją Białkę ze źrebakiem. Ktoś jechał do niego w nocy, cwałem...

Przecucie jakiegoś nieszczęścia dodawało mu sił, przez grząską łąkę biegł naprzeciw wysłańca. O sto kroków stanął.

— Kto to? — krzyknął.

— *Asz esu, ponel* — odparł zdyszany głos Grenisa.

— Czego ty tu?

— Pan kapral przysłał, żeby pan prędziusienko wracał!

— Co się stało? chory kto? pożar?

— Paniel! źle się dzieje! Przyszli Żydzi z młodym panem i rąbią naszą Dewajtę!

Marek zachwiał się; chciał krzyknąć — nie mógł, chciał o coś

spytać—nie dobył głosu. Jak człowiek tknięty gromem, poczerwieniał, oczy mu krwią zaszyły, dygotały mu wszystkie członki.

— Dziś po południu przyszli — mówił Grenis, ocierając pot z twarzy — pan kapral zaraz poszedł. Słyszę, młody pan go złymi słowy zwymyślał! Stanie mu się za to nieszczęście, bo pan kapral...

Nie dokończył Grenis. Żelazna dłoń Marka podniosła go z siodła i zrzuciła na ziemię; potem bez słowa i namysłu młody człowiek skoczył sam na siodło, zgarnął cugle, skrzył klacz na powrót i poleciał, jak strzała.

Dziewięć mil miał przed sobą; spojrzął na niebo: było jednolite, ciemne, bez śladu brzasku. Trzy lub cztery godziny dzieliły go od rana, kurs był bardzo mozolny i trudny dla sędziwej Białki.

Klacz to była wysokiej ceny i wartości, ale zniszczona poniewierką w Skomontach. Teraz pod opieką Ragisa poprawiła się znacznie; pomimo, że odbyła już długą drogę szła rażno, niekiedy tylko niespokojnie wzywając rżeniem żrebaka.

Cała myśl Marka była zajęta pośpiechem. Znał krótszą drogę o połowę, ale rzadko kto jej używał, bo szła pustkowiem i przerywały ją dwa grząskie strumienie, płynące do Dubissy. Dla pieszych były wprawdzie kładki, a dla jezdnych brodów kilka; ale w nocy nikt się tamtędy nie puszczał, bo wśród manowców można było zabłądzić, a lud opowiadał, że po moczarach zbierały się duchy topielców.

Co znaczyły w tej chwili dla pędzącego manowce i duchy? Około jakiegoś krzaku jałowca skrzył na lewo, przeznęgnął się i ruszył na los szczęścia.

O północy wiatr się zerwał, snuł się nisko, wstrząsając zarosłami i kręcąc piaskiem, klacz strzygła uszami, lełaki i sowy przelatywały nad głową jeźdźca, okolica stawała się coraz dzikszą.

Pochylony nad grzywą, cały we wzrok się zamienił: po piaskach tych dzikich wynajdował instynktem szlak jakiś, czasem ślad kopyt, czasem gałąź złamaną—innych znaków nie

było. Mrok szary wielkimi płatami mamł go i mylił co chwila: zaczął żałować, że wybrał ten kierunek, zdjął go strach przed zbłądzeniem w pustce. W takim razie jeździłby do rana, nie mogąc się zorientować.

Przypomniał sobie bajkę matczyną o upiorach, co czatują na ludzi w takich rozdrożach i wodzą w krąg błędny, nasyłają złudzenia, męczą do świtania. Machinalnie podniósł rękę do czoła i piersi; zakłęć, których go matka uczyła, dawno zapomniał, natomiast pacierz począł mrużyć.

Wtem klacz zaczęła zapadać w grząską ziemię: byli w sąsiedztwie pierwszego strumienia. Obejrzał się; nie pamiętał, by tędy szedł kiedykolwiek; zapewne zjechał w bok ze ścieżki, co wiodła do brodu.

Nie było czasu się cofać, gwizdnął, pocziwe zwierzę rzuciło się odważnie na przód, wprost, bez drogi.

Rzeczka płynęła w torfiastym gruncie, czarna i złowieszcza. Białka, wzdrygając się, skoczyła w wodę, muł sięgał jej kolan, chrapała dziko... Wybrnęła przecie, na stałym lądzie zatrzymała się minutę, zhasana, spieniona, drżąc z nateżenia. Zwróciła głowę i wołała żrebaka. Odpowiedział jej słabo, jakby się skarżył. Marek trącił cugle niecierpliwie; klacz zastękała, jak człowiek stroskany, i posłuszna już szła klusem, dobywając reszty sił. O wiorstę za rzeką potknęła się pierwszy raz, i jakby zawstydzona, podwoiła kroku. Chód jej był gorączkowy, nierówny. Marek czuł, że dygotała jak w febrze. Ujechali mil parę; na wschodzie rozjaśniało się zaledwie.

— Hej Białka! Hej! — zawołał, spojrzawszy w tę stronę.

Pędzili, bez drogi już, na tę jasność: tam oto, na wschodzie, wróg był, co chciał wziąć biednemu pracownikowi jego otuchę. Jego własność, jego skarb.

Gdy mu ta myśl przemylała pod czaszką, zgrzytał zębami, perły potu występowały na skronie, za piersi chwytąta rozpacz. Pochylał się jeszcze niżej do łęku i podniecał klacz nieprzytomny. Byle prędzej! Byle dzień choć raz się spóźnił, dał mu pośpieszyć w porę, by ratować starego protoplastę dąbrowy, co wieków tyle szumił nad kochaną Żmudzią!

Drugi strumyk zaczerniał w wieńcu łoży. Białka zawahała się sekundę i skoczyła w wodę. Dzielne zwierzę! Sieć żył wybiła się na skórę, z boków dymiła para; na brzeg wydobyła się z widocznym mazołem i znów zarżała.

— Daj mi tchnąć, panie!—zdawała się prosić—daj spocząć! Służyłam ci, ile mocy, tyle mi!

Ale Marek na nic nie zważał. Na wschodzie jaśniało z każdą chwilą. Klacz potknęła się ciężko i upadła na kolana. Zerwał ją, uderzył cugłami; porwawszy się rzuciła na oślep, płatała nogami, biegła jeszcze pięć minut i znowu upadła, jęcząc ciężko. Podniósł ją wędzidłem, chciała iść, zachwiała się, spuściła głowę, daremnie szukała równowagi: siły ją opuściły, zwała się na ziemię przygniatając jeźdźca.

Wówczas dopiero oprzytomniał, zrozumiał, że, pastwił się nad niemą ofiarą, żal go ogarnął. Zerwał się, wydobył spod konia, rozluźnił popręgi, pomagał powstać. Ale Białka skończyła już swą służbę uczciwie, do ostatniego tchu. Ciężko jęcząc, dogorywała na tym pustkowiu, o miłą od domu; nie nęciła jej już ani woda, ani obrok, ani wygodna stajnia. Oczy jej zaciągały się bielmem, z nozdrzy płynęła krew, zmęczone nogi drgały w przedśmiertnych kurczach. Dobięła mety.

Marek rozsiadł ją i chwilę patrzył z żalem na mękę szlachetnego zwierzęcia; potem ogarnęła go wściekłość straszna, cicha a nieubłagana, znana tylko milczącym i skrytym duszom. Zatrząsł się cały, zęby zaciął, czapkę nacisnął na oczy i poszedł wielkim krokiem na jasność ową, zwiastując bliski poranek.

Koguty piaty i dalekie szczekanie psów słyszeć się dawało. Tam on dążył coraz prędzej. Gdy znalazł drogę, jasność na wschodzie pokraśniała jutrzenką, dzień wstawał czysty i pogodny jak szczęście.

Zaścianek ledwie się budził, gdy on go mijał, szcerniały przez tę jedną noc i straszny jak potępieniec. Nikt go nie widział, tylko Margas poznał i pobiegł w ślad. Czuby dąbrowy ozłocił wschód, stała jeszcze i szumiąca jak zwykle witając właściciela. Zwolnił nieco kroku, odetchnął, gdy wtem w chór głuchy i poważny ciemnych konarów wmieszał się odgłos jakiś

obcy, urywany, odgłos, na którego dźwięk cała krew rzuciła się falą do twarzy idącego, aż od krwi tej zabarwiły się białka i skronie.

Poskoczył, jak lew w obronie legowiska, kilku skokami znalazł się na polanie, o parę kroków od swego starego drucha.

Spojrzał i jak lew zaryczał...

Na głazie Aleksoty, tam, gdzie przed laty stała Julka, deklamując, gdzie przed tygodniem Irenka Orwidówna opowiadała mu swe dzieje, gdzie tyle razy sam dumał, stał teraz Żyd rudy, ogromny, w brudnym kaftanie, z roztarganą wielką brodą. Głowę miał podniesioną, w dłoni trzymał siekiere i uderzał nią w pień starego dębu, próbując, czy zdatny na klepki.

Za każdym razem garść trzasek odlatywała na ziemię, i jęk się rozlegał głuchy, i dreszcz szedł po gałęziach, aż do szczytu, gdzie spłoszony siwy orzeł krążył nad gniazdem i krakał żałośnie.

Markowe usta oniemiały. Zdało mu się, że żywe członki ktoś rąbie, że drzewo skarży się na ból owym drzeniem i jękiem.

Na chwilę stracił pamięć. Co to było? Huragan! Żyd nagle zachrapał, znalazł się w powietrzu. Żelazne dłonie podniosły go w górę, wstrząsnęły jak płachtą. Ciśnięty jak kamień z procy, zatoczył krąg i padł oghuszony o dziesięć kroków dalej, omdlały, bez ruchu.

Siekiera wypadła mu z dłoni. Marek ją chwycił, poskoczył do Żyda...

Co chciał robić, sam nie wiedział. Szał ćmił mu oczy, myśli i rozum, działał pod wrażeniem instynktu obrony, żalu i zemsty. Nie pamiętał nic!

Ten złodziej, oszust, leżał u jego stóp i charczał; niech ma ból za ból, krzywdę za krzywdę!

Podniósł siekiere... Bóg wie, co by się stało, gdyby w tej chwili ktoś go nie porwał za ramię. Było to tak niespodziane, że spuścił siekiere i obejrzał się, pewny, że drugi Żyd przybywa z pomocą.

Oczy jego, krwią zabiegłe, błyskające dziko spod zsuniętych brwi, spotkały bystre, przejmujące źrenice Irenki. Stała tuż i ścisłała go mocno za ramię, blada, zdyszana, przerażona okropnie!

— Co panu? — zawołała zmienionym głosem.

Milczał. Pierś mu pracowała, jak miech w kuźnicy, zęby błyskały zza warg; na czoło, potem złane, wystąpiły żyły, jak sznury.

— Rzuć pan topór! Co się tu stało? Co panu zrobili ludzie?

— pytała prędko, odciągając go na bok. Siekierę wyjęła mu sama z ręki.

Jeszcze milczał, ale przytomność wracała do oczu.

— Za co pan chciał mordować tego człowieka? opamiętaj się pan! — mówiła, drżąc cała.

Wzrokiem wskazał jej Dewajtisa, ślady żelaza na korze, jak świeże rany.

— Dąb pański rąbano? Kto pozwolił?

Mozolnie otworzył usta.

— Brat! — rzekł jedno słowo.

— Pan Witold? Bezprawnie? To broń się pan, a le nie w ten sposób. Tam moja łódka stoi u brzegu. Jedź pan do Poświęcia, wezwij policję i prawa. Są tam dla pana moje konie i służba. Jedź pan co najrychlej.

Oprzytomniał zupełnie. Krew ustąpiła z twarzy, ale się nie ruszał.

Zwiesił głowę, jakby zawstydzony, i po chwili wyrzekł:

— Dziękuję pani. Troska mieściła się w duszy aż dotąd. Ale dziś miejsca jej nie stało. Gdyby nie pani, krew by tu pocięła.

Rzucił okiem na Żyda, otarł rękawem pot z czoła.

— Od północy pędziłem tu, aż mi koń padł, potem szedłem jak wariat. Rozpacz rosła z każdą krokiem, a jakem tego zobaczył, tom oslepi od szału. Bóg łaskaw! zdążyłem na czas jeszcze!

Odetchnął głęboko i, już uspokojony, postąpił parę kroków do drzewa.

— Tyle wieków on stał i wszystko przetrwał! Dziesiątki pokoleń go strzegło, bronilo, aż Bóg za karę takich zesłał, co ni pamięci, ni ducha ojców w piersi nie mają. Najcięższy to dopust i próba! Co my warci bez pamięci starej sławy i cnoty? Skąd my ją odbudujemy i utrzymamy?

Może nigdy tyle słów naraz nie wyszło z zaciętych ust tego odludka.

Jak zza chmur wyrzało słońce, tak w tej chwili wybił się na wierzach z głębi duszy odblask świetny tego, co tam na dnie w ciszy wiecznej żyło, pragnęło i bolało. Przeistoczony wygładał i potężny, aż od tych promieni roziskrzyły mu się wpadłe oczy i cisnęły skry wielkiego gorąca.

Nigdy przed nikim takim nie bywał. Skąd wobec tej, obcej prawie, cisnęły mu się do ust słowa, krew do serca i skroni? Dlaczego jej tak ufał i wierzył? Skąd brał pewnik, że go zrozumie?

Odgadł może bratnią duszę i uczucie w jej oczach złotawych, utkwionych poważnie w jego obliczu.

— Nie budują trutnie, lecz pszczoły — odparła. — Ci, co tak myślą, i czują jak pan, nie dadzą temu, co dobre, upaść. Nie trwóż się pan — dodała — obronimy ten dąb, i to, co on przedstawia.

Uśmiechnęła się do niego z otuchą. Wyprostował się, podniósł wyzywająco głowę.

— Obronimy! — powtórzył z mocą. — Pókim ja żyw, Dewajtisa mego nie weźmie topór. Dziękuję pani raz jeszcze.

Teraz sam pierwszy wyciągnął do niej rękę.

— Idź pan po sąd i policję, ja tu zostanę na straży. Dąb wasz będzie bezpieczny. Nie dam got knać nikomu.

— Za chwilę przyślę pani pomoc, a i ode mnie z zaścianka niebawem ktoś przybędzie. Mój chrzestny będzie mnie szukał. Pani będzie tak dobrą i objaśni, dokąd poszedłem.

Za chwilę nie było go na polance. Psu kazał pozostać, więc wierny Margas ułożył się u nóg Irenki i czuwał.

Irenka usiadła na glazie i parę minut pozostała zamysłona, patrząc w głąb, gdzie go jej z oczu zabrały wypukłości lochów

i gąszcz jeżynowy; potem porwała się żywo i przystąpiła do leżącego Żyda.

Powoli budził się z omdlenia i przestachu. Począł jęczeć i stękać.

— Żebym ja się spóźniła o minutę — pomyślała z mimowolną zgrozą — gdziebyś ty był jutro, bohaterze? Bóg łaskaw!

Tymczasem w dąbrowie działy się szczególne rzeczy. Słychać było gdzieś w dali razy siekier i nawoływania, potem rozległa się wrzawa i ruch. Głosy ludzkie mieszały się z ujadaniem psów i tupotem koni, przez polankę przemknęło kilka strwożonych wiewiórek, ptactwo świegotało na alarm.

Irenka obejrzała się z zajęciem. Byliż to napastnicy, czy pomoc?

Nagle z gęstwiny ukazali się sprawcy hałasu. Był to Rymko Ragis ze swą czworonożną komendą, za nim pieszo i konno młodzież z zaścianka. Na widok poświckiej dziedziczki stary się zdumiał, eskorta zaczęła wołać, zobaczywszy leżącego Żyda. Rzucono się ku niemu.

— To sam herszt, ten co kupił! Ah, łotr! Zabiło go coś. Widzicie!

Owe «coś» wyszeptali tajemniczo, zegnając się trwożnie. Rymko pokulał w tę stronę.

— At, umarł! Gadacie Bóg wie co! Żyje i żyć będzie na zgubę każdego uczciwego. Jak go coś i przyduśilo, to słusznie. Ho, ho, ho!

Ukośnie spojrzął na Irenkę. Zrozumiał, czyja ręka działała w tym wypadku, i że to w tajemnicy pozostać powinno. Bał się jej świadectwa, badał wzrokiem.

— Chłopcy — zawołał — teraz do roboty! Rozdzielcie się na dwie partie i biegajcie co żywo do tych drwali, cośmy ich rozpędzili. Uchowaj Boże, bez gwałtu. Siądźcie sobie blisko i tylko pilnujcie. Jakby wzięli w ręce siekiery, wtedy sobie grzecznitko wstańcie i siekiery z garści. Nic więcej. Rozumiecie?

— Rozumiemy — zawołali chórem parobczaki i, nawykli słuchać czarodzieja, rozbiegli się na wsze strony.

Tego tylko chciał Ragis. Szybko zbliżył się do Irenki, zamrużył oczkiem, zniżył głos i szeptem spytał.

— Marek był?

— Był — odparła.

— A widziała panienka to? — nieznacznie wskazał żyda.

— Widziałam — skinęła głową.

Kaleka złożył ręce jak do modlitwy.

— Nie mówcież nikomu, panienczko! — prosił usilnie. —

Chłopca mego całe życie krzywdzą. Krwawy ma żywot od kołyski. Jak ten dzik, co go psiarnia opadnie, broni się i rzuca. Nie ze złości to zrobił, ale z desperacji. Najlichsze zwierzę swego broni, a jemu ostatki chcą wydrzeć. Sąd nie pyta o duszę, ale z czynów sądzi. Nie świadcież przeciw niemu!

Na tę przemowę, którą ledwie w części zrozumiała, obrazila się prawie.

Potrząsnęła żywo głową i, po chwili szukania wyrazów, odparła:

— Pan Czertwan poszedł po policję, a ja tego pilnuję. Ratujcie żyda.

Stary się rozpromienił, troska znikła z pomarszczonej twarzy, z uznaniem i dumą spojrzął w jej oczy.

— Szlachetność w paniencie mieszka. I rozum! Ho, ho, ho! Rada mądra. Ma się rozumieć. Trzeba go ratować.

Po chwili starań Żyd się ocucił, siadł na ziemi, błędnym wzrokiem wodząc dokoła

— A co to, pan kupiec konwulsji dostał? — zagadnęła naiwnie Ragis.

— Aj, gwałt! Co to było? Gdzie ten rozbójnik? Zabili mnie! Gwałt! Ja na sąd podam! U mnie głowa pęknięta, u mnie serce odskoczyło! Ja zabity! Ja trup! Ajej! Ajej!

— To kupiec chyba za gniazdami łaził, z dębu spadł i pokaleczył się?

— Co to gniazdo? Co to spadł? Ja las kupił! Mnie zabili, ja podam na sąd!

— To kogoż, bo jak my tu przyszli, to nie zastali żywej duszy?

— Co to duszy? Co to przyszłości? Ja tego starego dęba próbował. Mnie ktoś złapał i zabił! U mnie głowa odpada, u mnie w piersi boli! Ja zabity!

— Kupiec *musi*ć był pijany, jak do lasu szedł, i pijany, jak ten ktoś złapał. Nie trzeba było starego dęba ruszać, w jego pniu lichy siedzi, dlatego nikt go nie tyka, bo byle szpara w korze, złe wychodzi i dusi. Kupiec póty stukał, aż wylazło.

Żyd rozejrział się okrągłymi oczyma. Zmierzył kalekę i młodą osobę.

To nie mogli być jego napastnicy.

Przypomniał sobie robotników, pośpiech nakazany przez sprzedającego i, stękając, stanął na nogi.

— Och! — jęczał — całe zdrowie mnie wyjęli! Och! och!

Zgarbiony, kulejąc, powłókł się w las; za nim Ragis pogroził ręką.

— Idź, idź! — zamruczał — Bogu dziękuj, że jeszcze dyszysz.

Zostało tedy na polanie tych dwoje wiernych prześladowanemu. Irenka radaby pogawędziła ze starym, ale nie miała z sobą rozmówek. Pozostało jej tylko słuchać i odpowiadać na migi.

Ragis nie hołdował zwyczajom Marka. Usta mu się nigdy nie zamykały. Umiał gadać z jeżem i żurawiem, z panem i chłopem! Nie troszczył się, czy go rozumieją i słuchają.

Więc zaraz wgramolił się na głaz i obejrzał uważnie kalectwo dęba.

— Nic mu nie będzie! — zawyrokował — jeszcze sto pokoleń przesto! Żyłasty starowina! Ho, ho. Takie rany to fraszka! Nawet i bez biedrzeńcu panny Anety się wygoją!

Zszedł na ziemię, spostrzegł Margasa.

— I ty tu, błaznie! Odstąpiłeś pana, białogłowy pilnujesz? Dobrze, dobrze! A nie wiesz ty, gdzie to Białka? Marek musiał ją szpetnie zmordować, a może z tego pośpiechu i w Dubisę wpław zagnał! Biedna Białka! Taki wyrostek ten Witold, a starych ludzi dziś spędza, że i tchu nie złapią. Będzie mu łaźnia, jak Marek z policją wróci! Oj warto. Skąd to się bierze

taki chwast w rodzie? Tfu! Pieścili, cackali, bo gładki! Ot i wyhodowali pociechę! Oj bić, bić, tylko słuchać, czy dyszy.

Usiadł niedaleko Irenki i fajeczkę zapalił, parę razy zerknął na nią bokiem i zagadnął wreszcie:

— Może panu ci tytoń szkodzi?

— Nie, nie! — zaprzeczyła z przyjaznym uśmiechem.

— To dziękuję! Fajeczka żołnierzowi bywała często za jadło i napój, a potem to zastąpiła i zabawę, i towarzystwo, i rodzinę! I Marka tak nauczyłem: ty, synku, po wieczorynkach nie biegaj, a masz wolną chwilę, to sobie lulkę zapal i na dym spoglądaj.

Irenka zaśmiała się wesoło. Były to szczególne rady dla młodego chłopca, ale widocznie bardzo skuteczne. Marek wobec niej nie palił nigdy, ale parę razy zeszła go, jak siedział zgarbiony i ścigał obłoczek dymu. Co on widział w nim? Co mu zastępowało rozmowę i zabawę?

Ragis, zarażony jej wesołością, także się uśmiechał.

— Nic gorszego, panusiu, jak próżna gadanina i wieczorna bieganina! Co mu z tego przyszło, że biegał do Wojnatów? Serce w błoto utopił i ściecią wiatr myślał złapać. Nie posłuchał mnie raz i pożałował. Nie lepiejby fajkę wypalił w domu ze mną?

— Co to: Wojnatów? — zagadnęła.

— To wuj jego tak się zowie. O płot mieszkamy w zaścianku. Wychowanicę miał, ot, młodą i nieszpętną. Ziela musi być jemu podsunęli, bo nie było czego tyle zadawać sobie fatygi. Rozmiałował się: żenić i żenić! Aha! prawda; złap wiatr w sieć! Ho, ho, ho!

— Ożeni się? — spytała z widocznym zajęciem.

Ragis się roześmiał z triumfem.

— Ho, ho! a widziała paniątka wiatr w siatce? Także i tego nikt nie zobaczy! Zaraz po kolędzie za męża sobie poszła! Chłopiec aż szerniał z tej troski, a jam taki temu rad, jakbym derkacza ręką złapał. Lepsza jego troska, niż takie wesele! Ma się rozumieć, sprawimy jemu gody, ale inakże!

— A jakie? — badała ciekawie, ale już z całą powagą.

— Za lat parę, jak w pierze urośnie! — powiedział swobodnie,

jakby mówił do kuma, czy panny Anety. — Z roboty wybrnie, ziemię spląci i opatrzy, dom sobie założy. Wtedy w swaty pojedziemy! Stary Rymwid ma jedynaczkę, jak łanie, gospodarną jak pszczoła; u Olechnowiczów są dwie córki w Jurgiszkach on często przesiaduje: panienka dobra i bogobojna. Bogatej on nie chce, sam mi mówił onegdaj, to weźmiemy biedną, ale rozumną i dobrą. Ho, ho! Byle będę odbyć i to nastanie, Witolda.

Zamilkł na chwilę; w dymie fajki widział zapewne te gody wymarzone.

Irenka spuściła nisko głowę i gryzła w białych ząbkach źdźbło trawy.

Przez chwilę twarz jej spochmurniała, ale wnet w pół wyzywający, w pół rzewny uśmiech prześliznął się po delikatnych rysach.

Spojrzała na Ragisa lekko drwiącymi oczyma i wstała.

Słońce już wzbilo się wysoko. Z pogodnego rana dzień się zmienił na pochmurny. Wiatr dął silny od Dubissy, hucząc jak pobudka do burzy. Marka nie było.

— Może paniencie czego trzeba?—zagadnął stary, także się podnosząc.—Deszcz za minutkę będzie, i coś na grzmoty się zabiera. Dobrze, żem wczoraj siano zebrał! Niech panienka śpieszy do domu przed ulewą.

Potrząsnęła głową przecząco. Obchodziła powoli polanę, za nią Ragis dreptał, gawędząc do drzew, chmur i swej psiarni.

— Co to? — zagadnęła, nagle zatrzymując się w miejscu.

Pod stopami miała jakby otwór zasypanej studni, bujnie zielskiem obrosły.

— A to lochy — objaśnił — podziemne drogi zamczyska. Mówią, że pod całą dąbrową ich pełno. Ale teraz całkiem zasypane! Takich dziur jest kilka. Głębokie tam są kurytarze i aż do rzeki się ciągną.

— Chodził pan tam?

— Czy mi życie niemiłe? I czego? Na skarby się nie łakomię, i nikt ich tam nie znajdzie. Marek kiedyś, wyrostkiem będąc, łąził niecnota. Chciałem siec za to głupstwo. Nie znalazł

ani złota, ani wina, o którym plotą, tylko gdzieś w załamie czaszkę ludzką i zardzewiałe toporzysko. Ledwie żyw się wydobyl, tak tam duszno, i drugi raz nie chodził. Z naszych niktby się na taką wyprawę nie naraził, chyba on jeden. Niech panienka nie zagląda! Fe! Jeszcze nietoperz wyleci, a ziemia może się osunąć...

W powietrzu robiło się coraz niespokojniej. W oddali huczały grzmoty.

Nagle psy Ragisa podniosły hałas i rzuciły się na przód na dziwaczną postać, która się ukazała z gęstwiny. Był to Marwitz w gumowym płaszczu i ceratowym kapeluszu, dzwigający w ręku parasol, szal i jakieś białe zawiniątko.

Spostrzegłszy Irenkę, zaczął machać rękoma, jak majak staroświeckiego telegrafu.

— Skądś się wziął? Domyśliłeś się, gdzie jestem?—zawołała.

— Czertwan powiedział, — odparł zasapany.—Konie wziął i poleciał jak wariat! Nic a nic nie rozumiem, co się tu dzieje?

— Sprzedano mu bezprawnie las! Żyd rąbie!

— Zlynczować go! — zdecydował z całym przejęciem.

— Tu nie doszli do tej amerykańskiej sprawiedliwości. Co ty niesiesz?

— Okrycie dla ciebie i śniadanie.

Usiedli pod dębem. Ragis przypatrywał się z daleka. O ile czuł sympatię dla dzielnie wyglądającej dziewczyny, o tyle nie znosił chuderlawego Amerykanina.

— Strach w konopie!—mruzczał do siebie.

Irenka otworzyła białe zawiniątko. Ukazała się butelka wina, kawał pasztetu i cukierki. Było to śniadanie pomysłu Clarka.

Sięgnęła żywo po flaszkę i kieliszek, poskoczyła do starego, nalala pełną czarkę i podała mu ją z serdecznym spojrzeniem.

Wypił, wąsy otarł i aż się obliznął.

— Orwidowski maślacz stuletni, Ot mi trunek. Dziękuję paniencie! Aż mnie po kościach mniej łamie! Oho, ho!

Zaprosiła go wdzięcznym ruchem do zaimprovizowanego stołu na glazie.

Zasiedli we troje do śniadania. Jedli śpiesznie, bo deszcz zaczął padać.

— Zmoknie panienka! — frasował się stary — a Marwitz dodawał:

— Wracaj, Iry! Jeśli chcesz, ja cię tu zastąpię, choć, słowo daję, nie wiem, czego tu siedzimy.

— Dla różności, *my dear!* — odpowiedziała ze śmiechem, nie troszcząc się o burzę. Nakarmiła pasztetem Margasa, otuliła się w szal i spokojnie wyglądała ułewy.

— Gdzie ten Marek marudzi? — burczał Ragis.

Deszcz zaczął padać strumieniem. Gromy były coraz częściej, wichur gwałt szczyty dębów. Schronili się wszyscy pod opiekuńcze konary Dewajtisa, chmury zbiły się w czarną oponę. Co chwila rozdzierał je wąż błyskawic.

— Zmokniesz, Iry! — wołał Marwitz, daremnie starając się utrzymać parasol.

— Już zmokłam — uspakajała go wesoło. — Patrz, co to za wspaniały widok!...

— Ja miłuję nade wszystko spokój — skarżył się żałośnie.

— Może choć Żyda ubiję! — pocieszał się Ragis — po każdym piorunie. — Ale gdzież ten Marek?

Marek dopiął swego. Poświcki koń doniósł go do miasteczka. Pieniądz zelektryzował potrzebną mu pomoc. Wracał pocztą, z urzędnikami policyjnymi co koń wyskoczy. Przedstawiciele porządku, zmokli trochę, pokrępiłi się w jurgiskiej gospodzie i, cali przejęci ważnością swej roli, stanęli na miejscu. Tam, na skraju dąbrowy, leżało dziesięć ściętych drzew, siedziała gromadka drwali, opodal młodzież z zaścianka — w środku Żyd przedsiębiorca, rwąc włosy, złorzecząc i zachęcając swych robotników.

Widział, że interes przegrał. Wściekał się w bezsilnym gniewie...

Burza już przeszła. Nad dąbrową rozpoczęła się inna wśród ludzi.

Urzędnicy położyli areszt na lesie — na mocy oświadczenia

Marka. Sprzedający nie był jedynym dziedzicem, nie miał prawa rozporządzać wspólną własnością.

Spisano protokół zabroniono dalszego wyrębu, rozpędzono robotników.

Na placu boju został Żyd, Marek i policja, kończąca raport.

— Nu, co to będzie? — zagadnął kupiec ponuro i wyzywająco — tu był gwałt, mnie pobili, ja skargę wnoszę! Ja dał pieniądze, oddajcie pieniądze!

— Ja nie brałem — odparł Marek.

— Nu, wasz brat brał! Co to będzie? To gwałt! rozbój! awantura!

Urzędnicy zakończyli swe czynności. Półgłosem, na uboczu, porozumieli się z Czertwanem, i odjechali gwiżdżąc, widocznie radzi ze spełnienia obowiązku. Marek podziękował szlachcie za odsiecz, spytał się o Ragisa i ruszył ku polance. Żyd szedł za nim.

— Ja swoich pieniędzy nie daruję! Albo las, albo kapitał oddajcie! Ja wam mówię: oddajcie! Przeczytajcie kontrakt: zapłaciłem dziesięć tysięcy gotówką. Ja ich nie daruję.

Marek milczał, jak głaz. Może nie słuchał.

— Nu, panie, po co swary? Ja panu dopłacę jeszcze dziesięć! Oddajcie las; więcej daję niż warto! Po co proces i awantura? — kusił ryży, zmieniając ton z zuchwałego na pokorny.

Znowu milczenie. Żyd dyszał jak w ciężkiej walce. Spróbował najdzielniejszego sposobu.

— Panie, u mnie jest na piętnaście tysięcy weksli waszego brata; ja wam oddam wszystkie za ten las. Placę na wagę złota. Róbcie zgodę.

Przez gałęzie świeciło słońce z polany. Marek oczy tam utkwiał i kroku przyśpieszył. Żyd wpadał w szal. Cera mu szerniała, oczy błysły złowieszczym wyrazem — zaszedł mu drogę.

— Nie chce pan? — wymówił ponuro — będzie proces! Nu, wasza wola, ale pamiętajcie, żebyście nie pożalowali! Ja więcej prosić nie będę!

Młody człowiek zmarszczył brwi, ruchem ręki usunął go ze ścieżki.

— Z drogi, gadzino! — zamruczał — idź, kłasaj, gryź, ale lasu tego nie dostaniesz za miliony. On mój był, jest i będzie! Zapamiętaj!

— Nu, zapamiętam! — odparł Żyd, zatrzymując się w miejscu.

Na polance już dostrzeżono wracającego. Powstali wszyscy troje i tym razem Irenka pierwsza do niego przystąpiła.

— A co? — zawoła — gdzie policja?

— Już odjechała. A pani tutaj burzę przeżyła? Czy się godziło? Zmoknąć, zziębnąć, i po co? — rzekł z cicha.

— Nie gorzej od pana zmokłam, a po co? Ot, tak mi się podobało. Już nie rąbią?

— Nie, wszystko spokojnie. Och! chrzestny tutaj i pan Marwitz!

— Strzegliśmy wspólnie pańskiego drzewa. Cóż pan robi dalej?

— Natychmiast jadę do Kowna.

Ragis podszedł i z daleka już wołał:

— Gdzie Białka?

Marek ręką machnął.

— Nie troszcz się o nią — rzekł posępnie. — Za Lejką mi padła dziś w nocy.

— Żywot z niej wyparłeś? Ach, szkoda, szkoda! A żreback?

— Nie wiem, co się z nim stało. Może też padł.

— Czyś oszalał? Cała nasza chudoba zmarniała przez jedną noc, a ty się nawet nie zafrasujesz?

— Nie ma czasu. Trzeba większe ratować. Do Kowna jadę.

Stary poczerwieniał z żalu i złości na tę obojętność, splunął, psy zawołał i bez pożegnania szybko się oddalił. Szedł szukać klaczy i żrebacka; nie spytał nawet o sprawę leśną. Żal mu było Białki faworytki i pieśczocho małego, który miał być tak rozumny, jak człowiek.

Długo szukał po pustkowiu. Do chaty nie zaszedł, choć

przemoknięty był do kości; błakał się, zlorzecząc i stękając. Psy wreszcie wpadły na trop i zaprowadziły go na miejsce.

Białka leżała nieżywa, skostniała, okryta całą błotem rzezułki, z krwią skrzeplą u nozdrzy. Siodło leżało obok, a nad nią z głową zwieszoną, chwiejąc się z głodu i chłodu, stał żreback sierota, trącał ją i rżał ochryple. Wokoło, z daleka jeszcze, krążyły czarne kruki i śpiewały pocziwiej klaczy na stypę. Wrony zuchwalsze opadły niżej i zaglądały w jej szklane oczy. Gdzieś w gąszczach zapewne czatowały lisy i wilki.

Ragis oparł się na kij i miał ochotę zapłakać, potem żal w złość przeszedł:

— Bodaj was piekło! złodzieje i szachraje! Jak te kruki za krzywdą latacie, bierzecie pot, siły, zdrowie, grosz krwawy! Biedna starucho, wartaś była lepszego końca! Nie dam cię wilkom i krukowi, zakopię głęboko. Lepszaś była od wielu ludzi. Już nie wstaniesz, nie usłyszysz! No, chodźże ty ze mną, sieroto! Nie nakarmi cię już matka i nie ogrzeje. Ale ja ci zmarnieć nie dam. Chodź do pustej stajenki, nie płacz!

Pociągnął żrebię za sobą, a biedactwo szło posłuszne, skarżąc się żałośnie.

Kruki krakały coraz przeciąglej, spuszczały się niżej i niżej na ucztę.

Nad pustkowiem zapadała noc i głusza. Skargę żrebacka uniósł wiatr i oddalenie...

IX.

Późnym wieczorem dzwonek pocztowy kołatał monotennie na pustym trakcie.

Zbliżał się ku rzece na prom jurgiski i wreszcie umilkł. Podróżny zatrzymał woźnicę, opłacił go i odprawił.

Zamiast jednak udać się za rzekę, skręcił w bok i boczną drogą ruszył w stronę Poświcia. Księżyc w pełni wypłynął na pogodne niebo i ciekawie w twarz mu zaglądał. Wędrowiec, jakby się wstydził światła, nasunął na oczy czapkę i krył się w cień drzew i krzaków, otaczających drożynę. Na szelest każdy nadstawiał ucha nieufnie; szedł, jak złodziej. Im bliżej dworu, tym krok jego stawał się żywszym, ruch każdy ostrożniejszym; kilka razy stanął i jakby się zawrócić miał, jednakże po chwili namysłu dążył dalej. Silniejsza snadź nad zastanowienie była ta chęć, co go niosła w tę stronę — nie do domu — w noc głuchą.

U parkanu ogrodowego zatrzymał się znowu. Cień drzew okrył go zupełnie. Uchylił czapki i otarł pot z czoła. Przez tę sękundę księżyc zaspokoił swą ciekawość, bo zajrzał w posępne oczy Marka Czertwana i musnął srebrną jasnością jego ciemne, ostre rysy.

Czego on tu chciał, w tym znienawidzonym przez się Poświciu? Nie potrzebował tu wracać jak niegdyś: miał swą zagrodę, był wolny.

Łukasz Gral, gdyby go spotkał z tym wyrazem niepokoju i tęsknoty, z jakim szedł, mógłby powtórzyć to, co on mu mówił na utyskiwania: «Masz, czego chciałeś!». Ale Łukasza nie było, a słabość i cierpienie cichego żmudzina widziało tylko noc, jak on milcząca, i słyszał chyba Bóg wielki w cichej modlitwie o ratunek.

Los człowieczy nieubłagany jest i mściwy. Pokarał Marka tym Poświciem właśnie, gdzie tak często narzekał, skąd się tak wydzierał. Zawracał go tam teraz nie mus i nie niewola, ale jakaś gorzka, nieprzeparła chęć. Los się na'grawał z oporu, z dumy, z zaciętości; jak zmore prześladował go dniem i nocą, gnał osłabłego z powrotem na miejsce dawnego wygnania.

«Jak pokutę przyjąłeś ojcowską spuściznę i narzekałeś. Idźże teraz sam, bo bez pokuty tej żyć już nie potrafisz».

Stojący u parkanu słyszał to ciągle. Myśl ta rozpałała mu gorącą zimne oczy, przeciągnęła kurczem bezustannej walki usta i czoło. Cierpiał jak potępieniec, z dnia na dzień tracąc dawne pragnienia, cele, opuszczając obowiązki.

Dziś w powrocie z Kowna o milę od domu, gdzie tydzień był nieobecny, nie pokonał pokusy. Poszedł, niepomny, że za rzeką praca go czeka i tysiące zaległych interesów. On, co się nikogo nie bał i nie wstydził, krył się jak złodziej; on co błogosławił niebu, gdy otworzyła mu się raz ostatni poświcka brama, wracał nocą przez parkan.

Okropna zemsta losu!

Znowu zbuntowały się w nim resztki dumy i siły woli — na próżno!

Zamiast się oglądać, przesadził sztachety, znalazł się w parku.

Brytany, posłyszawszy szelest, nadbiegły; stróż gdzieś gwizdał, spiesząc im z pomocą. Co będzie, gdy go zobaczy o tej porze? Krew oblała mu skronie żarem wstydu i upokorzenia, pomimo to szedł ku domowi, kryjąc się w najbujniejszą gęstwinę.

Szczęściem psy go poznały i, powitawszy, odeszły; stróż, może lękając się czarnej gąszczy, zawrócił też w przeciwną stronę.

Odetchnął.

Przecie on nie szedł tu kraść i krzywdzić; czegoż się lękał i wstydził?...

W domu ciemno już było. Na górze tylko świeciło w mieszkaniu Marwitza i na dole w sypialni.

Okno było otwarte, wiatr letni uchylał firankę, pod oknem stała lipa rosochata.

Można było łatwo zajrzeć do pokoju. Ale Marek nie szedł krzywdzić i kraść. Z daleka stanął, ręce założył na piersi, głowę oparł o drzewo i patrzył na to światło, ciężko oddychając. Los zaprowadził go dokąd chciał i rzucił na mękę i gorycz. A męka to musiała być ciężka, bo aż zbladł; a gorycz musiała być straszna, bo aż się ugiął i oczy przymknął, a wargi mu się poruszały słowami, o których nigdy ludzie się nie dowiedzą.

Ciemny, smukły cień przesuwał się w świetle. Irenka Orwidówna rozbierała się, spokojna o to okno i samotność swą sierocą.

On stał ciągle i patrzył. Nic więcej nie pragnął, tylko tu pozostać z bólem swym i rozkoszą. Dwa te uczucia splotły się w jedno; nie wiedział, w czym było gorsze nieszczęście i troska.

Nagle światło zgasło. Wzdrygnął się, rozplótł ręce, zwiesił głowę, i powlókł się z powrotem powoli. Róże tu pachły pięknie, księżyc jaśniej świecił, nie chciało mu się odchodzić. Nad Dubissą zaledwie oprzytomniał, bo tu już zaczynała się myśl o ukryciu tego wybryku. Należało zniknąć bez śladu. Wziął tedy łódkę najgorszą, kawał deski za wiosło i cicho odpłynął. Rzeka zacierała znak wszelki, głuszyła szelest czółna. Na drugim brzegu wyskoczył, deskę z łodzią puścił na fale, sam zniknął.

Teraz, oprzytomniawszy, biegł klusem, układając bajkę na zapytanie Ragisa, skąd przychodzi pieszo o tej porze. Raz pierwszy w życiu nie powitał Dewajtisa, nałożył parę wiorst drogi na szlak od promu, i już na tym legalnym miejscu zwolnił kroku. Tu mógł go każdy spotkać.

Ale noc zapadła i nikt się nie ruszał. Drugie kury piał w Sandwilach, gdy wkroczył w ulicę. Obojętnie wiódł wzrokiem

po zagrodach: ciemne były, tylko w chacie Grala przez szybki czerwieniał ogień na kominie.

Nie zdziwiło to Marka. Smutny człek może także w nocy już wrócił z polowu.

Chciał wejść i spytać o rezultat, ale obecność Marty wstrzymała go. Zobaczą się jutro. Nic pilnego.

Rzeczywiście, od pewnego czasu Marek lekceważył w ten sposób każdy interes. Nie cieszyła go pomyślność, nie martwiło niepowodzenie.

Szedł dalej. Dziwna rzecz, jak zaścianek, pomimo nocy, dymem był otoczony. Skąd ten zaduch? Obejrzał się. Wszędzie cisza i spokój.

At! pastuszki może ogień gdzie niecą z mokrych gałęzi; stąd dym się ciągnie.

Wtem coś mu wpadło pod nogi. Był to Margas. Marek się schylił, by pogłaskać psa, i spostrzegł przerażony, że zwierzę było osmalone, bez sierści, z kilku okropnymi ranami.

— Co ci się stało, Margas?—zawołał.

Pies zaskomlał żałośnie i pobiegł na przód, oglądając się za panem.

Jeszcze kilkanaście kroków i zrozumiał wszystko: rany psa i zaduch dymu. Nie od pola one smugi szły gryzące, ale stąd, dokąd dążył na nocleg. Spojrzył i stanął, a Margas popatrzył mu w oczy, zawył raz i drugi. Potem nikt się już nie odezwał.

Jak czarna, szeroka rana, leżała przed Markiem jego posiadłość. Zamiast budowli, domu, ogrodu, płotów—kupa dymiących zgłiszcz i pustka!

Komin chaty sterczał jak widmo, szkielety opalonych drzewek odcinały się na tle jasnej nocy, z rumowisk bezkształtnych wiatr podnosił dym i duszące wyziewy spalenizny. Nie zostało nic: ani węgla, ani kołka, ani znaku, na którymby oko można zatrzymać.

Kwadrans, pół godziny, gospodarz tego pogorzelska stał i patrzył. Przetarł dłonią oczy, myślał, że majaczy, że śni, że zmora go trapi. Nie; przytomny był, i to, co miał przed sobą, nie zniknie, ale zostanie, i w blaskach ognia, i w obliczu

słońca. Rozpacz, jak ćwiek, powoli wbijała się w mózg. Osuwały się zmęczone nogi. Usiadł ciężko na kamieniu, który znowu, jak przed rokiem, stanowił płot, głowę wziął w dłonie i jęknął:

— Boże, Boże! com ja ci zawinił?

Margas, jakby zrozumiał ból, podszedł do niego i skomlać, lizał po rękach. Marek podniósł oczy, wstał.

— A gdzie moi są, Margas? — spytał — przecie żyją?

Pies w odpowiedzi zawrócił do zaścianka. Prowadził pana. Idąc za nim, Marek, doszedł do chaty Grala, i już bez namysłu otworzył furtkę. Na skrzyp wrót w chacie się zaruszano, ktoś wyszedł naprzeciw niego.

— Kto tam? — spytał cicho głos Ragisa, dziwnie zmieniony.

— Ja — odparł już po swojemu, spokojnie.

— Skąd idziesz?

— Z pogorzeli. Zdrowicie wszyscy?

— Nie, synku, Gral umiera — szepnął stary przez łyżę.

— Umiera? Co mu takiego?

— Ratował chatę, wpadł pod belki, potłukł się i poparzył. Tizeci dzień dogorywa, tylko co pleban odjechał. Chodź!

Weszli. W izdebce pod świętym obrazkiem smutny chłopak leżał, cały w ranach, zmieniony do niepoznania. Nad nim we łzach siedziała Marta z panną Anetą, dalej kilku kolegów z zaścianka.

Dziwna rzecz! Przez całe życie Łukasz skarżył się i smucił; teraz, wobec śmierci tak bliskiej, pomimo cierpienia, leżał cichy i uśmiechał się.

Marta klęczała obok postania, rękę wsunęła mu pod głowę, łkanie rozdzierało jej piersi. A on się uśmiechał przez swe rany i trud przedśmiertny, jakby go dopiero teraz nic nie bolało i nie smuciło.

Panna Aneta, zgarbiona, znękana, nie szukała już w ziołach i maściach ratunku, a Gral o nic nie prosił: ani o lek, ani o wodę; w twarz Marty patrzył z jasnością w oczach niebywałą i uśmiechał się pogodnie. Na widok Marka ręką poruszył: wzywał go bliżej.

Olbrym pochylił się nad nim.

— Miłosierdzia nad samym sobą nie miałeś, Łukasz! — rzekł wzruszony.

Umierający potrząsnął głową.

— Nie, nie — zaprzeczył — Bóg chciał. Twoje pieniądze u chrzestnego, oddałem. Dziękuję ci za wszystko, coś zrobił. Jam rad, och, rad!

Znowu na Martę oczy zwrócił, i dodał ciszej, jakby do siebie:

— Żebyś wiedział, jak mi dobrze, jak dobrze... dobrze!

Zasunęły się powieki. Uśmiech został i na zawsze już zastygł na rysach.

Ragis odmówił pacierz, westchnął i wywołał Marka na podwórze.

— Żyd w więzieniu! — rzekł — złapał go Grenis z twoim psem!

— Kiedyż się to stało?

— Pożar? We czwartek, na drugi dzień po tej awanturze. Ja byłem na Żwirblach, panna Aneta na plebanii, odwoziła kościelną bieliznę z prania, Grenis grabił siano za ogrodem, i — jak się pokazało — zasnął. Margasa zostawiłem na straży w stancji i sam poszedłem do roboty. Raptem dym buchnął, potem płomienie. Rzuciliśmy się wszyscy, zaściankowi za mną; sądny dzień! O włos nie zajęła się zagroda Wojnata, ale wiatr gnał w pole, uratowali. Gral właśnie od jeziora wracał; jak ćma lazył w ogień, wyrzucił kuferek panny Anety i obrazek święty, potem go belki przywaliły; dobyliśmy zduszonego! Ledwie ocucili, i ot, na nic!

Pochylili głowy żałośnie.

— I było zgorzało? — zagadnął Marek.

— Tylko cieleća; woły i konie na paszy były, a żrebaka to własnoręcznie uratowała poświcka panienska z Julką.

— Była panna Orwidówna? — wyjąkał Marek.

— Był kto żyw: i Hanka nawet, choć jej matka nie puszczała, i Sawgard z parobkami, i chłopci ze Skomontów. Było komu ratować, i woda o krok; cóż, kiedy zbrodniarz

podпалиł w czterech miejscach, a tu co? słoma i smolne drzewo! Cztery godziny czasu i po wszystkim!

Marek otworzył usta, zająknął się i zamilkł.

Z chaty wyszła panna Aneta i zbliżyła się do nich.

— Odstąpiłam tej biednej, żeby cię przywitać, moje dziecko kochane! — rzekła, obejmując schyioną głowę młodego. — Nie upadaj na duchu! Gorzej temu, co podpałał. Nie minie go sąd ludzki i boski, a ty znowu odbudujesz! Kogo Bóg chce koronować, tego wprawdzie biczuje. Zobaczysz, rychło ci koniec trosk nastanie! Byle *zdzierzeł* w milczeniu i w spokoju. A dzięki Bogu, żeś nie stracił nikogo drogiego, jak ta oto kobieta!

— Ja, ciotko, niczym kochaniem nie poniewierałam, jak ona! Słusznie płacze, tylko się opamiętała za późno! Grał szczęśliwy, szedł jak na gody! Gorzej żyć.

Złożyła ręce, jak do modlitwy.

— Mój chłopcze kochany! moje ty dziecko biedne! tylko tę niedolę jeszcze zniesz, tylko ten raz jeszcze wytrzymaj! To już ostatnia boża próba. Rychło odpoczniesz.

— Daj Boże, jak Gral! — zamruczał ponuro.

— Milcz, chłopcze, nie bluźnij! — wtrącił Ragis. — Nie takie klęski my z twoim ojcem przeżyliśmy, a wytrwali! Poczekaj ranka, opamiętaj się!

— Jam spokojny, tylko już widzę, że niczego się nie dokołacę... Poczekam ranka i pójdę do pracy. Ciozia mówi, że to ostatnia troska? oj nie! Słyszałem w Kownie, że mnie Witold pozwał na sąd obywatelski. Wręczyli mi papier. Za tydzień mam się stawić na plebani. Macocha zebrała swoją rodzinę; wiem ja, jak osądzą!

Starzy umilkli zafrasowani, po chwili zaledwie ozwał się Ragis:

— Możesz nie pójść...

— Cóż z tego? Dziś zagrodę, jutro spalę Żwirble, pojutrze Ejniki, potem jurgiskie młyny! Trzeba kończyć! Czy tak, czy owak, zewsząd zguba.

Machnął ręką i usiadł na przyźbie.

— Żyd pójdzie w *katorgi!* — rzekł Rymko.

— Co mi z tego? Ja je już mam tutaj, te *katorgi!* — zamruczał, wskazując na piersi.

Panna Aneta usiadła obok niego.

— Nie sam jesteś na świecie, Marku! Jak się paliło, to patrzyła spokojnie, ale lzy mnie wzięły, gdy zobaczyłam, że oto w nieszczęściu policzysz przyjaciół... Są dobrzy ludzie, oj są! Sambyś tak nie ratował, jak chłopci ze Skomontów i Poświcia, i nie płakałbyś tyle, co stary Dowgird i Hanka poczcziwa... A panienska z Poświcia.

— To cały zuch — przerwał Ragis. — Konno przyjechała z tym cudakiem!

— Nie cudak, dobrodzieju, nie cudak — przerwała panna Aneta — a ktoś klatkę z ptakami z okna odczepił? Hanka powiada: najgorzej mi szkoda tych śpiewaków w niewoli. Skoczył młody Downar, nie wytrzymał żaru; skoczył Wawer Ejnacki, wrócił poparzony; a ten cudzy poszedł sobie powoli, włosy osmalił, ręce popiekł i przyniósł jej klatkę. Jeszcze żywe były ptaszęta...

— Tylkoż one się zostały. Nie ma Igiełka i Żywusi, i Żurasia, i Robak spał w izbie! I flet się spalił; nie zagram już, bo i nie ma dla kogo!

Marek znowu chciał coś rzec i usta zagryzł.

— Oj dużo, dużo dobrych ludzi na ziemi! — pokiwała głową staruszka — lżej cierpieć, gdy się o nich pomyśli! Nazajutrz znieśli nam krup i słoniny, kto co miał. Rok głodu nie będzie.

— A najmilszy dar przyniósł Pan Bóg z nimi, bo jakąś wielką otuchę i cierpliwość — dodał stary — a i czasu na myślenie długie nie było, bo ratowaliśmy tego biedaka. Siedziała nad nim czarna Julka, dwóch felcerów, ksiądz, panna Aneta... Nie dali rady! Ot go i pochowamy teraz! Powiedz co, Marku, czyś oniemiał?

— Albowiem kiedy co gadał? — zamruczał Czertwan.

— Nieboszczyk twój ojciec takim był. Nie gadał, a żywot cały cicho pracował. Naturę ci swoją dał. Nie ustaniez ty w trudzie, jak i on, i nad wszystko wyrośniesz! Oj, znam ja cię,

znam, mój ty chłopaku kochany! — szepnęła łagodnie panna Aneta, wstając.

Raz jeszcze objęła głowę Marka i przycisnęła do piersi swej poczciwej, potem otarła oczy i rzekła:

— O biedzie swej zamilczmy, bo mniejsza, niż ta, w tej chacie. Idźcie, dobrodzieju z Markiem, ubierzcie tego biedaka w świąteczne szatki, a ja mu w sieni uścielę posłanie; chłopaki mi pomogą.

Skinieniem wywołała młodzież z izby. Wysunięto tapczan, nakryto go kilimkiem, jeden ruszył po światło, drugi po deski na trumnę.

Marta leżała osłabła, jęcząc głucho, na ziemi. Tak im ta noc zeszała.

Pierwsze promienie słońca weszły do sieni Grala i cicho objęły jasnością katafalik. Ubrany odświętnie, prosty, wyciągnięty, młody leżał i uśmiechał się wciąż. Popalona jego twarz wypiękniała tym wyrazem, w złożonych rękach trzymał drewniany krzyżyk, a zdala, po rosie wołały go dzwony kościółka, te same co mu b'ły na chrzest i wesele, stare znajome, i na cmentarzyku czekał nań grób w żółtym piasku i krzyżyk sosnowy! A on się uśmiechał.

Przed progiem Marek z Downarem heblowali białe deski na *domowinę* ostatnią. Ragis na wieku już gotowym wyrzynał niekształtne litery, panna Aneta szyła mu poduszkę do tej pościeli z wiórów, Marta płakała bezustannie.

Na głos dzwonów schodzili się sąsiedzi. Z uszanowaniem, z głową odkrytą, odwiedzali go. Był dnia tego najstarszym w zaścianku. Doczekał się chwili, że po nim płakała żona, żalowali znajomi, chwaliли najobojętniejsi, a Czertwan sam na niego pracował jak wyrobnik. Nie dziw, że się tak błogo uśmiechał!

Ludzie, wychodząc, otaczali Marka, ciekawi, czy też się zmienił choć trochę, ale on od smutnej swej roboty oczu nie podnosił i ledwie odpowiadał na przyjazne słowa. Może wedle swego zwyczaju, nie słuchał, zajęty czymś innym? Pochylony, z włosami zakrywającymi pół twarzy, heblował deski.

— Pan już wrócił? — zabrzmiał mu nagle znajomy głos.

Zatrzymał się. Do Julki Nerpalisówny wyciągnął spracowaną dłoń.

— Dziękuję pani za ratunek! — rzekł.

— Nie na wiele się przydał! Szkoda mi pana serdecznie. Hanka aż zapuchła od płaczu. Pani Czertwanowa zamknęła ją w domu za kare, że biega, jak ulicznik na widowiska! Naturalnie, cytuje nie swoje słowa. Ładne widowisko, nie ma co mówić! Kupa rumowisk z tak'ej pracy, a tu z człowieka w sile wieku garść próchna! Widowisko istotne!

Aż pokraśniała poczciwa dziewczyna i mówiła po chwili dalej:

— Panna Orwidówna mówiła mi, że zasnąć nie może. Szlachetna to dusza! Choć nie płacze, ale znać, że dotknięta mocno pańską niedolą. Nawet pan Marwitz chodzi osowiały. Stracił w pożarze faworyty i skórę na rękach. Ratował dla Hanki szpaka i kosa!

— I pani uratowała żrebaka! — wtrącił, nie przestając roboty.

— Nie ja sama. Panna Irena posłyszwała rzenie w stajence. Zapomniano o nim. Otworzyliśmy drzwi, nie chciał wychodzić; poszliśmy tedy do środka i siłą go wydostałyśmy. Potem zaraz budynek się zawalił. Najlepiej sprawił się ten ospowaty parobek. Żyda złapał, jak się przekradał ogrodami. Znalaziono przy nim butelkę nafty, zapalki i gałgany. Wyznał ze strachu, że mu kupiec leśny dał za tę robotę dziesięć rubli. Wtedyto, panie, nastąpiła okropna scena. Nie widziałam nigdy takiego przeistoczenia w jednej chwili, jak na twarzy pana Marwitza i owego parobka. Jeden zzieleniał i ochryplym głosem wołał: *lynch, lynch!* a chłop tak się rozwściekił, że włókł Żyda prosto w ogień. Żeby wyszczerzył, oczy mu zaszły krwią i krew, zdało się, wytryśnie mu z każdej blizny po ospie! Żeby nie Hanka, wymierzonoby doraźnie sprawiedliwość, ale ona zaczęła błagać pana Marwitza i wołać pana Ragisa! Czterech ludzi ledwie wydarło ofiarę z rąk parobka. Potem nic już robić nie chciał: siadł i płakał jak bóbr!

— Czemu tego nie powstrzymali? — zauważył z goryczą, wskazując głową umarłego.

Julka obejrzała się ostrożnie i zniżyła głos:

— Mnie się zdaje, że on sam śmierci szukał, bo można było jeszcze wyskoczyć, gdy belki zaczęły trzeszczeć. Powiadają, że on oddawna czekał okazji. Kto wie?

— Kto wie? — powtórzył Marek, biorąc w rękę piłę.

Przypasowali deski, zaczęli je zбивać. Młoty stukwały monotonnie, z cicha.

— Pan i stolarz? — zauważyła Julka.

— Za młodu z ochoty się poduczyłem, i dobrze, bo to stary zwyczaj, żeby zmarłemu nie obcy, lecz najbliżsi klecili trumnę. On rodziny nie ma.

— Swoją lepiej zrobi, wygodniej pościele! — zauważył Downar.

— A gdzież żona?

— Płacze — rzekł lakonicznie Marek.

Młody szlachcic znowu się wmieszał do rozmowy.

— Za życia on płakał a ona się śmiała, a śmierć to wszystko obraca na opak.

Wtem turkot się rozległ na ulicy. Spojrzeli wszyscy. Z małego powoziku, założonego parą ślicznych koni, wysiadła Irenka Orwidówna, sama, bez Clarka. Czarno była ubrana i dużo bledsza niż zwykle. Julka, Ragis i panna Aneta rzucili się żywo na jej spotkanie; jeden Marek się nie ruszył i tylko, gdy przechodziła, ukłonił się głęboko. Weszli za nią wszyscy do zwłok i w tejże chwili Downar rzekł:

— A gdzie to, Czertwanie, bijecie ten ćwiek? Toż tam już dwa białe?

Po dość długiej modlitwie, wyszli wszyscy, i otoczyli kołem Marka. Irenka popatrzała na trumnę i rzekła:

— Wstyd panu, panie Czertwan! Ten, co tam leży, uśmiechnięty jakiś, wesół, daleko pogodniejszy od pana!

— Uśmiecha się! — pokiwała głową panna Aneta — jest racja, moja śliczna panienko! Duszę jego anielską Bóg za pokutę włożył w nędzne ciało, więc ciągle się skarżyła i płakała... A wychodząc na swobodę z radości musnęła po licach skrzydłem i ot po niej znak taki jasny pozostał...

Na to określenie Julka uśmiechnęła się mimowoli, Downar otworzył szeroko usta i oczy, Ragis ramionami ruszył. Tylko Marek niczym nie objawił wrażenia, a Irenka zauważyła:

— Jabyśmy rada zobaczyć to u pana Czertwana przed śmiercią jeszcze... Ejże! mnie się zdaje, że pan powinien weseleć i rość po każdej biedzie...

— Tak to i będzie! — potwierdziła ciotka. — Jeszcze on urośnie, nad wszystkich wyrośnie! Będzie możny pan, i wielki, i szczęśliwy! Doła buduje się na kłękach!

Coraz więcej ludu napływało. Kobiety zaczęły zawodzić, wedle obyczaju; ścisk się robił na podwórzu.

— Chodźmy stąd — rzekła Julka — trumna prawie gotowa. Zabiorę pana Marka, stryj mnie z tym przysłał. Może pan tymczasem przyjmie na plebani gościny. To, co ocalało w pożarze, już tam zwieziono. Chodźmy!

Ostatnie ćwiki wbito w deski; ukończyli cieśle swe dzieło i ustawili pod ścianą.

— Dziękuję pani! — rzekł Marek — nie czas gościć. Pogorzelsko trzeba uprzątnąć, za drzewem się obejrzeć, na jezioro wieczorem pojechać. Chrzestny niech idzie do proboszcza o pogrzeb się umówić i wypocząć nieco. Mnie się nie chce ani wczasu ani jadła! I cici warto odetchnąć...

— Ja się tu zostanę, Mareczku; jeśli ci niepotrzebna, z niebogą tą posiedzę. Tyle tu roboty i troski, a ona jedna!

— Chodźmy tedy na pogorzelsko, panie Czertwan! — zawołała Irenka. — Mamy dzięki Bogu lasy pełne drzewa! Odbuduje pan rychło!

— Za co? — pomyślał, idąc za nią. — Ostatniemi czasy robota polowa, reparacja młynów, wypłaty Kazimierzowi, Hance, macosze, proces o dąbrowę, wyczerpały jego zasób. Miał zaledwie marną sumę.

Ragis z Julką szli opodal. Obejrzała się na nich i, zniżając głos, rzekła prosząco:

— Czy pan się nie obrazi na mnie, gdy go o coś poproszę? Mnie się zdaje, że połowa natury pana składa się z monstrialnej dumy i hardości, a druga połowa z zaciętości strasznej, żeby

milczeń i niczego nie okazać! Ja wiem wiele o panu i czasem mi okropnie żal pana, a czasem gniewam się istotnie. Po co się męczyć bez racji, bez potrzeby? Oh, warto pańską duszę w ogień włożyć, a potem kuć na inną formę, bo ta stara jest nieludzką w swej zaciekłości!

Nic nie odrzekł, błędząc wzrokiem po ziemi.

— Czemu pan milczy i wobec mnie? Jam panu tak życzliwa — z całego serca! Mnie pan swym spokojem nie oszuka. Ja wiem, że za nim w duszy pana wre męka i piekło!

Zadrżało mu ramię. Nieufnie oczyma przez sekundę spoczął na jej oczach i po chwili niewyraźnie odparł:

— Piekło—nie! Męka nie jedno z potępieniem!

W źrenicach rozsypały się złotawe skierki.

— Po co się męczyć na próżno? Nie pomoże panu milczeniem! Kto zechce zrozumieć, zrozumie! Nie zwalczy pan jednej rzeczy—nigdy!

Poczerwieniał i kurcz bólu drgnął mu na licach, jakby dotknęła ciężkiej rany.

— Uchowa mnie przed nikczemnością Bóg miłosierny i ojciec nieboszczyk w niebie! Jeszczem ja przed niczym nie uległ, co grzeszne!

Brwi jej się zbiegły groźnie.

— Nie rozumiemy się, panie! To, co ja myślę, nie jest ani grzechem, ani nikczemnością, i dlatego właśnie złamie pana, bo wielkie i dobre!

— Nie stoimy na równi i rzecz każda inne ma lica dla mnie, inne dla pani — odezwał się po chwili namysłu.

Ragis z Julką dopędzili ich: stali nad zgłiszczami.

Stary wszedł między rumowiska i zwrócił się do Marka:

— Bocianięta z gniazdem spadły w płomienie; widzisz, jak stare krążą nad nami? A w tym popiele Igiełko mój się upiekł! Nic nie zostało!

Marek postąpił parę kroków i butem rozrzucił zwęglone resztki chaty. Nagle coś mu zadźwięczało pod nogą, schylił się i z żuźli tych podniósł osmalony przedmiot.

— Zostałeś ty jeden! I cały—zawołał półgłosem, z wybuchem głębokiego wrażenia.

Był to rycerz czarny, z blachy rżnięty. Płomień go odstał — nie tknął najmniejszego rysu. Niezmieniony — pędził na swym czarnym rumaku z mieczem w prawicy, z tarczą u ramienia. Julka poskoczyła na przód.

— Nasz rycerz! — krzyknęła z błyszczącymi oczyma, spoglądając dumnie ku niemu. — Skąd go pan ma?

— Zawsze mi nad posłaniem był i został!—wymówił młody człowiek, cały przejęty.

— O! ten się klęsk nie boi!... Zahartowany oddawna!... — rzekła siostra Olechny z uśmiechem dumy.

— Co to jest? — zapytała ciekawie Irenka, podchodząc.

— Nasz rycerz! — powtórzył Marek, ocierając troskliwie znak z prochu.

Zrozumiała. Wyciągnęła po niego rękę i długo się przyglądała w milczeniu.

— Potężny!—szepnęła, jakby do siebie.

Ragis podszedł i także radośnie uderzył w dłoń.

— Oho, jest Wejdawutas! No, to i chwała Bogu! Znowu my wszyscy!

— Co to Wejdawutas?—spytała Irenka.

Ragis oparł się na kiju i rad, że go ktoś obcy słucha, powiedział:

— « Bohater to był wielki — nasz pierwszy! Bohater, choć świętę nosił i krowy pasał u sługi królewskiego... A gdy smok kraj trwożył, z morza wyszedłszy, król posłał generała, ale Wejdawut go uprzedził i ubił smoka...

« Chwałę wziął generał, a on milczał i po staremu krowy pasał...

« I przyszedł gorszy smok, a on go też ubił, a generał tylko z nieżywego głowę ściał i sławę posiadał. A Wejdawutas milczał i sławy nie dochodził, bo mu jeno o bój szło i ziemi dobro chciał zrobić...

« A trzeci smok taki był straszny, że król obiecał córkę temu, co go pokona. I Wejdawutas znów poszedł samotrzeć i w milczeniu do zarania walczył, krwią spłynął i ubił potwora.

Ale, jako zwykle, po nagrodę nie poszedł, tylko do krów wrócił i służył w cichości...

« A generał znalazł nieżywego smoka, głowę mu ścił i na zamek wrócił...

« Zgotowano gody, ale Wejdawutas nie pił, nie weselił się — kazano mu łąźnie palić. A gdy napalił, siadł rany swe obwiązywać, co mu krwią ciekły, i tak go zesła królowna...

« Pyta się: kto cię pokaleczył? — a on milczy; — ktoś ty? — a on milczy, tylko wpatrzył się w nią i oniemiał z zachwytu...

« Doniosła tedy ojc. Wzięto go na spytki, a on milczał; więc ona znowu jęła go prosić — i wyznał...

« Tedy poszła wieść — generałowie się zapierali, chcieli go zgubić...

« A on wtedy powstał i rzekł: « A gdzie zęby smocze z tych głów, coście królowi przynieśli? » Nie było zębów, bo on je pierwej wydarł i schował...

« Przyniesiono więc zęby i urósł Wejdawut, Jako orzeł i jak dąb nad lud cały. I dał mu król córkę za żonę, i uczynił synem i wodzem, a generałów potracił!... ».

Umilkł Ragis. Irenka słuchała go mocno zajęta. Zrozumiała wszystko... Język ojczyzny codziennie jej się stawał jaśniejszym.

Podczas opowieści podniosła oczy na Marka — iskrzyły się jej zapałem. Triumfowała z czegoś, co on rozumiał widocznie, bo gdy Ragis skończył, poruszył się żywo, poczerwieniał i rzekł:

— Nie dokończyliście, chrzestny, jako starzy kończą: « I rzekła królowna do Wejdawuta! czemuś milczał? a on jej odparł: bom ja nie godzien był chodzić w takiej jasności, ani słońce za żonę brać, bom ja pastuch krowi i nędzarz!... ».

— Ot! wymyśliłeś! — oburzył się stary. — Będziesz mnie bajek uczył? Nie wiedzieć co! Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby w bajce było, co kto z żoną po ślubie gada!

Julka parsknęła śmiechem na tę admonicję, Marek zawstydzony krwią się oblał.

— Matka mnie tak uczyła... — zamruczał.

— Chyba, bo to babskie gadanie, co sensu za grosz nie ma!

Julka spojrzała na Irenkę, potem na Czertwana i znowu na Irenkę. Coś kombinowała w swej bystrej, kędzierzawej głowie.

— A ja nawet słyszałam, co Wejdawutowi odpowiedziała żona! — zawołała, śmiejąc się.

— At, durzycie mi na złość głowę! — zakrzyczał Ragis, odchodząc, ale Irenka zawołała:

— Co powiedziała, panno Julio? Słuchamy.

Julka zrobiła minę scrio i głosem Ragisa rzekła:

— Tedy królowna rzekła: « Nie pastuchem jesteś, ale bohaterem, i większa jasność z twego czynu i miecza, niż z mojej korony! ». Skończyłam.

— Zle powiedziała królowna! — zadecydowała panna Orwidówna, wstając i potrząsając wyzywająco głową. — Powinna była rzec: równiśmy sobie, bo cię kocham, a ty mnie. Tyś mi nie pastuch, ale mąż, a ja nie królowna, ale żona! Bądźmy szczęśliwi!... Nie prawdaż, panie Czertwan?

Marek oczy wbił w ziemię i długo milczał.

Julka zaśmiała się i odeszła do Ragisa w stronę okopconych ulów.

— Nieprawdaż, panie Czertwan? — powtórzyła panienska.

— Wejdawut powinien był do końca cierpieć i zęby ścisnąć! — zamruczał.

— Tedy by zmarniał i zginął! Największy rozum; do czasu milczeć i do czasu mówić. Dlatego on bohaterem i pan go za pierwowzór ma. Proszę tej bajki nie zapominać i nie zmieniać wedle fantazii! Daruje mi pan swego czarnego praojca? To jakbym miała pana portret!... Mogę go sobie wziąć do Poświcia?...

— Proszę, pan!

— Dziękuję, Wejdawuciu!... — rzuciła z uśmiechem.

Obejrzała się po ruinie i spoważniała natychmiast.

— Wracając do naszej rozmowy, czy pan się nie obrazi na mnie, gdy o coś bardzo, bardzo poproszę?

— Jak trzeba coś dla pani zrobić, gotowym.

— Niech pan przyjmie ode mnie drzewo na budowlę. Niech

pan mi robi tę łaskę...

— Dziękuję pani!

— Zgoda zatem?

— Nie, pani! Za dobre słowo wdzięczny będę, ale nic mi nie trzeba!...

— Nie cierpię pana! — zawołała z gniewem w głosie i ruchu.—Nie ma pan serca i delikatesności! Myśli pan, że to lekko i przyjemnie znosić tę całą górę obowiązków, jakie się wam zebrały u mnie przez ćwierć wieku?!...

Zwróciła się szybko i odeszła. Powóz na nią czekał w ulicy; chciała wsiąść, ale sobie coś przypomniała i stanęła.

— Panno Julio!—zawołała—czy pani ma chwilę czasu? Chciałabym poprosić panią ze sobą dla walnej narady.

— Służę pani, i owszem! — odparła studentka.

Ragis je przeprowadził. Wsiadły obie.

— Do zobaczenia, panie Marku! — pożegnała pozostałego opodal Julka.

Irenka odwróciła oczy w przeciwną stronę i nic się nie odezwiała.

Konie ruszyły. Za osadą, około kapliczki z figurą świętego, stał tłum wieśniaków, który coraz się zwiększał; widać było stroje ze Skomontów i z Poświęcia, zmieszane z barwną mozaiką, jak na kiermaszu. Odświętnie ubrani, sama snadź starszyzna, zbierali się w gromadki i radzili żywo. Przez całą drogę spotykali co krok opóźnionych; dążyli, jak na wiec jaki pod figurę.

— Co to się stało? *Meeting?*—zauważyła Amerykanka.

— Pewnie do stryja ze sporem o granicę — odparła Julka — jest to ich najwyższy trybunał! Słuchają lepiej, niż wyroków senatu. O, dobry to lud i nawskroś zdrowy jeszcze. Tu socjali-zmu nie zaszczepią!... I ja z tego rodu pochodzę. Dziad miał chatę w Saudwilach i grunt, i mój brat marzył wrócić do niej, skończywszy nauki. Gdy umarł, stryj z ojcem oddali ziemię na szkółkę. Została chata i ogród. Jak wrócę z patentem, zamiast brata, to w niej osiedlę!... Ale ja baję, a pani ma interes do mnie...

— Nawet ważny! Cóż panie zrobią z Marwitzem? Człowiek oszalał za panną Anną! Jestem udręczona jego wzdychaniami; jest to całe morze sentymentu! Jakże się to skończy? Ulokujże nareszcie ten legendowy pierścionek i poczciwe serce!...

— Pierścionek, który pani odrzuciła, jak nam z całą szczerością opowiadała.

— Żebym zdołała wykrzesać z siebie choć odrobinę uczucia dla niego, niezawodnie ją przyjął, bo człowiek to nieposzlakowanej prawości, dobroci, inteligencji i pracy, pomimo koszlawego pozoru. Ale ja tam w Ameryce zostać nie chciała, przez pamięć na ojcowską wolę, i nie kochałam go.

— A Hanka do Ameryki za nim nie pojedzie, choć sędzę, że go trochę zaczyna lubić...

— Zaczyna? Chwała Bogu! To już wiele!

— Po drugie, nie zerwie studiów raz rozpoczętych; po trzecie, nie pójdzie za inowiercę! Żeby pan Marwitz czekał trzy lata i zmienił wyznanie, to możeby się zgodziła przyjąć ów niefortunny pierścionek!

— Istotnie, dużo przeszkód! Muszę go wyprawić za ocean i napisać do ojca. Skarb ten polecał mi pan Marwitz tak usilnie, jakby to był pakunek szkła! Ładnie się wykierował! Wróci okiereszowany i nadtluczony, ale to chyba nie moja wina...

— Zapewne i nie Hanki!...

— Temu wszystkiemu winne tylko pszczoły panny Anety! Pamięta pani?

Obiedwie zaśmiały się na wspomnienie zabawnej sceny.

— Kiedy panie wracają do Paryża?—zagadnęła Irenka.

— Wyjeżdżamy po jutrze! Za tydzień otwarcie kursów.

— Szkoda mi pań bardzo. Stracę jedyne towarzystwo!

— Bywa pani w Skomontach?

— Tylko dla Clarka zrobiłam to ustępstwo, a on razem z wyjazdem pań straci interes odwiedzin. Nie mogę tam bywać, bo nie cierpię dwulicowej roli!

— Poznała pani Janiszewskie?

— Smutna perspektywa. Babka stęka, a wnuczka coraz posepniejsza i chudsza. Czy pani nie ma innej pociechy?

— Ma pani pana Czertwana.

— Mam go dosyć! Wolę nie widzieć i nie irytować się! Julka poruszyła głową zdziwiona.

— I pani na niego, jak wszyscy! Dziwny los! Cały świat albo się go boi, albo nie lubi i obchodzi zdaleka!

— A pani?

— Ja jedna mu wierną zostanę. Stara to przyjaźń i nigdy niezawiedziona. Jest to człowiek bez skazy i słabości.

— Właśnie dla tego nieznośny. Brak mu kilku skaz i choć jednej słabości. Byłby trochę pokorniejszy i dostępny.

Julka zaśmiała się wesoło.

— Czego się pani śmieje?—spytała Irenka.

— Bo z tego pani określenia wnoszę, że pani tę kwestię traktuje nie ojektywnie, jak ja, ale subiektywnie. Dlatego w sądzie o panu Czertwanie nigdy się nie zgodzimy.

Irenka pokraśniała nieco.

— Ma pani słuszność! — potwierdziła z całą szczerością. — Najgorzej to mnie gniewa, że i on wszystko traktuje ojektywnie.

— Oj! coś mi się zdaje, że pani się myli. Ja w nim widzę wielką zmianę od pewnego czasu. Bardzo to podobne do owej słabości, której brak zarzuca mu pani. Ja mam oczy przyszłego doktora i prorokuję, że z tej skazy urośnie mu śmiertelna choroba i ciężka wada serca!

— Tegobym tylko chciała!—rzekła wesoło Irena.

Powóz stanął przed poświckim gankiem. Naprzeciw nich wyszedł Marwit skrzywiony, żując w ustach resztki cygara. Na widok Julki poszukał kogoś jeszcze oczyma i westchnął jak wieloryb.

— Cóż porabiałeś, Clarke?

— Złowiłem cztery rybki!—wymówił smutnym tonem.

— My tymczasem rozprawialiśmy o twych losach. Wiesz, że te panie po jutrze wyjeżdżają?

— Wiem, jestem upakowany.

— Ty? Po co? Wracasz do Ameryki?

— Jadę do Paryża.

— Zwariowałeś!

— Iry! Ty zawsze ze swoją prędką decyżją!—upomniał żałośnie.—Jadę do Paryża, zajmuję sobie pokój w pobliżu i czekam.

— Ciekawam czego?

— Skończenia kursów panny Czertwanówny.

— Trzy lata? Człowieku, opamiętaj się! A ojciec? a fabryka? a rodzina?

— Mogą na mnie czekać!

— Ależ panna Czertwanówna nie pojedzie z tobą za morze.

— To ja zostanę!

— Ależ ona nie zechce twej wiary!

— To ja ją zmienię! Przysięgam sobie, że się z nią ożenię, i ożenię!

— Ha, to rób, jak chcesz. Ja piszę do twego ojca i umyłam ręce!

— Przy znanym braku stanowczości Hanki, taka stanowczość pewnie jej zaimponuje! — dorzuciła wesoło Julka. — Może pan uważać swój pierścionek za ułokowany!

— Noszę go zawsze w kieszeni!—westchnął patetycznie przywórcze śmiechu obu pańienek.

Tymczasem pod figurą na rozdrożu tłum chłopów rósł. Znalazły się i kobiety, obładowane jakimiś węzełkami, i młodzież, i dzieci.

Naradzili się z sobą i ruszyli hurmem, nie na plebanię jednak, ale wprost do zaścianka. Na czele wójtowie obu gromad, ławnicy i starszyzna, dalej długim szeregiem prości żołnierze tej wielkiej szarej armii rolnej. Kroczyli uroczyście ulicą aż do Markowej zagrody.

Pogorzelec z Ragisem i parobkiem rozrzucali zgliszcza, uprzętałi popalone resztki i kupy popiołu. Gromada wtłoczyła się na podwórze i stanęła.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — pozdrowili wójtowie, a za nimi chór cały.

— Na wieki! — odparł Marek, uchylając czapki.

Stary chłop, patriarcha Skomontów, wystąpił naprzód i ozwał się:

— Przyszli my panicza «poszkodować!». Ale szkodowanie choć sercu miłe, nie wróci chaty, ani nowej nie zbuduje. Słowami węglów nie wzniesiemy i chudoby nie ożywimy... Więc my się zebrali z braćmi zarzecznymi i niesiem paniczowi i żal nasz, i ręce. Niema u nas pieniędzy, by wam w tej biedzie pomóc, ale zdrowych rąk siła, moc. Więc wy, paniczku nasz, nie frasujcie się o robotnika i sprzężaj... tyło materiału się postarajcie, a my przyjdziemy, jak teraz, gromadą, kto tylko siłę ma, i odbudujemy tę zagrodę waszą...

Marek spojrział w twarz mówcy, potem po tłumie tych głów odkrytych, i nagle rzucił czapkę o ziemię i zapłakał.

Hart jego nie wytrzymał wrażenia tych słów i tego widoku.

Łzy mu biegły z gorejących oczu jak rosa. Machinalnie otarł je rękawem i z trudem wyjąkał:

— Za co wy tacy dobrzy dla mnie, bracia? Czym ja wam się zasłużyłem?

Wszyscy zaczęli coś krzyżeć i dowodzić, kobiety poczęły łkać.

Stary mówca nakazał milczenie i znów się odezwał:

— Oni gadają każdy swoje. Jeden o polu, drugi o chorobie, trzeci o dzieciach, czwarty o pomorze bydła. W każdej chacie wy, paniczu, zapisali się dobrodziejem i ojcowie wasi. A ja za wszystkich odpowiem. Żyli wy z nami, jak brat z bratem, szanowali siebie i nas, ratowaliście nas w chorobie, i w głodzie, i w pożarze, radzili dobrze. My milczeli, ale pamiętali; teraz nasza kolej wam zapłacić, to my i przyszli. Nikt w chacie nie został, wszyscy tu. Dziękuję wam, paniczu, żeście nas przyjęli i zrozumieli.

— Dziękuję, dziękuję! — zahuczalo w tłumie.

Kobiety teraz wysunęły się na przód i zaczęły składać u nog Marka przyniesione tobołki.

Były tam grzyby i len, krupy, okrasa, jaja, suszone ryby, bochenki świeżego chleba, wszystko, co miały w komorach.

— I my paniczowi ze swego coś przynieśli! — mówiły, płacząc — a pamięta panicz, jak mego chłopca od rekrutów uwolnił? A pamięta panicz mego starego, co go w chorobie do Kowna z dworu wozili? A moją dziewczuchę panicz z rzeki wyratował. A jak mi było zaraza wzięła, to panicz przysłał jałówkę, co i dotąd jest. A pamięta pan to i tamto?

Tymczasem parobczaki młodzi poszeptali między sobą i dotarli przez tłum kobiet do Ragisa.

— Panońku! — zawołał najśmielszy — a my nic nie przynieśli i nic nie powiedzieli! Za to my wam zaraz co zrobiem. Hej! chłopcy! zrzućcie świty, taj do roboty! Co ma to leżeć i oczy ranić? niech przepada do reszty na drodze! Oczyścić plac pod «folwarek!».

Jak jeden rzucili się do dzieła. Rozerwali migiem szczątki, znieśli opalone drzewo, żużle, węgle, garściami zmiotali popioły.

Znikały smutne ostatki pod setką rąk, grunt się równał, nie zostało śladu pożaru, tylko plac czysty, biały i kupy cegły, ułożone symetrycznie, jakby wiatr powiał i zniósł to wspomnienie klęski.

Skończyli i otarli uznojone czoła. Ragis coś im prawili, otoczyli go wokoło, a opodal starszyzna wzięła w środek Marka i radziła nad każdy kawałkiem drzewa, jak nad gromadną sprawą.

Potem ruszyli do odwrotu.

— Panicz da wiedzieć, gdzie rąbać i kiedy — rzekli razem.

— Niech wam Bóg zapłaci, bo ja nie potrafię! — wyjąkał.

— My już zapłaceni, kiedy nas panicz przyjął! Daj Boże pociechę paniczowi. Chodźmy, bracia!

Wyszli. Z ulicy już pożegnali chórem:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki!

Marek otarł łzy, a Ragis popatrzył na niego i rzekł:

— A co, synku? Nie żal ci, że żyjesz teraz? Grał już

takimi łzami nie zapłacze. Lepsze one, niż jego śmiech, oj lepszel...

— Chodźmy do niego! — szepnął Marek, wstając.

— Idź, synku. Ja podarki zbiorę i schowam! Bogatsi my, niż byli! Grenis, czyś w ziemię wrósł? A to pokuta! Zgłupiał od dymu. Zabieraj na wóz tobołki i marsz na plebanię; zrobili już chłopaki naszą robotę.

Nazajutrz po południu parą czarnych wołów wywieźli ci-chego chłopca.

Wołał go dzwon na ostatnią uroczystość, chwiały się nad nim chorągwie i żegnał go dzień letni, cichy, wonny, pogodny.

Żegnały go zboża i łąki zielone, żegnały go skowronki i pola rodzinne.

Już on z tej drogi nie wrócił..

Czertwan z Ragisem i Downarem spuścili go w grób świeży, usypali mogiłę. Marta zwała się na ten kopiec i jęczała okropnie.

Po niewczasie przyszło jej opamiętanie, po niewczasie miłość!

Wszyscy się rozeszli, tylko panna Aneta usiadła nad mogiłą brata i dumiała smutnie. Nagle z kąta cmentarza, na kuli wsparty, wyszedł stary Wojnat, obejrzał się nieufnie i podszedł do leżącej.

Modlił się chwilę — potem doznał jej ramienia.

— Marto! — zawołał z cicha.

Podniosła zmienioną twarz i usunęła się od niego.

— Chodź do mnie! — rzekł.

— Dajcie mi pokój... dajcie umrzeć! — załkała.

— Wróć do chaty mojej — powtórzył.

— Nie chcę! Wygnaliście! Wolę żebrać!...

— Nie wygonię, bo mi ciebie szkoda! Wróć się!

Tu panna Aneta podeszła bliżej i wmieszała się do rozmowy.

— Wróć, niebogo, wróć, kiedy cię stary wzywa! Snadź go sumienie ruszyło! Zapomnij krzywdy, gdy pierwszy przychodzi.

— Zapomnij! — potwierdził z cicha Wojnat — już ja nie taki, jak byłem! Sieroctwo na starość, to ciężka boża kara!

Brozozy cmentarne szumiały głucho nad tym pojednaniem. Marek z Ragisem, zabawiwszy chwilę u księdza, wracali do zaścianka.

— Cóż my teraz zrobimy? — zagadnął stary, skubiąc swe wąsiki i filuternie spoglądając na towarzysza.

— Pójdę na jezioro! Może za tydzień zbiorę nieco pieniędzy na drzewo...

— A ileż ci trzeba?

Czertwan ręką machnął.

— Ani myśleć wszystkiego odbudować. Może chatę sklecimy do zimy.

— Ileż ci trzeba na wszystko?

— At, co tam i mówić! Dwóch tysięcy nie wystarczy! Może zimą co zbierzemy z młynów i zboża.

— A przez zimę?

— Przebiedujemy jakoś!

— Ja bo nie lubię biedować! — zamruczał stary.

Marek umilkł. Szedł za Rymkiem z głową spuszczoną i nie uważał w zamyśleniu, że kaleka opuścił drogę i wszedł między ogrody, bez śladu wiodąc go w stronę łąk nad Ejnią. Zaścianek został na uboczu, wieczór nadchodził, Ragis szedł zygakiem, wymijając pasące się trzody i szybko przyglądając się okolicy.

Przed nimi ukazały się wreszcie brzegi potoku, gęsto obrosłe łożą i dzikimi malinami. Nad samym nurtem stała wierzba koszlawa, krzywa, napół uschła.

Ragis, ujrawszy ją, przestał wędrować zygakiem i prosto tam dążył.

— Musiś ty siebie karzesz w duszy, że sobie nazbierałeś niedołęgów takich, jak my z panną Anetą! Zawalidroga tobie z nas teraz!

Marek obruszył się, aż zbladł.

— Wyście mnie dotąd jeszcze nigdy nie skrzywdzili! A ot i tego się doczekało! — zamruczał ponuro.

— Nie to, synku! Choć i pomyślałeś, to nie grzech. Ma się

rozumieć, słuszne słowo. Szpitalnikami nazywa nas pan Witold! Tak bo i jest! Natlukły nas przez tyle lat i choroby, i praca, i wojny ciężkie. Czerepy, i koniec! Ho! ho! ja to pamiętał, jakieś mnie przy konającym ojcu sobie zabrał! Jam pamiętał, i mówiłem sobie: Słuchaj stary, drewnianą masz nogę, bacz, by głowa nie była z kapusty! Ho, ho, jam pamiętał!

Czertwan, zdziwiony tą szczególną przemową i tonem, oczy podniósł i zdumiał się.

— A myśmy gdzie zaszli? — spytał, oglądając się.

— A gdzie mieli iść, kiedy zagrody nie ma? Na spacer ciebie wywiodłem! — odpowiedział stary, ze wszech stron uważnie oglądając pień wierzbawy. Potem z trudnością zdrową swą nogę postawił na niskiej odrośli i dźwignął się w górę.

— Co wy robicie? — zawołał Marek, otwierając szeroko oczy.

— Nic, synku, nic! Gniazd nie wydzieram! Coś tu schowałem w dziupłę, to chcę dostać.

To mówiąc, postukał kijem o pień, oddał kawał kory, wsunął rękę w szczelinę, pełną próchna i wydobył niewielką blaszaną puszkę od tytoniu zawiniętą w gałganek.

— Ot i jest! — odsapnął, schodząc mozołnie.

Marek poskoczył, wziął go na ramiona i postawił na ziemi.

— Czy wam się chce drugą nogę stracić? — upominał.

Stary zsunął czapkę na ucho, wąsa pokręcił i, mrugając oczkami, rzekł:

— Darzyli cię szlachta i pany, i chłopci przyszli z pomocą. Ho, ho, ma się rozumieć! A stary kuternoga co gorszego? He? Albo to Rymko dla chrestniaka i dobrodzieja daru nie ma? pomoc nie potrafi? Ot, masz!

Podał mu wydobytą z dziupli blaszankę, a sam za boki się wziął i patrzył rozpromieniony.

Marek otworzył i krzyknął; pudełko wypadło mu z rąk i po ziemi, jak deszcz tęczowy, rozsypały się storubłówki.

— Chryste! A to co takiego? — zawołał młody człowiek, oczom nie wierząc.

Ragis nastroszył wąsy i śmiał się, aż mu drgała twarz.

— A to, synku, nie czary! Nie lękaj się! To te pieniądze, coś mi dał na gospodarkę, pamiętasz, odchodząc do Poświcia? Chciałem nie ruszyć i grosza, ale nie mogłem. Sto rubli poszło, a dwa tysiące i czterysta ci oddaję. Pozbieraj, taj idź po drzewo! Będzie do zimy i chata, i stodoła! Co ty robisz? Daj pokój!

Marek, jak długi, padł mu do nóg, i obejmując kolana, coś mówił zdławionym głosem, czego nikby nie zrozumiał. Rymko objął go za szyję i ścisnął.

— Daj pokój, synku, daj pokój! — powtarzał ciągle. — Toż wiesz, że ja czarownik, to mi pieniądze zbytek! A dobrze, zem w chacie nie chował! Ho, ho, ma się rozumieć! To się wie! W starej wierzbie bezpieczne były. Daj pokój, pozbieraj lepiej i czasu nie trać! Taki bo i stary grat na coś się przyda! A gdzie kupisz drzewa?

Marek wstał, ręce jego ucałował, z oczu mu patrzyła wdzięczność bezbrzeżna i spokój. Ani śladu przygnębienia i troski...

Zebrał pieniądze, schował je na piersi i rzekł głucho:

— W Poświciu kupię!

— Czy ci tam gospodarze radzili? — zagadnął stary filuternie, zmierzając napowrót do zaścianka.

Marek milczał, nie umiał kłamliwie potakiwać.

— Coś się zaciąłeś! Sztydło schowałeś do worka? Ho, ho, ma się rozumieć! I to pewne schowanie!.. No, no, idź-że do Poświcia i szczęść ci Boże!

Młody głowę zwiesił, usta ściał, machinalnie ręką przesunął po czole.

— Nie mówcie mi, ojcze! szczęść Boże, bo tylko tam idę z pieniędzmi za kupnem, i nic więcej...

— Dobre słowo nie zaszkodzi! Nie zawsze z tym się wraca, poco się idzie... Ho, ho! ja sobie na plebanię pokulam. Dziewczęta podobno jutro wyjeżdżają, to pogawędzę na rozstanie i sierotę szpasia odwiedzę... Nie ma mojej hołoty, a szkoda trochę...

Westchnął, i po chwili, jakby dla rezonu, zaśpiewał:

*A teraz się dzielimy, dzielimy, towarzyszu mój!
Tobie rożek z tabaką, a mnie konik z kulbaką,
Towarzyszu mój! Towarzyszu mój!*

Rozeszli się, i Marek wielkimi krokami oddalił się w stronę dąbrowy.

Tego dnia raz pierwszy minął dąb stary bez powitania; nie słuchał poważnego szumu! Coś innego gadało mu w duszy...

X.

Dziwnie wyglądała plebania księdza Michała Nerpalisa w tydzień po opisanych wyżej wypadkach.

Od rana panował w niej ruch gorączkowy. Organista i zakrystian zamiatali ścieżki ogródka, stroili odświętnie ubogą bawialnię. Proboszcz chodził niespokojny, zafrasowany, mrużąc pod nosem i wypędzając zajadle muchy.

Od południa pod furtkę, ogrodu zaczęły zajeżdżać bryczki i powozy, jak na odpust, rozlegały się obce głosy, trzaskanie z bata, parskanie koni. Ten cichy domek, obrośnięty do dachu bujnymi splotami purpurowej fasoli i powojów, nigdy nie widział tylu razem świetnych gości.

Pierwsza przyjechała pani Czertwanowa z marszałkiem powiatu, a bratem swoim ciotecznym; towarzyszył im Witold konno i syn marszałka. Potem staroświecką landarą przybył nestor powiatu, Jerzy Rymwid, za nim dwóch braci Olechnowiczów, Illnicz, sąsiad Poświcia, a na koniec Leon Radwillowicz, sędzia honorowy i sławny mówca w okolicy. Całe grono obsiadło kanapy i krzesła, ukazał się na stole miodek roboty proboszcza. Rozmowa toczyła się ożywiona, wśród której przodowa: cichutki, słodko-kwaśny głos pani Czertwanowej.

Po dwu godzinach pobytu, panowie zaczęli ziewać i wyglądać oknami: radziby byli skończyć ten akt obywatelskiej sprawiedliwości, a brakło do rozpoczęcia pierwszej osoby—podsądnego.

— Gotów zrobić skandal i nie przyjechać! — ozwał się z uśmiechem Witołd.

— Nie może być. To do niego niepodobne! — ujął się żywo Illinicz.

— Panowie go nie znają! — westchnęła macocha.

— Trudno znać, moja dobrodziko, kiedy on albo w drodze, albo zamknięty siedzi. Całe życie medytuje i milczy! — zauważył Jerzy Rymwid, gładząc ogromne, na pierś spadające, siwe wąsiska.

— Ach, co to za człowiek straszny i zły! — zawołała ręce składając.

— W operetkach tak wyglądają kaci i zazdrośni starzy mężowie — rzekł półgłosem Witold do młodego kuzyna, traktując go cygarem.

— Bardzom go ciekaw zobaczyć. Lubię wybitnych ludzi, choćby w złości — odparł mu syn marszałka, mizerny młodzieniec w mundurze technika, z widocznymi śladami umysłowego natężenia w zmęczonych oczach.

— Może by posłać po delikwenta gońca? — poradził retorycznym tonem Radwiłowicz.

— Wicieczku! — zapiszczała pani Czertwanowa — bądź tak dobry i zobacz, czy nie jedzie.

Student opieszale podniósł się z kanapy, na której prawie leżał i skrzypiąc botfortami, wyszedł na ganek.

Przy drzwiach, już bez żadnej ceremonii, gwizdał kuplety wodewi'u.

Na ganku stał ksiądz z miną pożałowania godną. Szeroka jego, zawsze łagodna i dobrotliwa twarz, była skrzywiona, wzrok niepewny. Ocierał fularem pot i coś szeptał do siebie. Od wielu lat słuchał spowiedzi Marka, wiedział o każdym czynie jego, znał od dziecka historię jego życia. Dla księdza człowiek ten był niewinny, choć, wedle słów oskarżenia, fakta miał przeciw sobie. Czy się potrafi uniewinnić, a właściwie, czy zechce przemówić? Z niepewności tej ksiądz miejsca nie mógł znaleźć; chciał go spotkać, pierwszy poradzić, namówić do obrony, wstawić się za nim samym do niego.

On, zapytany, powie, co myśli i wie, ale czyż go zapytają i czy usłuchają tego jedyne go głosu życzliwości?

Więc proboszcz potniał, wachlując się fularem, na drogę wyglądał i aż skoczył, ujrzawszy przed sobą niespodzianie Witołda.

Dziedzic Skomontów włożył ręce w kieszenie, a przechylając się w takt gwizdanego walca, przypatrywał mu się impertynencko.

— Czy proboszcz tańczył kiedy? — zagadnął wreszcie, skubiąc projekt na wąsiki.

— Alboż księża tańczą, moje dziecko? — odparł dobrotliwie.

— Oh, i jak! Sam widziałem! Taki sobie świątobliwy kanonik brał z gracją polityk, fik, fik, i śpiewał:

*Anna, zu dir mein liebster Gang! mein bester Gang,
mein letzter Gang!*

*Anna, dir diene ich mein Leben lang — mein Leben,
Leben lang!*

Tu Witold podniósł polityk swego żakietu i wykonał przed księdzem taniec mocno wątpliwej dystynkcji. Śmiał się przy tem, jak szalony.

— Dobrze to wyglądało! — rzekł, skończywszy. — Biliśmy brawo, aż się teatr trząsł!

Proboszcz brwi zmarszczył i ramionami ruszył.

— Nie godne to uczciwego człowieka patrzeć na takie bececeństwa i słuchać. Ludźmi jesteśmy i wiele złego się dzieje, ale to nie racja publikować występki. To jakby ktoś ranami i nagością świecił. Nie honor to, moje dziecko, i niezdrowa zabawa.

Witold wykręcił się na pięcie i, dalej gwizdząc, ruszył ku bramie.

Wzrok miał krótki, więc daremnie szukał po drodze.

Nie widać tam nikogo? Bryczki jakiej? — zagadnął furmanów.

— Nie widno! — odparli — tylko ot tam, pod figurą, idzie panicz z zaścianka piechotą.

— Idzie? Radosna wieść! Może nas wypuszczą nareszcie

z tej *szpelungi* przed wieczorem. Dmuchnę sobie do Poświęcia zawracać kontramarkę tej samotnej turkawce! Warta grubych pieniędzy!

— No, no! Zbliź się, robaczku! Damy ci tu za wszystkie czasy!

Pomimo pogroźki, nie czekał zbliżenia się brata. Wycofał się ostrożnie po za linię pierwszych strzałów. Pociągnął za sobą księdza.

— Proboszcz gości zostawił nad pustą butelką, to ładnie! — rzekł.

— Ach, prawda! zaraz świeżą przyniosę! Coś się Marek opóźnia, ale mówił mi wczoraj, że przyjdzie.

— Bardzo to chwalebna z jego strony odwaga! — odparł młodzik głośno, a w duchu dodał: idź, klecho, po miód, nie pokumacie się przynajmniej za naszymi plecami!

— Idzie już, mamó! — objaśnił, sadowiąc się na kanapie.

Wszyscy się wyprostowali, odchrząknęli, marszałek rozłożył przed sobą plik papierów, podanych mu przez panią Czertwanową. Wszystkie oczy utkwiły we drzwiach; zapanowało uroczyste milczenie.

Po chwili drzwi te rozwarły się szeroko i — schylając swą wysoką postać — wszedł Marek.

Jakby dla kontrastu z tym eleganckim gronem sędziów, miał na sobie samodzielną ciemną kurtę, ściśniętą skórzanym paskiem, na nogach buty długie, zakurzone wędrowką, w rękę wypłowiła czapkę.

Wszedłszy, wyprostował się hardo, oczyma przeszedł zgro madzenie i nieznacznie się uklonił.

Powitanie to chłodne i lekceważące zasępiło na wstępie już wszystkie twarze: odpowiedziano niedbałym kiwnięciem głowy.

Młody człowiek znów obszedł pokój wzrokiem, szukając krzesła, ale były zajęte, a proboszcz gdzieś miód wyrzebywał z piasku; więc Marek przystąpił do otwartego okna, oparł się ramieniem o futrynę i tak, profilem zwrócony do towarzystwa, czekał zaczepki.

— Już trzy godziny czekamy na pana! — zaczął marszałek — zwątpiliśmy, czy pan się stawi na wezwanie.

— Jestem! — padł od okna jeden wyraz.

— Czy pan ma jakie wytłómaczenie na swe karygodne zachowanie się względem młodszej i uboższej rodziny? Co pan ma na obronę?

— Nie słyszałem oskarżenia jeszcze, — rozległo się lako nicznie.

— Krzywdził ich pan i wyzyskiwał swe położenie. Wedle podanych mi tu do przejrzenia rachunków, stracił pan podczas zarządu Skomontami dziesięć tysięcy rubli ze wspólnego funduszu, jeszcze za życia nieodżałowanej pamięci ojca pańskiego.

Tu ksiądz przerwał mowę marszałka. Wpadł zasapany, uściśnął serdecznie dłonie Marka, przyniósł mu z drugiego pokoju fotel, nalał ogromną szklanicę miodu. Ani dbał o uroczystość chwili.

Młody człowiek zgiął kark, ucałował rękę starca, ale miodu nie tknął i nie usiadł. W tej samej pozie, ze skrzyżowanymi ramionami, błądząc okiem po nad głowami zebranych, stał w blasku letniego południa i pytał spokojnie:

— Co dalej, panie marszałku?

— Dalej: przez ten rok od śmierci ojca pan intrygowałeś potajemnie, podburzałeś kupców, żeby odmawiali kredytu pani Czertwanowej, twierdząc, że nie ma prawa rządzić majątkami, że pieniądze ich przepadną. Paraliżowałeś pan każdy jej krok i, korzystając z koniecznej potrzeby, wydzierałeś za bezcen po kawałku gruntu spod stóp słabej wdowy i niedoświadczonego młodzieńca. Nie synem pan byłeś i przyjacielem, ale lichwiarzem. Wobec prawa miałeś pan słuszną opinię, ale nigdy wobec opinii obywatelskiej. Czy takie jest i wasze zdanie, szanowni sąsiedzi?

— Zapewne, zapewne! — rozległo się chórem.

Pod tym publicznym zarzutem Marek głowy nie ugiął, oczu nie spuścił. Słuchał z brwią ściągniętą; parę razy zadrżała mu twarz, poruszył ustami, jakby coś rzec miał, ale się pohamował.

— Czy to już koniec, panie marszałku? — zagadnął po chwili milczenia, bez żadnej zmiany tonu i postawy.

Syn marszałka oczu z niego nie spuszczał. Kto był winien, nie rozumiał, nie słyszał prawie zarzutów, sprawa była mu obcą i nieznaną; ale ten człowiek, tak olimpijsko spokojny, działał upajająco na jego nowożytny, zdenerwowany charakter. Winowajca czy ofiara, był olbrzymem w panowaniu nad sobą. O nieba całe wydawał się wyższym od tej wdowy pożałowania godnej, za którą stała opinia, i od bronionego głosem ogółu młodzieńca który, rozwalony na kanapie, uśmiechał się zuchwale.

— Daleko do końca—odpowiedział marszałek.—Pozostają dwa najcięższe zarzuty. Przez ten rok, pomimo próśb i nalegań, nie zgodziłeś się pan na prawomocne ulegalizowanie działu, jaki ustnie zostawił nieboszczyk pan Paweł Czertwan. Wymaganie było słuszne, a opór pański wyda się każdemu karygodnym, jako nieposzanowanie woli rodzica i wyzysk swego położenia i praw. Równie niskim był postęp pański przyswojenia sobie planów majątkowych, o których wydanie daremnie się upominał brat i matka. Tak, panie, nie postępuje szanujący się szlachcic i obywatel...

Krew uderzyła do skroni Marka, ale nie poruszyły go te ciężkie zarzuty, bo, zamiast się bronić, obrócił tylko głowę do okna, i nieznacznie, smutnie się uśmiechnął.

Za oknem, w czasie przemowy marszałka, poruszyły się lekko powoje, i tak cicho, że szept zginął przy świergocie jaskółek pod strzechą, zabrzmiał serdeczny głos jednym wyrazem:

— Wejdawutas!

Nikt nie usłyszał i nikt nie dojrzał niewidzialnego gościa wśród powojów i fasoli, tylko ten odosobniony, pod pręgierzem surowej krytyki, zadrżał, jak trafiony strzałem, i spojrział ostrożnie, nieśmiało.

Z pomiędzy purpurowych kwiatów spotkało jego wzrok zgęźbiony dwoje źrenic ciemnych, płomiennych rozdrażnieniem, a tak serdecznie przejętych grozą tej chwili — i równie cicho, ale z naciskiem, wyszeptał głos:

— Czy panu nie żal swej duszy, sumienia, pracy, że pan na nie pozwala i milczy? Ja słucham od kilku minut zaledwie, a drżę cała oburzeniem! Pan chyba nie z kamienia, ale z drzewa, z próchna!

Na to on się gorzko uśmiechnął a zwracając się do zgromadzenia w pokoju, spytał zmienionym głosem na którego dnie poczytały huczeć akcenta namiętności, dławionej do czasu żelazną wolą:

— A jakież ostatni zarzut posłyszę jeszcze, panie marszałku?

Zapytany odchrząknął, zajrzał w papiery, pokręcił się na krześle i spojrział po obecnych.

Wszyscy patrzyli w ziemię, zasępieni i bardzo uroczyści; pani Czertwanowej wystąpiły na twarz gorączkowe wypieki, ksiądz dygotał z niepokoju.

— Ostatni zarzut drażliwej jest natury, bo dotyczy tego, co człowiekowi jest najdroższem: czystości noszonego nazwiska. Przez ten rok, rządząc się sam bezprawiem i nadużyciem, dałeś pan zły przykład, doprowadziłeś pan sam poniekąd młodszego brata do lekkomyślnego postępku! Przyciśnięty potrzebą, nie mając przed sobą żadnej drogi wyjścia, sprzedał on las, będący wspólną własnością. Zapewne, tłumaczy go tylko młodość, rozdrażnienie i nieznajomość prawa. Zbłądził, ale to bynajmniej nie usprawiedliwia tego, że pan, zamiast mu do pomocy, oświecić, w domu polubownie skończyć interes, podałeś go na sąd, zmieszałeś ze zgrają Żydów szalbierzy, i rzuciłeś bez wahania uczciwe nazwisko na łup adwokackich języków i wstrętnych ścian sądowych! To było już niegodziwe!

Zdyszany, drgający oburzeniem szept, wpadł w uszy Markowe, zaraz po zakończeniu mówcy:

— I pan milczy? I pan znosi? Co panu? To ohydne! Tego wytrzymać nie można! Mów pan teraz, choć raz w życiu! Pan wie, że ja pana szanuję, i pan pozwala spokojnie, że ja to słuchać muszę? To nie do zniesienia! To boli, szarpie, rani, zabija! Mów pan, bo ja sama wystąpię i po amerykańsku odpowiem za pana!

Zza fasoli i powojów strzeliły jak ogień gorące oczy, i brwi

ścignięte kurczowo, i usta rozchylone wzruszeniem, zza których błyskały białe ząbki, ostre, jakby kąsać chciały i bronić tego skrzywdzonego.

Zaraźliwe było to spojrzenie i namiętne słowa młodych ust. Powoli jak pożar obejmowały rys po rysie nieruchomą twarz stojącego. Wypędzały mu z serca całą krew do czoła, rozpałały dzikim żarem mroczną powierzchnię siwych oczu, wydzierały gwałtem z duszy na usta potok gwałtownych słów, podnosiły wzburzoną falą spokojną pierś. Zatrząśł się, odstąpił o krok, machinalnie sięgnął w zanadrze kurty, myślał, że mu pęknie klatka piersiowa od tego, co tam zahuczało nagle oceanem zranionych uczuć, sponiewieranej pracy, potarganych myśli i pragnień!

— « A zatem, to koniec, panie marszałku? Nie znajdziecie nic więcej? powiedzieliście wszystko? Panowie ci, sędziowie, słyszeli dosyć. Słyszeli, że m złodziej, intrygant, szalbierz, bezprawnik i nikczemnik nareszcie! To dosyć! Nie ma więcej win na świecie i nie ma człowieka, co by je wszystkie z sobą nosił. Tylko ja! Tylko ja!...

« Ale nikt nie słyszał mego głosu i nikt nie wie skąd, jaką drogą doszedłem aż tu, na ten najwyższy sąd szlachecki, co mi teraz zabiera sławę, i cześć, i nazwisko uczciwego człowieka.

« Z daleka ja tu przyszedłem i z dawna! Lat siedmnaście miałem, gdy ze szkół wziął mnie obowiązek—nie pytano, czy chęć mam i siły, kazano pracować głową, dłońmi — wszystkim. Ot tu, na tym papierze, mam ręką ojcowską podpisany spis tego, co mi zdano na ręce, i ot tu, na drugim, takiż spis, sporządzony po śmierci ojca, podpisany przez matkę i księdza proboszcza.

« Nie dziesięć tysięcy ukradłem, ale więcej, o więcej! Kradłem ziemię tę szarą na nauki siostry i brata, na podróże matki, i wydzierałem przemocą grosz krwawy do kutej szkatułki na posagi im!

« Kradłem—ha! Był czas! Dni letnie w polu, jak rok długie, a noce zimowe nad rachunkami wieki się ciągną! Kradłem!

« Słyszeliście, panowie, że m kradł, ale nie słyszeliście, ilem spoczął przez te dziesięć lat młodości, i nie słyszeliście, czym

kiedy się zabawii, zahulał, odstąpił, i nie widzieliście, ilem potu wlał w tę ziemię, ile goryczy i zawodów!

« Nie słyszał nikt mojej skargi! Boża moc potężna i we wszelkiej nędzy daje siłę nad nędzę większą. I mnie taką siłę dał Bóg, że m ziemię tę moją ukochał nad świat cały, i nad młodość, i nad rozrywkę, i nad rodzinę i dom. Ile duszy starczyło, takim ją umiłował. Od łanu do łanu schodziłem ją stopami; przez dziesięć lat z nikim nie żyłem, tylko z tą rodziną; rozumieli my siebie, mówiła mi do serca zbożami złotymi, zieloną łąką, ciemnym borem. I zaprzysiągłem jej wówczas, że mi jej nikt nie weźmie, chyba z życiem!... ».

Umilkł sekundę, ale potok, raz zerwawszy skorupę, gnał go teraz bez pamięci, coraz gwałtowniej... Całe życie składało się na tę mowę.

— « A gdy ojciec zmarł, stałem się intrygantem, i wyzyskaczem, i lichwiarzem. Słyszeli panowie! Ale nikt nie słyszał, jakem płakał krwawymi łzami, schodząc z mej ziemi, i jak ona po mnie płakała, żegnając... I nie widział nikt, jakem wziął z domu na swój dział sześć głów bydła, troje koni i garść odzieży; i nie widział nikt, jaki był ów dział: ruina zagrody, matczyna spuścizna. A jam się i wtedy nie skarżył, tylko sobie raz drugi poprzysiągł, że ziemi zmarnieć nie dam, chyba zginę!...

« I znowu Bóg moc mi dał wielką pracy i takiego wytrzymania, że m i snu nie znał prawie, i czasu na jądło nie potrzebował. W dzień służbę sprawowałem ojcowską, w nocy pracowałem... prawda, jak klichwiarz, jak Żyd, wydzierając, gdzie się dało, zarobek!...

« I oto powiedziano mi, że matka z Witoldem dług chcą zaciągnąć na majątek. I tak: wedle słów pana marszałka, zabroniłem Żydom pożywać, zagroziłem procesem. Tak było, to prawda; ale choć to nazywacie intrygą, podkopaniem kredytu, oszustwem, klnę się na Boga, że na to nigdy nie pozwolę i zawsze stanę oporem! Zabijcie mnie, w sztuki porąbcie, ziemi swojej wziąć nie dam marnego zagona sprzedać nie dopuszczę.

Na tom całe życie poświęcił! Powiadają oni, że ich wyzyskiwał, wydierał majątek za bezcen...

« Są na to cyfry i dowody, oskarżenie ich nie daje, ale ja je mam i oto je przedstawiam... ».

Drżącymi dłońmi rozpiął kurtę, dobył wytarty pugilares i położył przed zebranymi, na stole kilka arkuszy papieru.

— « Piętnastego września zeszłego roku kupiłem od matki 40 morgów gruntu, zwanego Żwirble, za 2,400 rs.—oto kwit i akt sprzedaży. Dwudziestego siódmego października sprzedała mi powtórnie 30 morgów za 1,300 rs., zapłaciłem należny siostrze posag 5,000 rs., dałem trzy razy po 500 rs. pożyczki, oddałem wedle umowy z folwarku siostrzanego, który dzierżawię, 500 rs.; ogólnie wypłaciłem przez ten rok 10,700 rs. gotówką. Oto moi świadkowie! ».

Spracowaną swą ciemną dłoń położył na dokumentach owych i odetchnął głęboko. Smutek bezbrzeżny i boleść objęły mu lica. Pokiwał głową, patrząc, jak sędziowie z zajęciem jej przeglądać te dowody kolosalnej pracy i coś szeptać między sobą.

Witold i pani Czertwanowa pobledli. Ksiądz szeptał hymn dziękczynny; syn marszałka, nie wiedząc dla czego, uśmiechał się z triumfem. Milczeli teraz wszyscy. I znowu Marek podniósł głos i mówił:

— « Więc ja złodziej i szalbierz, więc ja intrygant? Może dziwi się panowie, skąd wziąłem te tysiące? Spytajcie tego młodzieńca — on wie, on mówił, że poświckim złotem płacę! Nie obcy to rzekł i nie wróg, ale on — brat; uczciwe nazwisko rzucił na poniewierkę i opłwał; nie badał, nie pytał, nie ujął się, ale pierwszy błotem rzucił! Zapewne, skąd on wiedzieć może, jak się uczciwie pieniądź zdobywa? On pracy nie zna, brał gotowe i używał, a gdy zdobył grosz, to w karty tylko!... I jam miał go uczyć, objaśniać, pomagać?... Jakim sposobem, panowie?... Nie pójdzie on ze mną, ani z pieńką Niemnem, ani z opasami do Prus, ani do Wilajek nad jezioro, nie znieśie szarugi zimowej, ani slot jesiennych na dworze, chyba dla fantazji tylko chwilowej... Nie zechce cierpieć niewczasu i

niedostatku dla tych pieniędzy, których tyle potrzebuje... Dlatego on miły i wesół, każdemu dogodzi i zabawi. Troska go nie zgryzła, trud nie zdziżył, cierpienie nie wzięło humoru i myśli swobodnej. Dlatego on dobry, a ja zły, i ponury, i niedostępny!... I oto stoję przed wami, a tyle sromu i zuchono mi w twarz, że z za niego nie powinien i spojrzeć nawet w oczy wam wszystkim, tylko uchylić czoła i wstydić się... ».

Odstąpił kilka kroków do okna, nieznacznie spojrzawszy w stronę powojów i znów krew łuną ciemną oblała mu policzki.

— Cześć ci, bohaterze!... — zabrzmiało szeptem zza okna.

— « Nie, panowie! Znam ja męki wszystkie, ale wstydu nie znałem i nie poznam! Schylam ja kark przed wami, boście starzy i szanowani, ale się nie sromam, wzroku waszego się nie boję!... »

« Czego oni chcą ode mnie? Mówią, że kradł! — leżą przed wami dokumenta; że wyzyskiwał — macie cyfry i rachunki; dowodzą, że plany przywłaszczył — na co mi one? Ja swoją ziemię tak znam, jak duszę własną, a plany złożyłem w kancelarii ojcowskiej, w Skomontach, tylko oni szukać nie chcieli. Niech kto pójdzie tam, w szafie ściennej je znajdzie i tu przyniesie... »

« Działu żądają — spytajcie dlaczego?... Czy ja im granice zajeżdżam, czy w gospodarstwie przeszkadzam, czy bronię zmian i ulepszeń?... Ani czynem, ani słowem, ani myślą nawet nie wszedłem im w drogę... Nie zgwałciłem na piędź ojcowskiego działu. Strzegłem tylko całości tej spuścizny! Strzegłem, bo wiedzą moje ręce i głowa, jak to drogie i jaka siła tkwi w tej ziemi rodzinnej! I to jest mój grzech i cały występki!... »

« Przeto się nie wstydzę!... Panowie obywatele! Wyście sami nad rolę tą osiwieli, zgarbieli! Pobruździł wam ten mozół czoła, zrósł się z duszą! A ja na was patrzyłem i na prajców pamięć, i tak czyniłem i czynić nie przestanę, gdyż zhańbiłbym się i spodił!... »

« Domy macie, i mienia, i rodziny! I może wam we śnie kiedy stanęło, że domy piorun zburzył a mienie, jak proch

marny, poszło w rozsypkę! Jeśli ta zmosfera was kiedy trapiła, to spójrzcie na mnie: oto ja zmorę tę na jawie bezustannie w piersi noszę — i cierpię, ach! Jak cierpię! Nie żal mi lat młodych, choć mówią, że jak szczęście piękne, i nie żal życia! Poświęciłem dla tej idei mojej i nauki, i swobodę, i nie wziąłem dla siebie nic z tego, co synowie wasi mają, czym są bogaci! Wiek przeszedł — i wy myślicie, że rzucę teraz mój trud, odstąpię tego, com zdobył?

« Chcą działów oni... panowie! Weźcie krew mych żył lepiej, rozedrzyjcie mię w sztuki, w loch rzućcie na wieki — bo ja wiem, dlaczego oni działu tego chcą — i nie dam go!... ».

Urwał i czekał. Żaden trud i żadna męka nie wyczerpała go tak, jak ta spowiedź pierwsza, jak ta mowa jedyna — do ludzi.

Po zgromadzeniu od kilku chwil powstał jakiś szmer zmieszany. Marszałek w ziemię wbił oczy, Illinicz chustką ocierał czoło i powieki, stary Rymwid w twarz oskarżonego utkwil przenikliwe źrenice i wąsy kręcił, poważny i zamyślony; Olechnowicz i Radwiłowicz zetknęli głowy i coś szeptali, gestykulując, a syn marszałka wstał z kanapy od boku Witolda i, zaczerwieniony, przejęty, postąpił wahająco w stronę Marka. A on zmęczony, dysząc prędko, gryził do krwi drgające usta i mienił się cały. Za okienkiem szept cichy biegł do niego z akcentem gorącego wrażenia:

— Teraz pan bez cienia i skazy! Teraz pan może milczeć. Żaden sąd winy nie znajdzie! Chodź pan prędzej — ja czekam na pana!

W milczeniu skinął głową i wnet zwrócił oczy do pokoju, bo w tej chwili pani Czertwanowa, płaczącym, desperackim tonem, zawołała:

— Szanowni sąsiedzi! Dlaczegoż syn mój, Witold, ma być wiecznie pod kuratelą, bez swobody działania i tytułu własności? Przecież to jego, a on rozporządzać się ma prawo — już pełnoletni! Co komu do tego, co on z majątkiem swoim zrobić chce? To przymus i gwałt, to wyzysk! My nie potrzebujemy

rad i kierownictwa i sami wiemy, co słuszne. Potrafimy zarządzić i utrzymać ziemię!

Rymwid ciężko wstał z miejsca i, chmurny, uderzył po wekslach rozsypanych na stole i lakonicznie rzekł:

— A to co? Takież to rządy i utrzymanie? Jeden rok — i tyle już!

— On gwałtem dawał pieniądze, kusił, namawiał!

Marek nie potrzebował zaprzeczać, bo za Rymwidem podniósł się Illinicz i żywo zawołał:

— Przepraszam, dobroduszko, ale ja sam byłem świadkiem, jak pani przyjeżdżała zimą do Poświcia i prosiła o radę i pomoc. Byłem u niego w interesie sprzedaży kartofli do gorzelnicy i siedziałem w sąsiednim pokoju.

— Jemu ojciec zabronił wtrącać się do nas, pod błogosławieństwem zabronił! Ojciec go znał i bał się tego okropnego charakteru!

Ksiądz nie wytrzymał, skoczył z miejsca.

— Pani dobroduszko! — zawołał — nie wspominajcie tak nieboszczyka! On go cenil i znał; dał dowód, powierzając Poświcie, i błogosławił za jego szlachetne posłuszeństwo. Ja byłem przy konaniu i pamiętam. Witolda przestrzegał, by nie hulał i długów nie robił, bo go błogosławieństwo odstąpi. I słusznie mówił!

« Ja Marka Czertwana znam, panowie; pod moimi oczyma rósł i pracował. Grzeszny on, jak my wszyscy, ale tego, o co go oskarżają, nie popełnił, bo fałszu w nim nie ma, ani podstępny, ani podłości! »

« Skryty on, dziki, nieufny, ale szlachetny i obowiązku żadnego nigdy nie opuścił! Pozory mylą, ale wy sądziecie głębiej; słuchajcie duszy i tego, co wam mówił! On nie kłamie! ».

— Ziemię sprzedawać, ciężki grzech! — Zamruczał młodszy Olechnowicz.

— A próżniactwem i zbytkiem jej nie utrzymać wstyd! — Dodał starszy.

Tu marszałek podniósł oczy i rzucił pani Czertwanowej piorunujące spojrzenie, zebrał jej papiery i odsunął niechętnie.

Książd rzucił się pierwszy z powitaniem panienki; Witold, zapominając o całej sprawie, poskoczył, gnąc się w prawidłowym ukłonie; pani Czertwanowa otarła łzy, uciszyła swój lament. Panowie inni, znający milionową dziedziczkę z widzenia tylko, ukłonili się z daleka, obrzucając ją gradem krytycznych spojrzeń.

Zwróciła na siebie ogólną uwagę, obudziła żywe zajęcie w całym gronie. Nie zmieszana bynajmniej, najswobodniej uchyliła główkę z powitaniem, tylko blask znikł z jej rysów i rozradowanie cofnęło się w głąb oczu.

— Dziękuję, księżu proboszczu — odparła na jego zaproszenie, by spoczęła w pokoju. — Wstąpiłam za interesem na chwilę.

Tu zwróciła się do Marka, który nieco był się usunął, i spytała:

— Czy zastałam pana Ragisa?

— Nie pani! W zaścianku od rana drzewo przyjmuje!

— Ach szkoda, że go nie ma! Przyniosłam mu prezent.

Sięgnęła za siebie, na ławkę, i położyła na oknie przedmiot jakiś okrągły w batystowej chusteczce.

— Czy wolno zobaczyć, co to takiego? — zagadnął Witold z umizgiem.

— I owszem, tylko ostrożnie, bo kole!

— Jeż! — krzyknął student, zaglądnąwszy.

— A to się stary ucieszy! — zaśmiał się książd.

— Szczególnie amatorstwo! — Odezwała się lekceważąco pani Czertwanowa, otrzepując ręce.

A Irenka mówiła wesoło, wciąż zwrócona tylko do milczącego Marka.

— Wybrałam się na spacer dzisiaj, pieszo i kódką, bo na promie taki ścisk z pana drzewem, że ani marzyć o przedostaniu się tamtędy. W trawie na Dewajcie znalazłam to zwierzątko, i zabrałam uradowana, że zastąpi może spalonego faworyta.

— Dziękuję pani! Odniosę go zaraz chrzestnemu — rzekł, sięgając po jeża.

— A! broń Boże! Zostawimy go łaskawym względem księdza proboszcza, a pan mnie przeprowadzi. Wszak może pan już odejść? Sąd skończony?

A zatem była tam, za ścianą, i słyszała wszystko! Pod panią Czertwanową zachwiały się nogi. Witold zbladł, stracił cały swój rezon. Nie dla uszu pięknej panny i bogatej dziedziczki była ta sprawa i takie zakończenie. Teraz dopiero zawstydził się i okropnie spokojniał.

— Za chwilę służę pani! — odparł Marek, zbliżając się do marszałka.

Pozostali u okna, zakłopotani widocznie, nie wiedzieli co mówić, a Irenka nie raczyła zacząć rozmowy. Pani Czertwanowa odzyskała pierwsza przytomność.

— Pan Marwitz wyjechał? — zagadnęła, siłą woli zdobywając się na uprzejmy uśmiech.

— Tak, pani, wyjechał — odparła panienka, schylając się do Margasa, który, czekając na pana, leżał pod oknem.

— Pani się zapewne czuje strasznie osamotnioną w naszych stronach? — zaczął Witold.

— Nie, panie. Mam dużo zajęcia w domu, nie mam czasu na nudy — rzekła chłodno, nie patrząc na niego.

— Ach, cóż to za wstrętny pies! — Zawołał — i pokaleczony! Pani się nie boi dotykać go?

— Przecież go znam. To pies pana Marka, codzienny gość w Poświęciu. Opalił się, biedak, w pożarze, pilnując pańskiego dobra. Bardzo go lubię!

Pogładziła zwierzę, łaszcząc się do niej, i spojrzała do pokoju.

Marek kładł swój podpis pod wyrokiem, otoczony gronem poważnych obywateli i, milcząc, przyjmował ich tłumaczenia i uściski.

— Czy wolno mi już odejść? — zagadnął marszałka.

— Możemy wszyscy się oddalić — odpowiedziano razem, ruszając się z miejsc — obyż za rok zejść się znowu a zgodnie!

Podano sobie dłonie; syn marszałka przystąpił do Czertwana ostatni.

Ksiądz rzucił się pierwszy z powitaniem panienki; Witold, zapominając o całej sprawie, poskoczył, gnąc się w prawidłowym ukłonie; pani Czertwanowa otarła łzy, uciszyła swój lament. Panowie inni, znający milionową dziedziczkę z widzenia tylko, ukłonili się z daleka, obrzucając ją gradem krytycznych spojrzeń.

Zwróciła na siebie ogólną uwagę, obudziła żywe zajęcie w całym gronie. Nie zmieszana bynajmniej, najswobodniej uchyliła główkę z powitaniem, tylko blask znikł z jej rysów i rozradowanie cofnęło się w głąb oczu.

— Dziękuję, księżę proboszczu — odparła na jego zaproszenie, by spoczęła w pokoju. — Wstąpiłam za interesem na chwilę.

Tu zwróciła się do Marka, który nieco był się usunął, i spytała:

— Czy zastałam pana Ragisa?

— Nie pani! W zaścianku od rana drzewo przyjmuje!

— Ach szkoda, że go nie ma! Przyniosłam mu prezent.

Sięgnęła za siebie, na ławkę, i położyła na oknie przedmiot jakiś okrągły w batystowej chusteczce.

— Czy wolno zobaczyć, co to takiego? — zagadnął Witold z umizgiem.

— I owszem, tylko ostrożnie, bo kole!

— Jeź! — krzyknął student, zaglądając.

— A to się stary ucieszył! — zaśmiał się ksiądz.

— Szczególne amatorstwo! — Odezwała się lekceważąco pani Czertwanowa, otrzepując ręce.

A Irenka mówiła wesoło, wciąż zwrócona tylko do milczącego Marka.

— Wybrałam się na spacer dzisiaj, pieszo i kódką, bo na promie taki ścisk z pana drzewem, że ani marzyć o przedostaniu się tamtędy. W trawie na Dewajcie znalazłam to zwierzątko, i zabrałam uradowana, że zastąpi może spalonego fa-woryta.

— Dziękuję pani! Odniosę go zaraz chrzestnemu — rzekł, sięgając po jeża.

— A! broń Boże! Zostawimy go łaskawym względom księdza proboszcza, a pan mnie przeprowadzi. Wszak może pan już odejść? Sąd skończony?

A zatem była tam, za ścianą, i słyszała wszystko! Pod panią Czertwanową zachwiały się nogi. Witold zbladł, stracił cały swój rezon. Nie dla uszu pięknej panny i bogatej dziedziczki była ta sprawa i takie zakończenie. Teraz dopiero zawstydził się i okropnie spokorniał.

— Za chwilę służę pani! — odparł Marek, zbliżając się do marszałka.

Pozostali u okna, zakłopotani widocznie, nie wiedzieli co mówić, a Irenka nie raczyła zacząć rozmowy. Pani Czertwanowa odzyskała pierwsza przytomność.

— Pan Marwitz wyjechał? — zagadnęła, siłą woli zdobywając się na uprzejmy uśmiech.

— Tak, pani, wyjechał — odparła panienka, schylając się do Margasa, który, czekając na pana, leżał pod oknem.

— Pani się zapewne czuje strasznie osamotnioną w naszych stronach? — zaczął Witold.

— Nie, panie. Mam dużo zajęcia w domu, nie mam czasu na nudy — rzekła chłodno, nie patrząc na niego.

— Ach, cóż to za wstrętny pies! — Zawołał — i pokaleczony! Pani się nie boi dotykać go?

— Przecież go znam. To pies pana Marka, codzienny gość w Poświęciu. Opalił się, biedak, w pożarze, pilnując pańskiego dobra. Bardzo go lubię!

Pogładziła zwierzę, łaszcząc się do niej, i spojrzała do pokoju.

Marek kładł swój podpis pod wyrokiem, otoczony gronem poważnych obywateli i, milcząc, przyjmował ich tłumaczenia i uściski.

— Czy wolno mi już odejść? — zagadnął marszałka.

— Możemy wszyscy się oddalić — odpowiedziano razem, ruszając się z miejsc — obyż za rok zejść się znowu a zgodnie!

Podano sobie dłonie; syn marszałka przystąpił do Czertwana ostatni.

— A mnie czy pan pozwoli podać sobie rękę, choć bardzo mało się znamy? Obyż to było na dobrą dalszą znajomość i bliższe porozumienie! Nauczyłeś mię pan dziś więcej, niż szkoły i uniwersytet. Proszę pozostać i nadal mistrzem i przyjacielem. Do widzenia rychło!

Tłum żegnał proboszcza i wychylał się przed plebanię. Zajeżdżały powozy, żegnano się, wołano, kłaniano. Wśród zamętu Witold stanął obok Irenki i z cicha, żebrzącym głosem spytał:

— Może i mnie zrobi pani tę łaskę i pozwoli się przeprowadzić?

Potrząsnęła głową i, cofając się, wsunęła rękę pod ramię Marka, jakby szukając tam obrony przed napaścią.

— O, nie, dziękuję panu! Mamy wiele spraw poważnych do roztrząsania. Nie zabawi to pana.

Niedbałym skinieniem odpowiedziała na ukłon głęboki i ruszyła pieszo na szlak zakurzony, nie troszcząc się, co pomyśla i powiedzą pozostali.

Dziwnie bo wyglądała ta para. On jak zaściankowiec, zgrubiałą pracą, ona, jak królewna z bajki, taka piękna i delikatna! Co między nimi mogło istnieć wspólnego?

Po chwili milczącej wędrowni, rzekła jak zwykle pierwsza:

— A zatem ten sąd, to był ostatni smok Wejdawuta. Już leży pokonany, bez zębów, a generałowie w prochu. Czego pan chmurny jeszcze? Czego panu jeszcze brak?

— Ja zawsze taki! — szepnął swoje ulubione zdanie.

— Nie! Umie pan mówić, czuć, porywać za sobą! Poznałam dziś dopiero pana i dlatego pytam raz drugi: czego panu brak?

Wyzywała go, szła naprzeciw zaciętej duszy, prosiła, by uległ dobrowolnie przed nią. Ale wybuch przeminął, wulkan ucichł, żelazny pancerz był znowu na piersi.

— Niczego, pani! — odparł.

Spojrzała nań bystro.

— Proboszcz mówił, że pan nigdy nie kłamie. Czyż pan mu i na spowiedzi takąż prawdę mówi, jak mnie w tej chwili?

— Proboszczowibym nie powiedział tego, co czuję, jeśli

grzechu w tym nie ma. Nędzę człowieczą i udręczenie powinien znać tylko Bóg, bo on jeden pomoc dać może.

— W żadnym jednak razie kłamać nie trzeba! Niech pan spojrzy mi w oczy i powtórzy, że nic mu nie brak.

Zmilczał, zaciskając usta. Zamykał coraz szczelniej duszę, zacinął się w oporze.

Zaśmiała się wesoło.

— Przecie dowiodłam panu fałszu! Poprzestaję tymczasem na tym małym triumfie i nie nalegam dalej. Czy zadowolony pan z wyroku sądu?

— Spodziewałem się gorzej. Żebym milczał, potępionoby mnie.

— Widzi pan, jak to dobrze mnie posłuchać! Ile razy teraz panu poradzę mówić, proszę usłuchać, a za dobry skutek zawsze ręczę! Dobrze?

Uśmiechnął się za całą odpowiedź.

— Co pan zamysła robić przez ten rok próby? — spytała po chwili.

— Co zawsze. Zbierać pieniądze i kupować u Żydów długi Witolda, kiedy mi nie pozwala nabywać ziemi. Jeden skutek, tylko kłopot większy.

— A więcej nie ma pan zamiarów na ten rok?

— Sam nie wiem. Pan Komar chce mi powierzyć główny zarząd swych dóbr, bo wyjeżdża za granicę. Jeżeli czasu stanie i sił, to przyjmę.

— Jaki pan chciwy na pieniądze! Gotów pan duszę za nie dać!

— Duszy nie, ale wszystką krew tobym dał.

— Niepojęte! I na cóż one panu? to istna chorobliwa mania! Krew dać za podły grosz! To nie szczęście i nie spokój!

— Dla mnie i jedno, i drugie.

— Fe, to do pana niepodobne! Przypuśćmy tedy, że pan już posiada skarby Krezusa, coby pan robił z tym ciężarem?

Powiódł okiem po niebie, otworzył usta i cofnął, co rzec miał.

— Po co gadać o tym, czego nie będzie! — zamruczał.

— Co to szkodzi? Pan jest na drodze do skarbów i pewnie dosięgnie, czego żąda. Czy pan kiedy w życiu odstąpił od swych pragnień? Chyba nigdy!

— Odstąpiłem! — odparł chmurno.

— Być nie może! Pan wrócił z drogi? To nie do wiary! I dlaczego? Przeszkody były za wielkie.

— Cel za mały! — rzekł niewyraźnie.

— Ach, to już wiem! Mówił mi pan Ragis kiedyś pod dębem. Ustąpił pan narzeczonej i desperował potem okropnie.

— Co chrzestny może wiedzieć o mojej desperacji? Kiedy ustąpiłem, to i nie desperowałem. Nie było woli boskiej i koniec!

— No, ależ ona teraz owdowiała. Może pan wrócić.

— A mogę!

— Zatem po roku nabywa par Skomonty i zakłada pan rodzinę! — rzekła z widoczną ironią w głosie.

Skinął głową. Rysy jego twardniały z każdą chwilą; ponurymi oczyma błędził po drodze. Choćby miał zginać, nie wyzna jej tego, co czuje; nie usłyszysz ona od niego słowa prawdy.

— Szczęść panu Bóg! — uśmiechnęła się lekko — żałuję, że na tym ślubie nie będę obecna, bo zapewne w ciągu tego roku wyjadę.

Zdziwił się Marek i, spoglądając uważnie na nią, spytał:

— Daleko pani pojedzie? Na długo?

— Do Ameryki, wrócę jesienią. Pan Marwitz stracił poniekąd z mojej przyczyny Clarka i zasypuje mię rozpaczliwymi listami. Musze go pocieszyć i rozerwać w samotności. Czy na długo? Nie wiem. Może na zawsze! Może pan chce kupić ode mnie Poświcie?

Pobladł aż do warg. Zadrżało mu ramię.

— Pani żartuje — rzekł — pani nie myśli sprzedawać, a ja kupić nie mogę. I pani zostanie!

— Bardzo wątpliwe! Co ja tu mam i kogo? Pan bohaterem jest, Wejdawutem, więc niedostępne są pana duszy ani tęsknota, ani osamotnienie, ani pustka w wielkim, uroczystym domu!

A ja żyć się z tym nie potrafię, nic mi nie zastąpi domowego ogniska w przyjaznym gronie, życzliwego słowa, serdecznego spojrzenia, wszystkiego tego, com miała dotąd u mego przybranego ojca w Drakecity! Nie zrozumie mnie pan, bo pan jest wyższy nad takie drobiazgi, pan tego nie potrzebuje, a ja, niestety! nie jestem stworzona na anachoretę i mam też swój cel i poglądy na życie, wcale różne od pańskich.

Zdawało się że nie słyszał nic, oprócz jednej rzeczy, bo zamruczał, jakby do siebie:

— Więc pani odjedzie, może na zawsze?

— Cóż pan w tym znajduje dziwnego? Co by pan zrobił w mojej roli?

— Co bym zrobił? Zostałbym!

— Tak, całe życie samotny?

— Rok nie upłynie, jak pozna pani całe sąsiedztwo. Nie trzeba jechać do Ameryki po przyjaciół i stosunki. Pójdzie pani za męż...

— Bardzo chętnie; na to nie potrzebuję nawet poznawać nikogo. Wybór dawno uczyniłam. Niech mi pan zaręczy, że weźmie mnie ten jeden wybrany, a zostanę!

— Może pani wybrała takiego...

Niecierpliwie rzuciła główką, zmarszczyła brwi.

— Niech pan lepiej milczy tym razem, bo ani sobie, ani mnie słowami oczu nie zamydli. Po co ten ton nieznośny i udawanie? Nas w Ameryce nie chowano, jak tutejsze panienki na bierną rolę; nas uczono, żeśmy wam równe, niezależne! Nie cierpię tonu, na który schodzi nasza rozmowa; jest fałszywy i niegodny przedmiot! Ja nigdy swych uczuć nie kryłam, nie znajduję w nich nic karygodnego, ani niestosownego!

Podniosła dumnie czoło i, przejmująco patrząc mu w oczy, rzekła po małej przerwie:

— Nie zmienimy przeznaczenia swego, Wejdawucie! Pan wie dobrze, bom szczerze okazywała, że pana kocham, a mnie nie trzeba było pańskich słów, żeby wiedzieć, że mi pan miła... Po co się męczyć, gdy możemy być szczęśliwi?...

Przez jego oczy przeszła chmura rozpaczy. Zwiesił głowę na piersi i pobladał śmiertelnie...

Uśmiechnęła się promiennie, cała triumfująca. Zajrzała ukradkiem w jego twarz i odezwała się serdecznie:

— Jeżeli się pomyliła, niech mi pan zaprzeczy. Nie kocha mnie pan? Może nie tyle co Zmudź, ale więcej, niż resztę ludzi!

Opanował się, i rzucając jej spojrzenie pełne wyrzutu, zaczął półgłosem:

— Na co pani ta prawda? I na co mnie ta jeszcze jedna niedola, najszersza? I tak życie ciężkie!

— Właśnie dlatego ja pierwsza przychodzę, bo pan ze swymi dzikimi poglądami latąby milczał i cierpiał, no... i mnie cierpieć kazał! I po co?...

Ani się spostrzegli, że stali już u stóp Dewajtisa, na polance.

Słońce spuszczało się nisko, roztaczając na drzewa, ziemię i niebo purpurowe barwy. Dąb stary zakotłosał się jak żywy. Dawno już nie widział swego obrońcy. Zdziwił się sędziwy patriarcha dąbrowy, że młody człowiek oczu nań nie podniósł, nie powitał, tylko zatrzymał się opodal i patrzył w twarz dziewczki.

— Po co?... — powtórzył jej pytanie. — Po to, że między panią i mną jest otchłań, której, gdybym w nią i życie rzucił, nie zrównam! Więc stanąłem nad tym skrajem, i choć mnie obłąd chwycił, a wszystkie moce ciągnęły na tamtą stronę, nie poszedłem i nie pójdę! W bajkach pastuchy zaślubiają królowny, ale na ziemi tak być nie powinno...

Bóg dopuścił na mnie tę próbę, to prawda! Umiłowałem panią, sam nie wiem kiedy i jak... Ale milczał i cierpiał — i tak by zostało!

Zarumieliła się jak wiśnia, i uśmiechnięta, objęła wzrokiem jego rysy.

— No i cóż by z tego wynikło, z tej pana szczególnej taktyki, żeby pan trafił na dziewczynę z Europy, co umie także tylko milczeć, cierpieć i czekać? Gdzieżby się podziało nasze szczęście? Co by warte było nasze życie w ciągłym targaniu

szlachetnego i prawego uczucia? To tak dobrze mieć kogoś swojego na świecie, i marzyć, i kochać, a pan i to w sobie gnębił! Gdzie pan dopatrzy otchłani i mąk? Mnie tak lekko i błogo na świecie teraz, to i panu tak samo! Oto masz pan moją rękę: możesz ją pocałować i wziąć sobie na własność.

Potrząsnął głową i odstaąpił o krok.

— Nie godzi się, pani! Kochać nie grzech, i robak słońce kocha, ale ja nie mąż dla pani. Służyć pani będę i życie dam w potrzebie, ale skarbów waszych nie chcę, ani do Poświęcia na łaskę nie pójdę, bo wtedyby ludzie nikczemnikiem mnie nazwali—i słusznie!... Dziwiła się pani, żem na pieniądze chciwy i szczęściem je zowią. Nie dla sławy i potęgi ich pożądam: rzuciłbym je w tę otchłań i dopiero, równy pani, do nóg bym wam padł, prosząc o szczęście i spokój! Inaczej nie mogę, nie chcę!... Woć zmarnieć!...

— Gdzie pana rozum i zastanowienie? Więc dla gawędy ludzkiej rzucasz pan mię i serce?... Więc próżna pycha większa w panu niż uczucie?... To wstyd! Skarby, Poświęcie! Któż je zbierał? czyja to praca, trud, starania? Albożem choć grosz godała, i dlaczegóż mam cierpieć za to, że o kilkanaście tysięcy jestem bogatsza od pana? Co nam do ludzi! Wstyd panu!...

— Wstyd będzie, gdy ulegnę! — odparł twardo.

Wzburzyło się w niej wszystko. Oczy sypały iskry, usta drżały.

— Więc pan odrzuca mą rękę i serce dlatego, że się pan wstydzi bogactwa? Więc mamy dlatego zabić serce w piersi i odejść, jak obcy i obojętni, i nigdy się nie spotkać? Cierpieć dla nędznego względu, a żyć bez uśmiechu, osłody, bez bratniej dłoni, sami, wydziedziczeni z uczuć i szczęścia? I to ma być z pańskiej strony wielkie kochanie?...

« Czy pan rozumiesz, żeś w tej chwili postawił na kartę wszystko, żeś pan mnie zranił i obraził śmiertelnie, odrzucając moją dłoń, lekceważąc uczucie? I pomyśl pan, co za gorczyz została nam z życia, żeby we mnie, jak w panu, pycha była większą od miłości! Nie pomogłyby panu skarby i darmo byś kiedy padał mi do nóg! Odrzuciłbym za odwet dla do-

godzenia fałszywej dumie! Na marne poszłoby nam wszystko dla pychy. Pan tak czyni, daje mi przykład!...

«Ale ja nie mam pańskiej pychy i zanadto mi pan drogi. Odplacę się panu, ale inaczej! Ja wiem, żeś pan nie miał prawie matki i rodziny, więc cię nikt kochać nie nauczył. Nie zna pan serdecznej tęsknoty i niepokoju o miłą osobę, więc zdaje się panu możliwym przemoc uczucie, jak trud ciężki, niewczas i niewygody, obyc się bez kochania, jak bez jadła i snu!...

«Ja to wiem, i dlatego daruję panu wiele, bo mi pana żal serdeczny! Serce zemści się nad panem samo: gorzko pan odczuje swą pychę i odmowę! Odrzuca mię pan, odchodzę, ale się nie zmienię! Niedługo będę czekała! Gdy panu będzie smutno i ciężko nie do zniesienia, niech pan śmiało przychodzi! Będę tak szczęśliwa i tak panu wdzięczna! Będę dopiero wiedziała, że pan mnie kocha prawdziwie! Do widzenia zatem!».

Skłoniła mu się z daleka i odeszła, nucąc coś półgłosem. Była bardzo pewna wygranej, nie omyliła jej ta twarz posępna, bez żadnego pozornie wyrazu. Umiała już czytać na pamięć w niej.

Obejrzała się po chwili; szedł za nią o kilka kroków.

— A pan dokąd idzie?

— Ja...—zająknął się, nie wiedząc co odpowiedzieć — ja tylko zobaczę, bo prąd taki wartki, wirów pełno!

— Co? Już się pan troska o mnie? Czy nie mówiłam, że tak będzie? Dziękuję panu! Coby to panu szkodziło, żebym się utopiła? Przecież jestem panu niczym: ani narzeczoną, ani żoną!

Milczał, ale nie odstępował. Stanęli nad brzegiem. Łódka kołysała się na fali, ale bez przewoźnika. Jedno wiosło leżało na dnie.

— Pani sama przyplęła? — zawołał przerażony.

— Sama. Umieję sterować. W Ameryce zawsze prześcigałam Clarka. Niech pan wraca do domu, po tak mozolnym dniu. Do widzenia!

Zamiast odejść, zaczął odczepiać łańcuch od wierzby, łódkę przyciągnął do brzegu, podał jej rękę.

— Niech mi pan da wiosło pierwej!—zawołała.

Potrząsnął głową.

— Ja panią przewiozę! Uchowaj Boże wypadku! Proszę siadać!

Wskoczyła do środka, śmiejąc się uśmiechem radosnej szczęśliwości.

— I co ja pana mogę obchodzić? I co pan zrobi, jeżeli mi jutro przyjdzie ochota puścić się tą łódką aż do Niemna samej? A żebym odjeżdżała do Ameryki, ocean większy i straszniejszy! Wież mnie pan tymczasem, bardzo rada, uczy się pan kochać!...

Usiadła naprzeciw niego. Wiatr rozwiewał jej ciemny włos, uśmiech serdeczny i drażniący zarazem rozchyłał koralowe usta, oczy mieniły się życiem, tysiącem myśli i gorącymi blaskami uczucia.

Chwilami milczała, zapatrzona na ślad wiosła, potem prześnęła wzrokiem po niebie i wybrzeżu, i odetchnęła głęboko.

— Płynęłabym tak daleko i długo w pana milczącym towarzystwie! Moglibyśmy myśleć każde z osobna i nie wyszlibyśmy po za tę łupinę! Nie ma tu Poświęcia i skarbów, ani owej złowrogiej otchłani. Niech pan nie patrzy tak ponuro! Proszę mi lepiej powiedzieć, co pan myśli w tej chwili? Pewnie pan pieśń jaką ma w pamięci jak ja.

— Nie umiem śpiewać.

— Naucz się pan, jak wielu innych pięknych rzeczy. Ja panu zaśpiewam, w nagrodę trudu wiosłowania.

Pochylił się nad wiosłem i podwoił szybkość. Uciec chciał rychlej od jej widoku i rozmarzającej melodii jakiejś piosenki Gounoda, nuconej półgłosem. Ale Dubissa sprzyściła się, by dopił do dna czary udręczenia. Borykała się z nim zajadle, odrzucała gwałtem od brzegu. Nareszcie zdyszany dobil poświęckiego parku, wparł łódkę na piasek i wyskoczył, pomagając jej wysiąść.

— Dziękuję! Czy pan łódką wróci do siebie?

— Łódką. Odeślę ją pani zaraz.

— Dobranoc zatem i do widzenia!

Podali sobie dłonie; zawahał się i nagle pochylił pokornie i pocałował tę rękę którą odrzucił.

— Dziękuję pani i przepraszam! — wyszeptał głucho.

— Nie gniewam się i czekam pana.

Wskoczył do łódki i odepchnął ją na głąb.

— Wejdawutas! — zabrzmiał za nim wesoły głos.

— Siucham pani! — odparł z daleka już.

— Wracaj pan rychło!

Nie było na to żadnej odpowiedzi, tylko monotony, głuchy plusk fal o boki czółna. Irenka patrzyła długo zamyślona.

— I niech mi kto wytłumaczy, czemu on mi miłszy nad cały świat? — szepnęła do siebie, podnosząc brwi i zwracając do domu.

XI.

Nad Sandwilami unosiły się białe włókna pajęczyny i chłodne mgły jesieni.

Trawa porośla mogiłę Grala, nowe wypadki zatarły wspomnienie chłopca, a i śladu pogorzeli już nie było. Zakryły ją białe ściany, nowe strzechy, otoczyły płoty świeże, aż na ostatku począł się wznosić zrąb chaty, rosnąc z dnia na dzień.

Szlachta przyglądała się temu zdumiała, trochę może zawistna, utrwalając się jeszcze więcej w wierze w czary Ragisa.

Czyż bo nie czary pędziły do tej budowli od świtu gromady dostatnich gospodarzy, odciągały od własnej roboty dorodnych parobków, ściągały o każdym czasie setki roboczych rąk?

Nie brali pieniędzy, a śmieli się dzień cały i, odchodząc wieczorem z siekierami na ramieniu, napełniali zaścianek chórem pieśni, jakby szli z wesela, czy z kiermaszu. Czyż nie byli oczarowani?

Więc szlachta zaczęła się także garnąć z pomocą, skarbić łaski Ragisa, a stary chodził jak paw i podśpiewywał bezustanku.

Marek, jak zwykle, nie wtrącał się do drobiazgowych gospodarzy, nie wglądał w zarząd Rymki. Rzadko ukazywał się w zaścianku, przelotnie, na chwilę jaką w przejeździe jak gość. Panna Aneta korzystała z tej chwili, żeby go nakarmić, uściśkać, oporządzić odzież; Ragis, żeby się pochwalić i pogawędzić, Grenis, żeby odpaść zdrożonego konia.

Posiedział minutę, wypalił fajkę, dał rozporządzenie, rade, ucałował ręce starych i znów siadał na swój wóz drabiasty, słomą wysłany, i ruszał dalej.

Jesień—to żniwo dla ludzi pracowitych, gorący czas dla handlarzy, a on był jednym i drugim.

Rozliczne interesa przerzucały go z końca w koniec powiatu. Widziano go rzadko w domu, ale wiedziano, że skupił olbrzymią partię bydła, że wziął w dzierżawę jeszcze sześć innych młynów i ogarnął cały handel mąką, że kontraktował zboże po okolicznych dworach. Widziano, że systematem jego była wspólka, i w każdym z tych interesów brał do pomocy i do połowy jednego lub dwóch towarzyszy. Najczęściej Downar młody był wybrańcem; zastąpił miejsce Łukasza Grała i szedł w ślad Marka, posłuszny, sprawny, wierzący ślepo.

Od niego wiedział zaścianek o obrotach Czertwana i dziwił się, a ujrawszy go, kłaniał się nisko. Był im przykładem, chlubą i bodźcem!

Pod jesień rozeszła się wieść, że Marek ma kontraktować konopie. Żydzi chcieli go uprzedzić, odprzedać mu od siebie z zarobkiem, ale trafili na opór wsi i szlacheckich sadyb. Żmudzini odpowiadali *ne suprantu* na wszelkie propozycje. Czekali Marka.

Zabrawszy z dworów zboże i bydło, zajechał i do chat jego wóz drabiasty i zagarnął też sobie ten wielki produkt żmudzkiej ziemi.

Sypnęły się pieniądze do nicianych sakiewek i szmat ukrytych w głębi kuferków, i znów obliczali próżniacy z zawiścią, że trud tych targów i umów opłaci się tysiącami, a Downar rozradowany spoglądał na Ejnę i Dubisę i marzył, jak z wiosną popędzi do Niemna i morza ładownych barek długi sznur.

I znowu po dwu tygodniach nieobecności zawitał Marek do zagrody.

Pomimo kolosalnych sił, te dwa miesiące bezustannej wędrówki i niewygód odbiły się na nim. Szczerniał i schudł, oczy wpadły jeszcze głębiej i zaogniły się od czuwania. Usta

miał spalone, na czole brózd kilka więcej, w całej postawie okropne wyczerpanie.

W braku chaty sypiali w stodole, więc mu Ragis usłał wiązkę wonnego siana, ciotka przemocą zadała, choć się nie skarżył, jakiegoś cudownego biedrzeńcu, i układli go do snu, nakazując spocząć i nie pracować choć tydzień.

Już piałły pierwsze kury, gdy zbudził starego szelest siana obok.

— A co ty, synku, nie śpisz? — zagadnął.

— Nie, ojcze, jakoś sen nie bierze...

— A tobie co? Czy cię co trapi?

— Co mnie ma trapić?...

— Możesz ty niechcący skrzywdzić kogo, a teraz przypomniałeś? Podówezas to człowiek nigdy zasnąć nie może!

— Nie, ojcze, żebym krzywdę przypomniał, tobym się zaraz wrócił i naprawił. Tak mi coś przyszło.

— Może zła myśl, bo i to sen bierze z oczu. Zmów pacierz do cudownej paniarki z Ugian! Zaraz ci ona spokój zesle...

Stary, zatrwożony, a ufny w tę wielką pomoc, począł odmawiać półgłosem:

— *Swejkā Marja, mīlystos pītna, Wieszpatis su tawini.*

— *Pagyrtas tu tarp meterium, ir pagyrtas wsjsies žiwota tawo, Jezus* — wtórował mu gorącym, błagalnym szeptem głos Marka.

Po *Amen*, stary, pewny dobrego skutku, owinał się burką i zachrapał.

Długo jeszcze cichym szmerem, z akcentem głębokiego smutku i prośby, brzmiało od posłania Marka kilka razy, coraz ciszej:

— *Melskis už mus grieszus dabar ir in walando ja smerties musu. Amen.*

O świcie Ragis wstał i chciał wyjść nieznacznie, by nie budzić śpiącego, ale posłanie było już puste; wyrztał na podwórze.

Na świeżo ociosanej belce Marek siedział zgarbiony i tak,

jak go stary nauczył, émił fajkę, zapatrzony w kłęb dymu; chłodna rosa błyszczwała na jego odzieży.

— Już tutaj? Pociós się zerwał tak rano? — zawołał niezadowolony.

— Nie zwykłem się wylegać. Noc długa!

Oj długa, bardzo długa wydała mu się ta noc bezsenna, a'e nie więcej nie dodał i zagadał coś o budowli.

Ten przedmiot pochłoniął całą uwagę Ragisa i przerwał i gderanie.

Gdy cieśle przybyli, Marek wziął też siekiere w ręce, i zmieszał się z nimi w robocie. Nie pomogły prósy ciotki i krzyk kaleki, ciosał tak wytrwale, jakby tym na chleb miał zarabiać — nie odpowiadał nawet starym.

Zyły mu nabrzmiwały na rękach i czole, po twarzy biegł pot, ale nie ustawał. Bez surduta, schylony nad drzewem, przetrwał do wieczora.

Dnia tego przed niedzielą chłopci pracowali zawzięcie, mało kto się odzywał, o zmroku jeszcze brzmiały siekiery.

Nagle od bramy rozległ się obcy głos:

— Pochwalony Jezus!...

Marek głowę podniósł, topór mu zawisł w powietrzu. Na podwórzu stał Sawgard, ekonom poświcki, konno. Nie dojrzał go wśród robotników, więc nie czekając odpowiedzi na pozdrowienie, zwrócił się do Ragisa.

— Nie ma tu naszej panienki, kumie? — spytał żywo.

— Już dwa miesiące, jakim jej nie widział...

— I pana Marka nie ma?

— Jestem! Czego trzeba? — odparł wezwany, rzucając siekiere i podchodząc.

— Nie spotkał pan naszej panienki dzisiaj?

— Nie. Co się stało?

— Coś złego, panie! Jak sobie wyszła z domu rano, tak dotąd nie ma!

— Dokąd poszła?

— Nikt nie wie! Łódki nie znaleźli na brzegu, ale może

ją fala gdzie poniosła. Rozesłałem konnych po folwarkach, a sam przybiegłem po pana...

Marek obejrzał się na wszystkie strony, jak błędny, i onie miał na chwilę, dygocąc całem ciałem; potem, nie pytając o nic więcej, jak stał, wypadł za wrota.

— A coby jej się przytrafić miało? — zawołał Ragis — taka dziełna dziewczyna! Toż tu opryszkow nie ma, każdyby ją na ręku odniósł, a i zbłądzić nie sposób! Jednakowoż i ja pójdę szukać!

— I my z wami! — krzyknęli chłopci z Poświcia — ucho waj Boże czego na naszą panienkę!

Rzucili się gromadą ze Sawgardem; Ragis pokulał na końcu. Odwołała go panna Aneta.

— Da Bóg, wszystko się dobrze skończy, ale nasz chłopak poleciał z tej żalości nieprzytomny. Weźcie mu, dobrodzieju, kurtę i czapkę i pocieszcie trochę. I jabym poszła z wami, ale sił nie ma! Powiedzcie mu, żeby nie desperował daremnie. Biednyż on, biedny!

— Powiem, powiem, ale czy złapię go z moją kociubą? — zamruczał stary, oddalając się tak szybko, jak tylko mógł.

Nikt nie dogonił Marka. Pędziła go silniejsza moc, niż życzliwość służby i chłopów, niż przyjazny żal Ragisa. Dobiegł pierwszy Poświcia. Dwór cały był poruszony, wylękły; zewsząd wyglądały strapione twarze. Daremnie przeszukano folwarki i drogi; Irenka Orwidówna zginęła bez wieści.

Jak widmo rozpaczy, wpadł Marek bez czapki i surduta; nie potrzebował słuchać sprawozdania, nieszczęście i groza patrzała z oczu wszystkich.

Nie zatrzymał się nawet.

— Światła i za mną! — rozkazał i pobiegł przodem nad rzekę.

Kilkanaście smolnych trzasek i latarni oświatliło po chwili kawał wyrzeża, gdzie zwykle stała łódka pałacowa. Nie było jej na miejscu.

Marek, świecąc sobie głownią zapaloną, jął szukać śladów. Mieszało się ich tam kilkanaście, snadź ludzi, którzy tu szukali

niedawno. Wśród nich dojrzał cudem chyba, znak drobnej stopy, elegancko obutej: szła w kierunku rzeki.

Zdyszany, drżący, zlany potem, wyprostował się.

— Czółna!—zawołał takim tonem że kto żyw ruszył się.

Nie upłynęło minuty, pięć łódek podano. Skoczył w pierwszą, zatknął przed sobą żagiew wziął wiosło, popłynęli.

Noc tymczasem zapadła, i biała jak mleko a do kości przejmująca chłodem mgła, zawisała nad całą okolicą. O krok nic widać nie było, oprócz gęstego tumanu, wśród którego jak skierki świeciły pochodnie. Nareszcie i one poginęły. Noc przerwała poszukiwania na łądzie. Zresztą przez długi dzień przetrząsnęto całą okolicę, pozostała tylko rzeka nieubлагana, zdradna i wiecznie tajemnicza.

Chłopi rozeszli się, obiecując nazajutrz przyjść z niewodem, szukać zwłok; Ragis i Sawgard zasiedli w oficynie, i stękając, gadali o wypadku otoczeni kilku emerytami. Reszta służby była w czółnach z Markiem.

— A szukaliście na Dewajcie—pytał kaleka.

— Gdzie nie szukali!—rzucił desperacko stary ekonom.—
Dąbrowę strzęśli od krzaku do krzaku, wołali, zagląдали do lochów, ani śladu.

— A byli na starym cegielnisku?

— Byli...

— A w olszynie, tej grząskiej, za Bubiszkami?

— Byli...

— To nic innego, tylko ją woda zgubiła! Oj, bierze ta nasza Dubissa, bierze ofiar co rok! Pamiętacie księżego synowca, i Butwiła starego, i żonę Kantrymasa z dzieckiem? Było jej samej nie puszczać!

— Boże, Boże! — lamentował Sawgard, włosy targając — i mnieżto przyszło takiego końca doczekać A takie to było dobre, i wesołe, i rozumne! Takeśmy ją wszyscy pokochali, a ona do nas przywykła, jakbyśmy razem wiek przeżyli! Tak się cieszyli jak przyjechała, tak witali, tak dogadzali! I ot na co? Na zgubę tej pieśczołce naszej, tej nadziei!

— Szkoda, szkoda—kiwał głową Ragis — taka młodość i

zmarnieć! Nic nie pomoże, jak Bóg co sądzi! Murem się od śmierci odgródź, a przelezie, jak trzeba.

— Wyjdźmy, zobaczmy, może pan Czertwan wraca—westchnął Sawgard.

— Ej, nie wróci on, nie wróci, aż sam zmarnieje, lub zginie!—zamruczał kaleka smutno.

— Aha—potwierdził ekonom żałośnie—i mnie się zdaje, że oni przyłgnęli do siebie. Patrzałem z radością, jak szli czasem we dwoje i błogosławiłem im w duchu. Ot i nabłogosławiłem! Boże miłosierny, zdejmi z nas twoje karanie!

Rękawem kapoty otarł łzy i zamilkł, i wszyscy za nim płakali i milczeli, tylko Ragis coś mruzczał niezrozumiale.

Nikt o śnie nie myślał. Od czasu do czasu ktoś wyjrzał, dorzucił drew na komin i mruzczał, wdychając. Z rzeki nikt nie przybywał.

Nad ranem usłyszano szybkie kroki na podwórzu. Drzwi się roztwarły, na progu stanął Marek.

Suchoj nitki nie było w jego odzieży: włosy rozrzucone, w rękę kawał tlejącej żagwi i ułamek potraskanego wiosła.

Siny był od wilgoci i chłodu, a pomimo to pot biegł mu wzdłuż policzków, oczy patrzyły dziko, strasznie, bezbrzeżną rozpaczą; poruszył parę razy ustami, nim wy dobył z siebie jeden wyraz:

— Sieci!...

Nie pytano o nic. Sawgard poszedł, płacząc, do szpichrza po niewody. Ragis wziął Marka za ramię.

— Wypij biedaku wódki, bo się tu sam rozchorujesz. Włóż surdut, ogrzej się. Bóg wziął, woła Jego!

Młody człowiek wyrwał ramię gwałtownie i wyszedł, rzucając kalece okropne spojrzenie; zacisnął zęby, aż mu zgrzytnęły, ale nic nie rzekł.

Służba wzięła sieć olbrzymią i wróciła do czółen, on sam siadł w najmniejsze i przodował w tym smutnym połowie.

Zajęto pierwszą tonię. Sieć cicho spadła na dno rzeki i ogarnęła ją od brzegu do brzegu. Ciągniono ją z łódek powoli. Sam w swem czółenku Marek płynął w ślad, jak za konduktem pogrze-

bowym, i patrzył w wodę uparcie, suchą, rozszerzona żrenicą. On jeden z tych wszystkich ludzi nie płakał i nie desperował.

Wydobyto sieć i zbierano ją na brzeg powoli, tamując oddech.

Pełna była ryb, ale Irenki nie było. Zarzucono raz drugi. Dzień się robił na niebie i ziemi, rozbijając tumany mgły.

Rzeka pokryła się setką czółen: przyszli chłopci, dworscy z folwarków, na brzegach zbierał się tłum ciekawych, powietrze napełniło się płaczem kobiet, wołaniem wioślarzy, wieść smutna piorunem szła po okolicy.

Wśród tego mnóstwa ludu, wśród tych łkań i krzyków, wioślarz samotny na drobnej łódce stał nieporuszony i niemy, znieczulony na drewno.

Tylko, ilekroć dobywano sieć, rysy kurczyły mu się spazmatycznie i drganie przebiegało członki, a wszyscy stawali i cisza głęboka ogarniała brzegi rzeki. Ale, oprócz ryb, niczego nie wylądował niewód.

O południu stanęli za jurgiskimi młynami; stracono nadzieję znalezienia zwłok, zatrzymano się...

Tak kiedyś szukano daremnie ciała Olechny. Łupu swego nie zwykła oddawać Dubissa.

Marek opuścił wiosło i wpadłemi oczyma spojrzął w niebo sine, gęste od chmur; szukał tam wysoko ratunku dla rozdartej duszy.

Ludzie, przeziębli, głodni, opuścili ręce. W tej chwili z tłumy głos się podniósł i ktoś się przedarł aż do brzegu:

— Marku!

Olbrzym spojrzął machinalnie. Nad wodą stał ksiądz Michał Nerpalis, za nim Ragis i panna Aneta.

— Chodź do mnie, dziecko! — powtórzył proboszcz—chodź, czekam!

Po chwili wahania, młody człowiek, nawykły słuchać tego głosu, przybił do brzegu i wysiadł.

Ledwie się trzymał na nogach; wsparł się na wiosło.

— Pohamuj żalność, miej litość nad sobą, nie masz prawa się gubić!—zaczął ksiądz serdecznie.—Jeśli Bóg ją wziął, na

moc jego nie poradzim. Ludzie z sił opadli, niech spoczną. A ty chodź ze mną, rozkazuję ci, chodź!

Wziął go za rękę i pociągnął, a on szedł jak nieżywy bez oporu i woli.

Dobiło go moralnie i fizycznie to ostatnie nieszczęście.

Na drodze Grenis stał z wozem. Kazano Markowi siąść, siadł; ksiądz z ciotką towarzyszyli mu, Ragis został dla rozkazów nad rzeką.

Zajechali pod plebanię, posadzili go w ciepłej izbie u komina, panna Aneta starła mu pot i wodę z twarzy. Dał robić z sobą, co chciano, ani się odezwał, tylko nie tknął jadła i napoju.

Gdy nalegano potrząsał tylko głową i bezmyślnie, uparcie patrzył w ogień komina. Nie znaleźli słowa pociechy dla tej cichej, bezmiernej rozpaczki!

Usta staruszki poruszały się modlitwą, pleban chodził z kąta w kąt i palce wyłamywał ze stawów, wzdychając.

Po godzinie Marek wstał i ruszył do drzwi. Zastąpili mu drogę.

— Dokąd idziesz? Zostań — wołali.

Patrzył w oczy obojga z rozdzierającym żalem, do ich rąk się pochylił.

— Zlitujcie się nade mną! Nie wytrzymam w miejscu! Do Boga się pomodłę, gdzie mnie nikt nie zobaczy! Pójdę, pójdę!

Proboszcz chciał zabraniać, ale panna Aneta pociągnęła go za rękaw.

— Niech idzie, dobrodzieju, niech idzie! Nie bójcie się, złęgo sobie nie uczyni, chrześcijańską, złotą ma zbroję na duszy! Ale żal mu serce rozpiera; niech idzie, może mu Bóg łez użyć! Może zapłaci!

Marek wyszedł. Po chwili dopiero przypomniała sobie starowina, że go puściła bez kurty, w mokrej koszuli—wybiegła, ale już go nie dojrzała.

Wielkimi krokami szedł tąż drogą, którą w ów pamiętny dzień sądu przeprowadzał Irenkę. Margas nieodstępny szedł za nim o krok, teraz i szła z nim rozpacz i niedola, a w zimnej

fali leżała ta urocza i dobra, co mu z taką wiarą i radością oddawała wtedy serce.

Gdyby był upokorzył pychę i dumę, żyła by teraz szczęśliwa i bezpieczna: on by ją ustrzegł przed rzeką, sam by prędzej zginął; uśmiechałaby się do niego, złościła życie, dźwigała w każdej trosce.

Odszedł i Bóg go skarał, zgnębił, nędzę całą ukazał tego triumfu pychy!...

Kto go teraz dźwignie, uratuje? Kto położy ręce na wyjącą, rozpaczoną duszę i powie: Pokój tobie! Kto?

Dewajtis stał na polance i płakał po dniach lata. Odleciało od niego świegotliwe ptactwo i rodzina orla rozproszyła się po świecie, a chłody jesieni obrywały liść po liściu z jego szat i rozrzuciły po ziemi daleko, jak szmaty złota i purpury.

Na mchy i zeschnięte paprocie upadł Marek i zajączał raz pierwszy od wczoraj, i dąb ucichł w swej żałości i, zda się, pytał go z politowaniem:

— Kto cię skrzywdził, młody, kto?... Czy ludzie?... Bracia?... Nie płacz, nie tylko dla nich służysz i pracujesz! Zli przemina, a ty zostaniesz o'brzymem!

Jęk nie ustawał głuchy, przejmujący. Jak robak, leżał ten olbrzym i cierpiał.

— Co cię boli, młody, co?... Czy ci ziemię zabrano i dom, i korzenie twe darmo szukają oparcia, wyrwane? Co cię boli?...

Ale głosu nie było na wargach zgnębionego, i tylko jękiem odpowiadał:

— Nie wstanę już! Nie wstanę! Boże, miej zlitowanie!

A drzewo snadź pojęło ten jęk, bo poruszyło się aż do szczytu.

— Bóg ma prawo i moc nad tobą! Prawo, jak ojciec! Moc, jak pan! Jeśli on cię dotknął, nie ożyjesz własną wolą! Proś łaski, jak ja Go proszę o wiosnę i słońce, a nigdy mi nie odmówił!... A oto zamieram, a wierzę, że zmartwychwstanę!... Wierzę, wierzę!...

— Boże, Boże, miej zlitowanie! — powtarzały bezdźwięcznie usta człowieka.

I umilkło wszystko na chwilę. Dąb stał bez ruchu, posępny, a biedny bohater wiał się na ziemi bez głosu, bez siły do skargi nawet.

Nagle w tej ciszy ponurej rozległo się dalekie szczekanie psa. Ozwało się parę razy i po chwili zziajany wpadł Margas na polanę, do nog pana.

Marek głuchy był na odgłosy zewnętrzne; pies go trącił, zaczął drapać łapą po ramieniu, lizać po rękach, nareszcie usiadł na ziemi przy głowie leżącego i skomlał, i szczekał bezustanku.

Poruszyło to nareszcie nieszczęśliwego, przypomniało życie. Długi czas minął, jak tu zaszedł; wieczór zapadł. Podniósł się mozołnie; skostniały był od zimna, febra nim trzęsła, głowa tylko pałała żarem.

Obejrzał się, zbierając myśli. Nie pamiętał, gdzie się znajdował; po długiej chwili zaledwie wróciła mu przytomność, spojrzął na psa, jedyne wiernego we wszelkiej doli i niedoli, towarzysza.

— Nie ma jej, Margas! — szepnął — niczego nie ma! Tylko żyć trzeba... jak?

Pies wspiął mu się na piersi i piszczał, jakby rozumiał; potem odbiegł o parę kroków, obejrzał się i wołał szczekaniem.

Marek się zatrząśł. Czemu on go wzywa? Dokąd chce prowadzić? Może znalazł gdzie w łozie to, czego daremnie szukali—zwłoki?...

Na tę myśl poskoczył naprzód, a pies, rad, że go zrozumiano, ruszył żywo, oglądając się ciągle i skomląc niespokojnie.

Nie nad rzekę go wiodł jednak, ale w głąb dąbrowy, między nieprzebytą gąszcz malin, ożyn, chmielu, zawałoną napół spróchniałym drzewem, które tu kiedyś, przed laty, burza podruzgotała.

Margas czasem gubił ślad, węszył i zawracał, a Marek szedł, sadząc jak jeleń przez powały, nie dbając o kolące krzaki, co mu szarpały odzienie, kaleczyły ręce. Mrok utrudniał jeszcze bardziej tę drogę.

Margas był brzydki i złośliwy. Nie dał się nikomu dotknąć, oprócz pana, bywał często bity i wypędzany i stale głód cierpiał, bo Marek czasu nie miał o nim pomyśleć; nawet Ragis przypisywał mu złe skłonności i oprócz moralów nic mu nigdy nie ofiarował. Zwierzę to, chude, o burej, nastroszonej sierści, dziko patrzące, miało jednak dobrą pamięć.

Nie zapomniał drobnych rąk dziewczyny, która, nie zrażona jego odstręczającą miną, gładziła niekiedy jego kudły, pełne ostów i pyłu drożnego; pamiętał, że w Poświciu dawała mu chleb i mleko, a kiedyś nakarmiła pasztetem. Margas to wszystko zakarbował w swej wiernej psiej głowie i ślady jej znał dobrze. To też choć błędził w gęstwinie, odnajdował trop niewidzialny i doprowadził pana, gdzie chciał.

Stał się nagle i z triumfem zaszczekał, zaglądając do otworu jakiegoś, zakrytego napół gałęzmi pnących się roślin, wybujałych jak w dziewiczej puszczy.

Marek padł na ziemię, rękoma dał kolące pędy, zdawało mu się, że tam w głębi coś się ozwało, jak słabe stękanie.

Była to zapadlina lochów zamkowych, czarna, głęboka. Mrok gęstniał z każdą chwilą. Wyobraźnia ludu wypełniała te tajemnicze przejścia widmami krzyżaków zabitych, a wiesznie chciwych żmudzkiej krwi. Nie wiadomo było, jak wysokim był kurytarz: mógł mieć na dnie otchłania, zrobioną przed wiekami na półapkę ścigającym! Stękanie podobne było do żałosnego krzyku czerwonych sów, zaludniających zwaliska.

Wszystko to z szybkością błyskawicy przemknęło w myśli Marka, gdy rozszerzał otwór; ale ni: powstrzymało go ani na chwilę.

Miał na sobie pasek długi, rzemienny. Drżącymi rękoma umocował go do zwalonego drzewa, rosnącego tuż nad tą czarną otchłanią, drugi koniec okręcił około ręki, przeżegnał się i zniknął pod ziemią. Spadł na kupę gruzów, kamieni śliskich i zgnitych liści; znalazł się w zupełnej ciemności, nad głową jego siewało ledwie niebo i rysował się kontur głowy Margasa, w prawo i lewo wąski wysoki kurytarz.

Jęk czy stękanie ucichło, i znowu go ogarnęła rozpacz. Ten

głos było to złudzenie rozdrażnionych nerwów. Strachu on nie znał, ale podniecenie chwilowe go opadło. Czego on tu przyszedł? Pies może zwęszył borsuka? Skąd mógł sądzić, że znajdzie w tej gąszczu odludnej zwłoki swej ukochanej? Oszałał chyba!...

Gdy tak stał i brał już za pasek, by się dźwignąć napowrót, nagle zastygła mu krew w żyłach, pot oblał skronie. Gdzieś, tam, w głębi tej ciemni ohydnej, rozległ się ten sam słaby jęk, ledwie dosłyszalny. Margas na gorze skomlał coraz zajadlej.

Marek, trzymając się ściany, zrobił kilka kroków. Zęby mu szczękały...

— Kto tam? — spytał głośno, szukając zapatek w kieszeni, ale ręce mu opadły, i stanął jak gromem rażony.

Z czarnej głębi dobiegł jego uszu słaby, mdlejący głos; głos zmieniony, bez srebrnego dźwięku i żywego wyrazu, ale znajomy—o! jak znajomy!

— To pan? Ja wiedziałam, że pan przyjdzie, ale... już nie mogę!...

Jęk się rozległ i grobowe milczenie.

Zapałka błysnęła w ciemności. Kilka nietoperzy spłoszonych musnęło go po twarzy, z gzymsu u sklepienia zerwała się sowa i, łopocąc okropnie, umknęła dalej, otrząsając ze ścian pleśń i kurz; zapałka rozświeciła na chwilę zakątki i zgasła, ale Marek już drugiej nie zapalał. Dojrzał na ziemi, z głową na kamieniu leżącą postać dziewczyny bez ruchu już jak martwą.

W ciemności padł na kolana przy niej.

— O Boże! o Boże! — wyjąkał wybuchem całej duszy. — Czy jest lepszy ojciec niż Ty, i lepszy Pan? O Boże, Boże!

Chwilę, rozszalały, obezwładniony szczęściem, jak przedtem rozpaczą, klęczał z czołem w prochu, potem krew buchnęła mu do znękanego serca i rozplynęła się jak fale ożywcze, gorące, młode, pełne woli i energii.

Na ręce wziął tę swą zgubioną a odzyskaną cudem i ruszył do wyjścia.

Noc zupełnie zapadła. Irenka, omdlała, bez czucia, zwiśla mu w ramionach. Podtrzymując ją jedną ręką, mozolnie wy-

dobyl się na świat i tam złożył na ziemi. Omdlenie przeraziło go; chwilę stał, nie wiedząc, co robić i opędzając się od Margasa, który z całą świadomością, że on to był istotnym wybawcą, lizał ją po rękach i skakał wokół.

Świeże powietrze i chłód nocy orzeźwiły dziewczynę. Życie wróciło jej na twarz, i nareszcie z westchnieniem otworzyła oczy. Mizerne oblicze ponurego człowieka pochyliło się nad nią, pełne blasków i szczęśliwości, a głos, brzącający niezmierną czułością, spytał z cicha:

— Czy panią co boli?

— Nogę zwichnęłam, padając... okropnie boli. Czy to już późno?—odparła słabym głosem, próbując się uśmiechnąć.

— Około dziewiątej godziny. Dobę szukamy pani! Gorsza niż wiek taka doba!—rzekł głucho.

— O, wierzę, bo i mnie się tak wydało, ale byłam pewna, że pan mnie znajdzie! Żeby nie ta noga, do byłabym się sama może. Ale z bólem tym nie mogłam się ruszyć, ani głośno wołać ratunku. Jęczałam i mdlałam na przemiany. Pić mi się chciało okropnie, i nareszcie płakałam w poczuciu swej bezsilności. Tak mi wstrętnem było zginąć podobnie! Aż gdy postyszałam psa, przeczułam, że to Margas i pan, ale już sił nie miałam wołać. Och, jak to miło żyć!...

Odetchnęła i wzdrygnęła się cała.

— Jak tu zimno!—szepnęła.

— Można panią zanieść do domu? — spytał nieśmiało.

— Przecież pan mnie tu nie rzuci, a ja iść nie mogę. Ależ pan pokaleczony i obdarty! Gdzie pan surdut i czapkę zgubił?

— Nic nie wiem, co się ze mną działo od wczoraj!—odparł, uśmiechając się.

Wziął ją na ręce jak piórko i ruszył, nie czując ciężaru, przez gęstwinę, kierując się na huk rzeki.

— Jak zimno!—szepnęła po chwili.

Nie miał czem jej otulić, ale w piersi biło mu gorące serce wielką miłością, co już wszystko zwyciężyła.

— Czego pan się uśmiecha?—spytała, spoglądając ku niemu.

— Ze szczęścia!—odparł wesoło i szczerze.

Zamilkła na chwilę.

— Przed dwoma miesiącami czemu go pan nie czuł? Nic się nie zmieniło! A ten czas jak nam zszedł obojgu? Czy bardzo miło panu? Bo mnie to wcale nie! Codzień myślałam, że pan przyjdzie, i smutniej mi było z dnia na dzień! Zawiodłam się na panu, miałam za lepszego, niż jesteś w istocie. I teraz może odniesie mnie pan do pustego domu i, uspokojony, pożegna na zawsze i odejdzie pyszny i dumny? Nie będę się nawet dziwiła!

— Już nie odejdę i nie dumny jestem... Wolę znosić ludzkie oszczerstwa, rolę slugi, rezydenta, co pani każe, ale drugiej takiej doby nie zniosę. Silny jestem, ale nie na takie rozpacze; wytrzymały, ale nie na taką mękę. Pani mówiła kiedyś, że duszę mą w żar trzeba włożyć, by zmiękla... Wykuły ją na taką modłę, jak pani chciała, ta noc i dzień... Jest potęga, co mnie zmogła, i takim wobec niej pokorny, jak małe dziecko.

Mówił to, urywając i wahając. Miała prawo i sposobność zemścić się na nim za dawną odmowę, podrożyć się teraz ze sobą. Uśmiechnęła się wprawdzie z triumfem, ale, zamiast odwetu, objęła go rękoma za szyję i położyła ciemnowłosą głowę na jego ramieniu, a on, mimowoli, niezdolny słowa wymówić, przycisnął ją silniej do piersi, drgającej szaleniem.

— Bardzo panią noga boli? — zagadnął po chwili z cicha.

— Zapomniałam! — odparła — sądzę jednak, że bardzo będzie bolała potem, w Poświciu. Teraz mi tak dobrze... Ale panu pewnie ciężko dźwigać taki ciężar?

— Czy ja co dźwigam?... — rzekł wesoło — zapomniałem! Będzie mi ciężko potem — w Poświciu!...

Uśmiechnęli się oboje sobie w oczy.

— Już nie będziesz krytykował bajek, Wejdawucie! — rzuciła żartobliwie. — Gdzie znajdziesz teraz miejsce na otchłań między nami? Jedną mamy drogę przed sobą, jeden cel, jedno serce... Czy ci czego brak jeszcze? Tak dobrze żyć na świecie!... Tak dobrze!...

— Tak dobrze! — powtórzył półgłosem, ogarniając ją spojrzeniem.

— Kto panu doniósł o moim zniknięciu? — zagadnęła po chwili.

— Sawgard wczoraj wieczorem. Przez te dwa miesiące borykałem się sam z sobą; głupi, myślałem, że zmożę kochanie... i takie! Dzień i noc pracowałem, zebrałem znowu tysiące, rósł mi grosz w dłoniach, a słabość w duszy. Boże, Boże! co to za męka. I na co się zdała?... Omijałem Poświęcie, drżałem na myśl przypadkowego spotkania się z panią! I cóż z tego?... Nocą, jak złodziej, płynąłem do parku, przekradałem się gęstwiną, by na dom popatrzeć; trzy razy byłem, przeklinałem siebie, pogardzałem, i po paru tygodniach siedłem znowu... Oto moja siła i wola!

Ręce Irenki zacisnęły się mocniej na jego szyi, około swych ust poczuł jej oddech — jak pożar przeszedł on mu po tętnach i twarzy!

Pochylił się nieco, i ten chłodny, dumny, olimpijsko spokojny człowiek sam się nie spostrzegł ani opamiętał, jak ucałował usta swej królowej gorąco i długo, rozszalały szczęściem i kochaniem...

Potem nie mówili nic więcej. On może karał siebie za ten brak woli i siły, ona uśmiechała się z głową na jego ramieniu i marzyła, nie troszcząc się o drogę, o ból nogi, o noc ponurą wokoło. Nie skarżyła się na chłód nawet.

Nagle ocknęła się, bo on stanął.

— Gdzie my jesteśmy? — spytała obojętnie.

— Nad rzeką. Muszę tu panią zostawić i poszukać na wybrzeżu czółna. Nie boi się pani?

— Ja się niczego nie boję! Alboż pan nie ze mną, blisko? Proszę mnie położyć pod drzewem i zostawić mi naszego psa. Będę czekać cierpliwie.

Umieścił ją troskliwie, a sam pobiegł kłusem. Nie upłynęło kilka minut, zapluskało wiosło. Rzeka ich porwała i poniosła w stronę Poświęcia.

W parku wziął ją znowu na ręce. We dworze nie spano. Sawgard ze służbą płakali w oficynie, po dziedzicu snuli się ludzie, wzburzeni wypadkiem. Raptem, wśród tych szeptów,

głuchej nocy i snujących się postaci, zabrzmiał, jak trąba anielska, donośny głos Czertwana:

— Ludzie !Otwierać dom! Gdzie Sawgard!

— Jezu Nazareński! Panienska! — zawrzeszczał dzikim głosem pierwszy, co się zbliżył.

Powstał zgiełk nie do opisania. Zawrzało, jak w kotle. Potracili wszyscy głowy. Filemon biegał, młody, Sawgard to śmiał się, to szlochał.

Krzyżowały się tysiące zapytań, opowiadań, rad, wykrzykników. Znosił każdy jadło, napoje, drzewo do komina, bandaże, szarpie, cudowne odwary, a wśród tego Irenka się śmiała uszczęśliwiona, wzruszona tą troskliwością, a Marek patrzył w nią, jak w słońce, i promieniał.

— Na to zwichnięcie nikt nie pomoże bez mojej ciotki — rzekł wreszcie. — Niech Justka ułoży panienkę, a ja pobiegnę do domu i ciotkę przysię.

— Chwilę jeszcze — zaprotestowała Irenka. — Założą konie dla pana, a tymczasem spożyjemy we dwoje swą zaręczynową ucztę...

W pół godziny potem pędził Marek, co koń wyskoczy, na plebanię.

I tam czuwano jeszcze, bo się zaczynało o niego niepokoić, i Rymko właśnie z Grenisem mieli iść na poszukiwania.

Wpadł do stacji jak burza.

— Dobry wieczór! — pozdrowił wesoło.

Struchleli! Na myśl im przyszło, że oszalał...

— Żyje panna Orwidówna! — zawołał, chyląc im się do rąk.

— Matko cudowna! — krzyknął Ragis, wytrzeszczając oczy

— A ty ją gdzie wynalazłeś? I poco my się tyle nagryźli?...

— W lochy wpadła przypadkiem tam, w jeżynowym gąszczu.

— To zawsze tak z łakomstwa. Ma się rozumieć: « Chciało się Zosi Jagódek! ». A tu jegomość o mszy żalobnej rozmyślał! Skaranie Boże z dziećmi i z kobietami!...

— Chwała cudownej panience! — rzekła panna Aneta —

A czy zdrowa biedaczka? Tyle godzin strachu o głodzie i chłodzie!

— Nogę zwichnęła, padając w kurytarzu.

Panna Aneta, nie słuchając dalej, podreptała do krzesła, gdzie leżała jej jubka watowana. Marek szedł za nią, nie rozumiejąc, czego szuka.

— Jeśli łaska cioci, proszę obejrzyć owe kalectwo i poradzić cokolwiek.

— Zaraz, Mareczku, zaraz, tylko się ubiorę ciepłej i z kufierka wyjmę garść ziółek. Konika mi dasz — mówiła, odziewając się żywo.

— Dziękuję cioci stokrotnie. Jabym jeszcze o coś cioci poprosił...

— Może chcesz, żebym przy niej została, nim wyzdrowieje?...

— Ona nie śmie cioci o to prosić, ale takby rada. Samiutka w domu sierota.

— Czemu nie śmie? Toć szczęście komu usłużyć. Zostanę, Mareczku, zostanę, nie turbuj się. Tylko przez to moją robotę w ogródku opuszczę, ale to nic, odrobię wiosną. Bądź spokojny; jeśli Bóg da, że dożyję, to nasadzę jeszcze, nahoduję ci ogródek! A gdzie ten konik, bo do chorego nie godzi się zwlekać? Jużem gotowa!...

— Czekają na ciocię konie poświckie. Dziękuję z całego serca!

— Moje dzieciątko, bądź zdrowe! W sypialni księdza przygotowałam ci bieliznę i odzienie. Dobrodzieje moi, nakarmcie go, ogrzejcie! Pochwalony Jezus!

Marek wsadził ją do powozu i pożegnał błogosławieństwem.

Gdy wrócił, Ragis zajął mu w twarz i głowę pokręcił.

— Coś ty, chłopcze, taki ładny raptem się zrobił? — spytał, mrużąc oczki.

— Więc do dzisiaj byłem brzydki? — odparł młody, a zęby mu błysnęły w uśmiechu.

— At, niebrzydki, ale jakiś nieosobliwy. Nie prawda, dobrodzieju?

— A prawda, prawda — potakiwał ksiądz, niosąc własnoręcznie kubek miodu i pełną butelkę.

Młody przyjął podany sobie napój i wychylił duszkiem. Przy tym ruchu błysnęło na jego palcu coś, czego także wczoraj nie było.

— A to co? — krzyknął Ragis, chwytając go za rękę — A ty skąd porwałeś orwidowski sygnet, ty, nic dobrego?

— Nigdzie nie porwałem—odparł swobodnie—połowę zostawił mi ojciec w spuściznie, a połowę dostałem z Ameryki.

— Aha, ma się rozumieć! Orwidów klejnot: panna na niedźwiedziu. To dla ciebie stworzone, ty burczymucho. Widzi dobrodziej?

— Widzę, widzę! A prędko dasz na zapowiedzi? Co?

— Prędko! — rzekł z uśmiechem, czerwieniejąc cały.

— Ot tobie! Z proboszczowej opłakanej mszy żalobnej wyniknie *Veni creator*. Gdzie moja noga? Gwałtu! Kto bezemnie tańcami pokieruje? I wierz tu w czyją śmierć! Bóg dobry nad nami!

— Niech mu będzie chwała!—wyszeptał Marek.

— A co? Bardzo ci teraz szkoda Marty? — zauważył Ragis, zacierając ręce. — Wojnat piorunował, że cię zgubi, a sam zmarniał, nieborak. Tak to zawsze bywa, gdy kto się porywa na tego, którego ja do chrztu trzymałem! Eho, ho! ma się rozumieć! Za rok do Skomontów wrócimy z młodą panią.

Marek wyprostował się, oczy mu się zaiskrzyły.

— Mówiłem ojcu kiedyś, że Żemajtys zawsze ostoi, a wyście mi ducha odbierali. Pamiętacie?

— Gadałem, synku, żebyś gorzej nie uwiązał. Ho, ho, podlewałem ci oliwy! A bajeczkę o Wejdawucie kto opowiadał? My z czarną Julką wiedzieli, jak trawa rośnie. Ma się rozumieć! Dopomagałem, ile mocy, bo mi twoja panna strasznie przypadła do gustu. Dobra dusza, słowo daję. Jeża mi podarowała, a jaki zmyślny! Szpileczką go nazwałem dla odmiany.

— Ragis, ja wam całe życie powtarzam, że zbytnio się lubujecie w zwierzętach — upomniał proboszcz, grożąc palcem.

— Dobrodziej bo mi nigdy nie pozwoli się wygadać! Ja

jeszcze dobrodzieja przekonam...—wołał stary, zapalając się do długiej dysputy.

— Nie gadaj, Ragis, nie gadaj! — bronił się ksiądz, zatykając uszy.

— Tak to zawsze z dobrodziejem. Ma się rozumieć! — burczał kaleka.

Tej nocy nic już Markowi nie przerywało snu, a nazajutrz rano Ragis długo trząsał go za ramię, nim zbudził.

— A to, synku, zapomniałeś, że ci przybył jeszcze jeden obowiązek? — krzyczał. — Wstawajno, wstawaj! Przysłali już po ciebie z Poświcia, niby to panna Aneta. Uhm! Ma się rozumieć, panna Aneta, jakby ona kiedy odważyła się ciebie turbować! Oblecż godowe szaty i marsz!

Czertwan porwał się, jak oparzony, ubrał w minutę i ruszył prędko, a kaleka pokulał w stronę zaścianka, pykając fajkę i monologując pod nosem:

— Ho, ho! Ma się rozumieć! Czwałem na pozycję! Dobrze go wymustrowała i szybko! Już jak mnie dziewczęta opadną po lubczyk, słowo daję odeślę do Poświcia. Jeśli mego chłopca tak oswoiła, to na świecie nie ma większej czarodziejki.

Zamyślił się, pokiwał głowę, pokręcił wąsy i zanucił:

Była babuleńka rodu wysokiego,

Miała koziołeczka bardzo upartego...

Nie dośpiewał dalszych losów babuleńki i koziołeczka, bo wchodził w ulicę Sandwilów, gdzie otoczyła go szlachta, dopytując o Orwidównę.

Odłożył swą rapsodię na wolniejszy czas...

XII.

Lipy stały w kwieciu niespełna rok potem, otulając gęsto stare gniazdo Orwidów. Miliony pszczoł krążyły wśród rozłożystych konarów, a u ich spodu na ziemi uwijały się karawany mrówek i ludzi pracowitych. Nikt nie próżnował pomimo upalnego południa, nawet stary Filemon udawał zajęcie, chodząc z pokoju do pokoju i ścierając po raz setny imaginacyjne kurze.

Lipy zaglądały w otwarte okna, rzucając kłęby miodowej woni i puch srebrzysty; pszczoły, uzuchwalone ciszą w domu, docierały bezkarnie aż do łysiny głuchego kredencarza: nikt ich nie płoszył. Dom wyglądał pusty, tylko u jednego okna słychać było ludzkie kroki i suwanie sprzętów.

Tam wewnątrz oryginalnie wyglądało. Ściany pokoju otaczały półki szerokie, zastawione od góry do dołu tysiącem kuchennych specjalów i skarbów kobiecej skrzętności. Czego tam nie było! Pęki suszonych grzybów, antalki octu, szeregi butelek z nalewkami i sokiem, konserwy, konfitury, stopy żółtego wosku, białego lnu — zapasy, mogące wykarmić obłązoną fortecę.

Na ścianach wisały ogrodnicze narzędzia i wiązanki suszonych ziół i kwiatów, a całą szerokość tej szafarni zajmował stół biało malowany, nad którym schylona postać kobieca nakładała z wielkiego kośza na kryształowe talerze wonne maliny.

Pszczoły zaglądały i tu, znęcone zapachem wosku i miodu, uwijały się nad malinami, wtedy kobieta podnosiła głowę i

przyglądała się z lubością skrzętnym robotnikom. Cieszyła ją ta praca niestrudzona.

Nagle ktoś z ogrodu rozchylił gałęzie lip i cień stanął między słonecznym dniem w oknie.

— Ciociu! Szukam wszędzie!—zawołał dźwięczny, młody głos.

Kobieta upuściła łyżkę i poczciwa, stara twarz panny Anety Czertwanówny zwróciła się do okna.

— Kogo szukasz, moje dzieciątko? — spytała niespokojnie.

Ciemna głowa Irenki przechyliła się dalej do środka, oparła oburącz na krawędzi okna i zaśmiała się do staruszki blaskami piwnych oczu, białymi ząbkami, koralem świeżych ust. Śliczna była w tej jasności słońca i wyrazu twarzy.

— Kogo? Cioci, naturalnie! Jedynej, wiernej towarzyszki! Jestem tu od rana, jak zaklęta królewna. Opuścił mnie mąż, Julka Nerpalis, nareszcie Marwitz. Załatwiłam swe roboty i szukam cioci wszędzie. Czy to dla naszych gości ten specjal? Za godzinę wrócą, moja śliczna! Na dworze upał i kurz. Niech się ochłodzą, jagodami. Może i tobie, moja złota, podać?

— I owszem, ciociu, bo i ja się dość natykałam kurzu. Byłam w trzech folwarkach. Ten nieznośny Marek siedzi sobie w Kownie i ani dba, że tu potrzebny. Zostawił mi cały kłopot i rad. Ani pomyśli, że na moją głowę dość jednego Clarka z nieustannym lamentem i przypuszczeniami różnych nieszczęść.

— Nie rad on siedzi, moja duszko, cóż, gdy trzeba! Ale mi dziś kabała powiedziała, że rychło wróci. Proszę malinek, niech smakują.

— Dziękuję cioci. Podobno nasz czarodziej niezdrów? Wyprawiłam Clarka, żeby go odwiedził.

— Najgorsza choroba nasza starość. Czego to by się nie zrobiło, żeby się miało młode ręce, nogi i głowę? Stara się człowiek, stara, i zawsze mało.

— Czyż ciocia jeszcze mało robi, albo nasz Ragis poczciwy? Ciekawym, kto by mógł więcej?

— Moje dzieciątko! To twoja dobroć tak mówi tylko, ale co prawda, to prawda. Daje wam Bóg za to swą łaskę i dawać będzie. Idźcie, pszczołki, idźcie na boży świat, bo okienko zamknę.

— Gdzież to ciocia znowu się wybiera i mnie wyprawia razem ze pszczołami?

— Pójdę, moja duszeczko, do ogrodu do maku. Siaki taki grosz się tam zbierze dla Marka na tytoń, a potem na wies zajrzę, bo dziatwa bardzo na koklusz choruje. Jest i na to ziółko przy bożej pomocy.

Irenka chciała coś mówić jeszcze, gdy wtem turkot rozległ się na drodze.

Nadstawiła ucha i zarumieniła się radosną nadzieją.

— Może on? — szepnęła do siebie, odchodząc szybko w stronę ganku.

— Pewnie Clarke—dodała o wiele spokojniej, słysząc, że hałas to był powozu, a nie pocztowej bryczki.

Zahuczały koła na kamieniach podjazdu i ucichły.

— Pewnie goście — westchnęła Irenka. — Będzie pusta rozmowa, ciekawe spojrzenia i w rezultacie plotki. Nic się nie dziwi, że Marek tak nie lubi etykietalnych wizyt.

Weszła na ogrodowy ganek i rzuciła z niechęcią na stół kapelusz i rękawiczki.

W tej chwili młodszy kolega Filemona wyszedł z domu i ogłosił:

— Proszę jasnej pani, przyjechała pani ze Skomontów.

Promienna twarz Irenki spoważniała natychmiast. Cień chłodu pokrył złotawe źrenice, zagryzła usta i, nie mówiąc słowa, wyszła na spotkanie rzadkiego gościa. Macochy Marka nie widziała już od roku.

W salonie odbyło się przywitanie wedle wszelkich wymagań etykiety.

Pani Czertwanowa cała w atlasach, czerwona i zakłopotana, umieściła się na kanapie, Irenka naprzeciw niej na krześle.

— Co za cudowną ma pani rezydencję — zaczęła się zachwycać wdowa — jakie kwiaty, szpalery! Jak to starannie

utrzymane! Nic tu nie brak, ażeby pobyt uczynić przyjemnym. Jaka pani szczęśliwa, posiadając to wszystko!

— Nawet bez dodatku szpa'erów i kwiatów nic mi do szczęścia nie braknie — uśmiechnęła się lekko młoda kobieta.

— Zapewne, zapewne — potakiwała, wzdychając, pani Czertwanowa.

W tej chwili, przez drzwi od ogrodu wsunął się wielki bury pies i ułożył u nóg gospodyni, nieufnie spoglądając na gościa. Pani Czertwanowa usunęła skwapliwie swe atłasy, a Irenka pogładziła psa.

— Idź, Margas, zobacz, czy pan nie wraca — rzekła mu.

Zrozumiał, bo wstał i wyniósł się z pokoju.

— Więc nie zastałam Marka? — zagadnęła niespokojnie macocha.

— Nie pani, jeszcze z Kowna nie wrócił.

— Bardzo mi przykro. Chciałam obojgu złożyć moje spóźnione życzenia. Okoliczności nie pozwoliły mi być na ślubie... Bardzo mi to było przykro...

— I nam także — odparła lakonicznie Irenka. — Z rodziny Marka, jeden poczciv Kazimierz przybył na nasz ślub, za co mu stokrotnie jestem wdzięczna.

— Biedny Wicio, ciężko był chory wówczas, nie mogłam go odstąpić, choć szczerze pragnęłam powinszować Markowi takiego losu.

— Sądzę, że mnie raczej należały się powinszowania. Wracając do Kazimierza, wezwał on teraz Marka na swoje zaręczyny z panną Jazwigło. I ta para warta powinszowania i serdecznych życzeń, bo oboje bardzo poczcivi.

— Ach — jęknęła pani Czertwanowa — co to za partia? Kazimierz sklep założył.

— Cóż w tem złego? — ruszyła ramionami Irenka. Nie sklep właściwie, ale kantor zbożowy. Być uczciwym handlarzem równie zaszczytnie, jak rolnikiem lub urzędnikiem. Praca to, jak każda inna.

— Zapewne, zapewne, ale Kazio mógłby osiąść w swym

majątku. Długów nie miał i Marek odstąpiłby mu z dzierżawy.

— Mój mąż, pani, nie ustępuje nigdy od jednego planu, a Kazimierz bardzo chętnie sprzedał mu swą fortunę.

— Wiem, wiem. Znam Marka. I my mu ustąpić musimy. Pani słyszała rezultat sądu, który się odbył ostatecznie we wtorek?

— Słyszałam od pana Rymwida wczoraj. Próba poprawy pana Witolda spełzła na niczym a cyfra długów przenosi wartość majątku.

— Niestety! Biedak się bił, jak ryba w sieci, ale nieszczęście go przesładowało. Jesteśmy jak rozbitki teraz na łasce Marka i jedyna nasza ucieczka w pani.

— We mnie? — ruszyła brwiami piękna gospodyni. — Mogę panią zapewnić, że być na łasce Marka nie jest wcale strasznym. Położenia swego on nigdy nie wyzyskuje jak inni.

— Broń Boże! Ja go mam za najlepszego, ale cóż my teraz z sobą pocniemy bez ziemi, funduszu i miejsca zamieszkania? Wicio radby szukać kariery, ale gdzie? A ja przyjąłabym służbę, ale tymczasem gdzie głowę ułożymy? Pani jedna może wpłynąć na Marka, żeby o nas pomyślał i zajął się bratem. Proszę mi obiecać tę łaskę.

— Mogę pani zaręczyć, że uczyni to sam z siebie. Zemsta nie leży w jego naturze. Zresztą spodziewam się go lada chwila z powrotem. Wspólny interes może być wspólnie omówiony. Szkoda tylko, że pan Witold nie będzie obecnym.

— Jakże, i on wybrał się ze mną w odwiedziny do Poświcia, ale po drodze spotkał pana Marwitza i opuścił mnie dla miłszego towarzystwa. Mieli podobno odwiedzić starego Ragisa i spotkać tam Hankę ze swą przyjaciółką. Zaraz pewnie przyjadą.

— Nawet już jadą, poznaję po turkocie.

Po chwili ruch się zrobił w domu i przez otwarte szeroko drzwi weszła Julka, coś nucąc wesoło, Hanka z widoczną zadumą na twarzy, Marwitz, zawsze zajęty swymi tylko myślami, a na końcu Witold, cichy jakiś, znudzony i niepewny przyjęcia.

— Ragis zdrów — oznajmiła po przywitaniu Julka, obiecał przyjść jutro z własnym sprawozdaniem i podzięką.

— Bardzo ci wdzięczny za pamięć! — wtrąciła z cicha Hanka.

I bardzo tęskni po pannie Anecie — dodała wesoło Julka.

Witold nieśmiało, z daleka ukłonił się Irenei, wybąknąwszy coś niewyraźnie. Jego żarty, humor urwisa, cynizm bursza, roztopiły się i znikły wraz z funduszem. Bez złota było to zero!

Rozmowa stała się ogólną, dość ożywioną za staraniem Julki. Irenka coraz częściej wyglądała oknem i nadstawiała uszu.

Pani Czertwanowa całą swą uwagę i łaskę zwróciła na Marwitza.

— Pan niedawno w naszych stronach? — zapytała uśmiechnięta.

— Przyjechałem jednocześnie z tymi paniami — odparł, oczyma wskazując na Hankę.

— A długo pan myśli zabawić?

— Do wyjazdu tych pań.

— Jeszcze dwa tygodnie zatym — zauważyła z ubolewaniem. — Pan się znudzi okropnie na Żmudzi.

— Ja? Znudzę się? — zawołał, otwierając szeroko swe blade oczy. — A te panie? A rybołówstwo? Ja się tu okropnie bawię!

Irenka wmieszała się do rozmowy.

— Niedługo już, Clarke, tej okropnej zabawy. Lada dzień Żorz zawinie ze swą «Hero» do Libawy i porwie cię po woli czy nie woli do ojca. I słusznie! Ja gotowam nawet dopomóc mu ze swej strony.

— Ty wiesz, Iry, że nie pojedę! — odparł ze swym spokojnym uporem.

— Co się ma stać naszemu koledze? — zapytała Julka. — Któż to dybie na jego swobodę?

— Rodzony brat z polecenia ojca.

— Czego oni chcą ode mnie? — zamruczał Amerykanin. — Żorz sobie wróci, jak przyjechał. Ja miluję nade wszystko spokój.

— A robisz burzę w rodzinie! — zaśmiała się Irenka.

— Nie podobne to do pana Marwitza — wtrąciła pani Czertwanowa.

Podczas tej rozmowy słychać było kroki na żwirze ogrodowej ulicy i dwa głosy: dyszkancik kobiecy i bas męski. Zbliżyły się one do ganku i przy ostatnich słowach pani Czertwanowej uchyliły się drzwi salonu, a w progu stanął tak oczekiwany pan i gospodarz.

— Nareszcie! — zawołała Irenka, porywając się z miejsca. — Skąd się tu wzięłeś pieszo?

— Dobry wieczór! Dowiedziałem się po drodze, że chrzestny chory, więc ruszyłem wprost do zaścianka. Wracalem przez rzekę.

— Przez Dewajtę — poprawiła.

— Niech i tak będzie! Odwiedziłem starego druha.

Ucałował jej obie rączki długo i serdecznie. Powitali się gorącym spojrzeniem i uśmiechem szczęścia. Potem, nie okazując zdziwienia, skłonił się nisko macosze i przywitał swobodnie resztę towarzystwa.

— Jakże stoją sprawy Kazimierza? — zapytała pani Czertwanowa.

— Wczoraj odbyły się jego zaręczyny. Miał ze mnąjechać, ale ponieważ zwlekał z dnia na dzień, a ja nie chciałem czekać, został, obiecując odwiedzić maczkę wkrótce. Zupełnie zadowolony ze swego przedsięwzięcia i zamiarów. Marwitz, mam tu dla ciebie list i depeszę — dodał, zwracając się do Amerykanina.

— Żorz czeka! — zaśmiała się Irenka.

— Niech czeka! — zadecydował spokojnie Marwitz, chowając obie koperty do kieszeni.

Panna Aneta ukazała się w progu, za nią wniesiono maliny.

Marek usiadł obok żony. Obecność macochy i Witolda zasępiała mu czoło. Zamilkł, kręcąc wąsy. Czuł w powietrzu nowy napad na swój spokój. Julka, jak zwykle, pierwsza zrozumiała, że się zanosi na scenę, familijną, w której one dwie i Marwitz byli zbyt liczni. Skinęła na Hankę i wyszły do parku. Amerykanina nie trzeba było wołać. Zaledwie drzwi się za nimi

zamknęły, wstał, wziął czapkę i, westchnąwszy, ruszył w tymże kierunku. Panna Aneta, nakarmiwszy Marka malinami, ucałowawszy go serdecznie, wyniosła się także cichutko. Miała sobie za grzech próżnować w dzień roboczy.

Pozostali, milcząc, obserwowali się przez chwilę. Witold wstał i przeszedł się po salonie, niby oglądając malowidła, Irenka podała mężowi papierosy, pani Czertwanowa kręciła się niespokojnie, nie wiedząc, jak zacząć swą sprawę. Marek wywierał na nią wpływ przygnębiający.

Młoda kobieta zrozumiała ten wzrok i pierwsza przerwała milczenie:

— Pani Czertwanowa przybyła tu w interesie do ciebie, Marku. Niespokojna jest, co z nią będzie teraz, gdy Skomonty przechodzą na twoją własność.

— Co? Matka dziesięć lat mieszkała tam przecie przy moim zarządzie. Zdaje mi się, że jej nic nie brakło. Nie zajmuje wiele miejsca, jak to sobie przypomina.

— Więc mnie zatrzymasz? Nie wypędzisz?—zawołała, składając ręce.

— Za kogo mnie matka ma? Skąd takie wyobrażenie? Nie trzeba ludzi sądzić wedle siebie, ale wedle faktów.

— I Wicio może przy mnie pozostać? — przerwała pąsowiejac.

— Witold nie! Matka ma prawo i wiek za sobą, by w spokoju i wygodach żyć bez trudu. On niech idzie i uczy się z musu pracować. Ja go na pieczeniara i próżniaka nie myślę kierować. Dla niego w Skomontach nie ma miejsca...

Pani Czertwanowa zalała się łzami. Chłopak zmienił się na twarzy; znać było, że go wstyd ogarniał, żal, złość nawet.

Zatrzymał się przed Markiem i nadąsany chmurny, wybąkał przez zęby:

— Nie będą twego chleba żebrał, możesz być spokojny. Wolę z głodu umrzeć gdzieś pod płotem. Jutro wyjeżdżam!

Irenka podniosła głowę i spojrzeniem powstrzymała Marka, który, swoim zwyczajem, miał na ustach odpowiedź lakoniczną i twardą.

— Panie Witoldzie — rzekła poważnie a zarazem serdecznie — nie traktujmy tego przedmiotu z gniewem i obrazą. Nie chodzi tu, aby pan zmarniał, ale żeby pan się podniósł. Marek panu nie żaluje chleba, ale żąda pracy i rehabilitacji. Rozważmy serio i spokojnie kwestję tej pracy. Poszukajmy jej wspólnie.

— Nie tak to łatwo—zamruczał.

— Zajmij się w kantorze Kazimierza — rzekł Marek.

— Nie chcę! Za nic nie chcę! — Skoczył chłopak. — Tu, gdzie mnie wszyscy znają? Nie zostanę, wolę Sybir!

— Biedaczek, nie zniesie takiej zmiany położenia — westchnęła matka. — On chce wstąpić do wojska.

— To żadna kariera — wtrącił Marek niechętnie. — Przy jego nawyknięciach i gwałtownym charakterze gotowa awantura.

Zamilkli wszyscy zamyśleni. Nagle Irenka poruszyła się żywo i zwróciła do męża ożywioną twarz.

— Marku, a Drakecity?—zawołała.

— Co? Myślisz, że on tam się zda? Wyjechałbyś do Ameryki, Witoldzie?

— Bardzo chętnie. Nic mnie tu nie wiąże. Wszystko obrzydło — odparł zapytany. — Może mi tam szczęście lepiej posłuży. Pojadę!

— Tak daleko? — Za morza? — zaczęła, łamiąc ręce, matka.

— Bez ofiary się nie obejdzie—rzekł Marek—pożegna go matka ze łzami, a może za lat kilka powita z radością. Wezwę Clarka do pomocy.

Wstał żywo i wyszedł do ogrodu. Po chwili wrócił z Amerykaninem.

Marwitz, snadź już poinformowany, podszedł prosto do Witolda.

— Panie! — zawołał — pan mię ratuje! Ja pana oddam swemu bratu na moje miejsce! Tam, za oceanem, znajdzie pan rodzinę, dom i moją przedsiębiornię bawełny. Ja wszystko panu oddaję, bo wcale wracać nie myślę. Bo to, widzi pan, mam tutaj teraz cel i obowiązki...

— Posłyszmy po raz setny historię niefortunnego pierścionka — szepnęła Irenka wesoło do męża.

— Wybawiłaś nas, jedyna, z wielkiego kłopotu! Może Ameryka zrobi cokolwiek z tej lalki, bo w Europie on stracony — odparł Marek.

Istotnie, było to rozwiązanie kwestii nadzwyczaj pomyslnie.

Rozchmurzyło się czoło Witolda, pani Czertwanowa otarła łzy, a Marwitz prawił cuda o życiu za Atlantykiem. Spokój powrócił...

Potem rozjechali się wszyscy wesoło i w zgodzie. Wieczór zapadł.

Jak dawniej, na ganku lewej oficyny stała gromada oficjalistów, zwiększona jeszcze tymi, co przybyli po rozkazy z Ejników, Budrajców i Skomontów. Ten sam jasnowłosy olbrzym wydawał rozkazy krótko, stanowczo, z widoczną chęcią uwolnienia się czym prędzej.

Potem rozległo się *unisono*:

— *Łabana!łt, ponel!*

— *Likites swejki* — odparł (zostańcie zdrowi), zamykając oficynę.

Rzecz niesłychana! Marek Czertwan nucił coś półgłosem, wracając do domu. Nauczyła go tego zapewne Irenka.

Wszyscy spali, ona tylko czuwała oparta w oknie, oczekując na niego.

— Skończyłeś już? — rzekła serdecznie, wyciągając rękę.

— Skończyłem — odparł poważnie, prostując się w całej swej okazałości. — Wszystko skończyłem! Żadnej myśli nie zostawiłem niedokonanej! Ziemia moja. Odzyskałem, jakim sobie przysiągłem, i dąb mój stary żyje i przestoi wieki. Dziś mi szumiał tak potężnie jak młody!

— O, jakiś pyszny, Wejdawutas! — zaśmiała się przekornie.

— A pamiętasz przed rokiem te okropne otchłanie, troski, męki? Pokonałeś wszystko! Było ich legion — wrogów, a ty jeden bohaterze! Teraz tobie czas spocząć i być szczęśliwym.

Wyrosłeś, jak twój Dewajtis, na przykład całym pokoleniom. Już ci teraz nic nie brak!

— Nic! Dobięciem celu! Mogę spocząć — wyszeptał, zapatrzony w mrok nocy i gwieździste niebo.

Po chwili zamruczał, jakby do siebie:

— Brak mi czegoś jeszcze! O, brak! Ale nie moja siła, na to! Dąb szumi, że wszystko mija i marna wszelka potęga przy bożej mocy! Dąb wielki patrzy i lepiej wie niż my, efemerydy! Wszystko mija! A choćby i nie minęło...

Zaiskrzyły mu się źrenice i przez zęby, z kamiennym uporem, dodał:

— Czy się stanie, co się ma stać, czy nie stanie, Żemajtys zawsze zostanie!

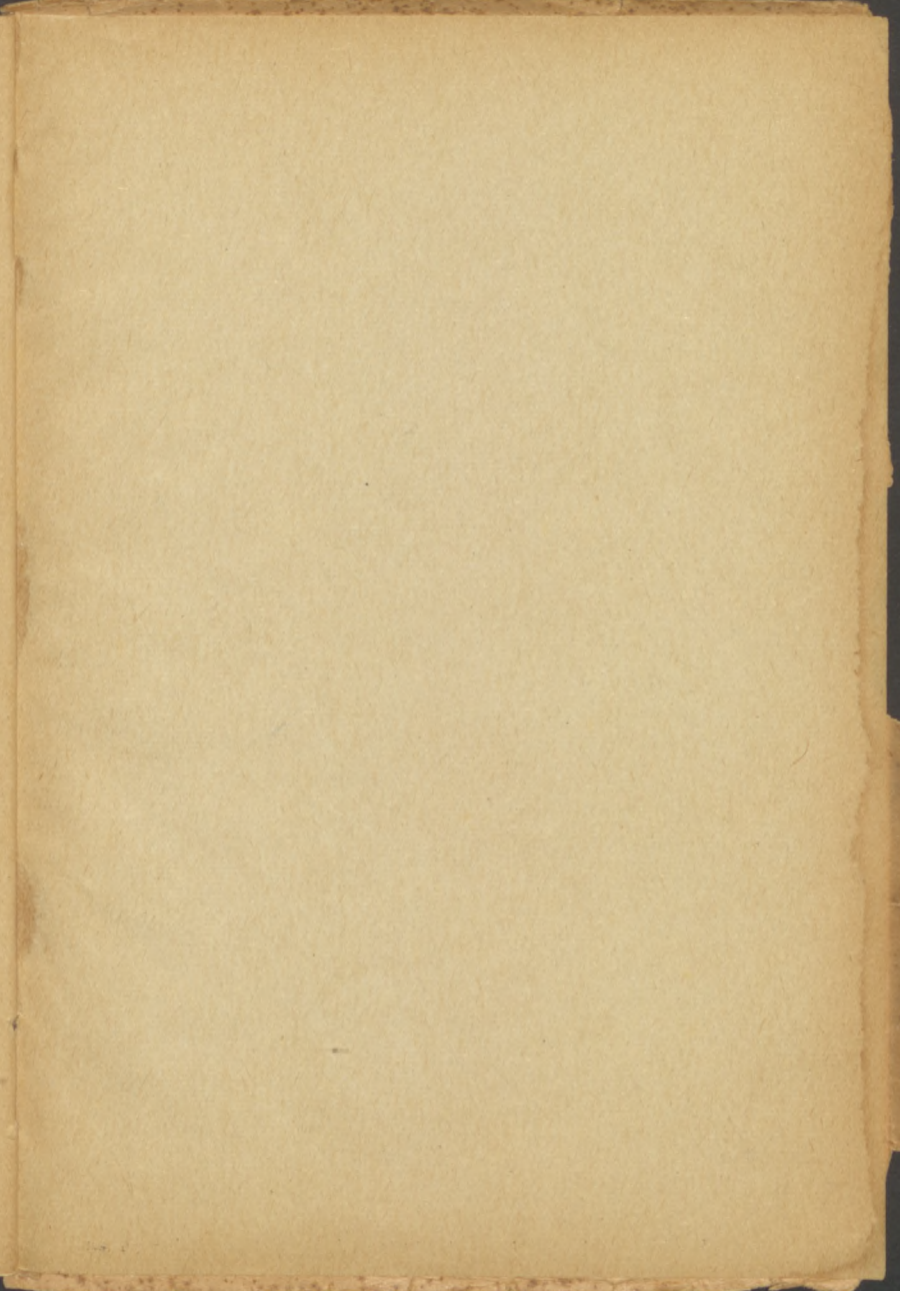
«Zostanie!» — powtórzyło echo cichej nocy wśród lip stuletnich, drżeniem przyrody, i przebiegło coraz cichsze aż na fale Dubissy i wierzchy dąbrowy.

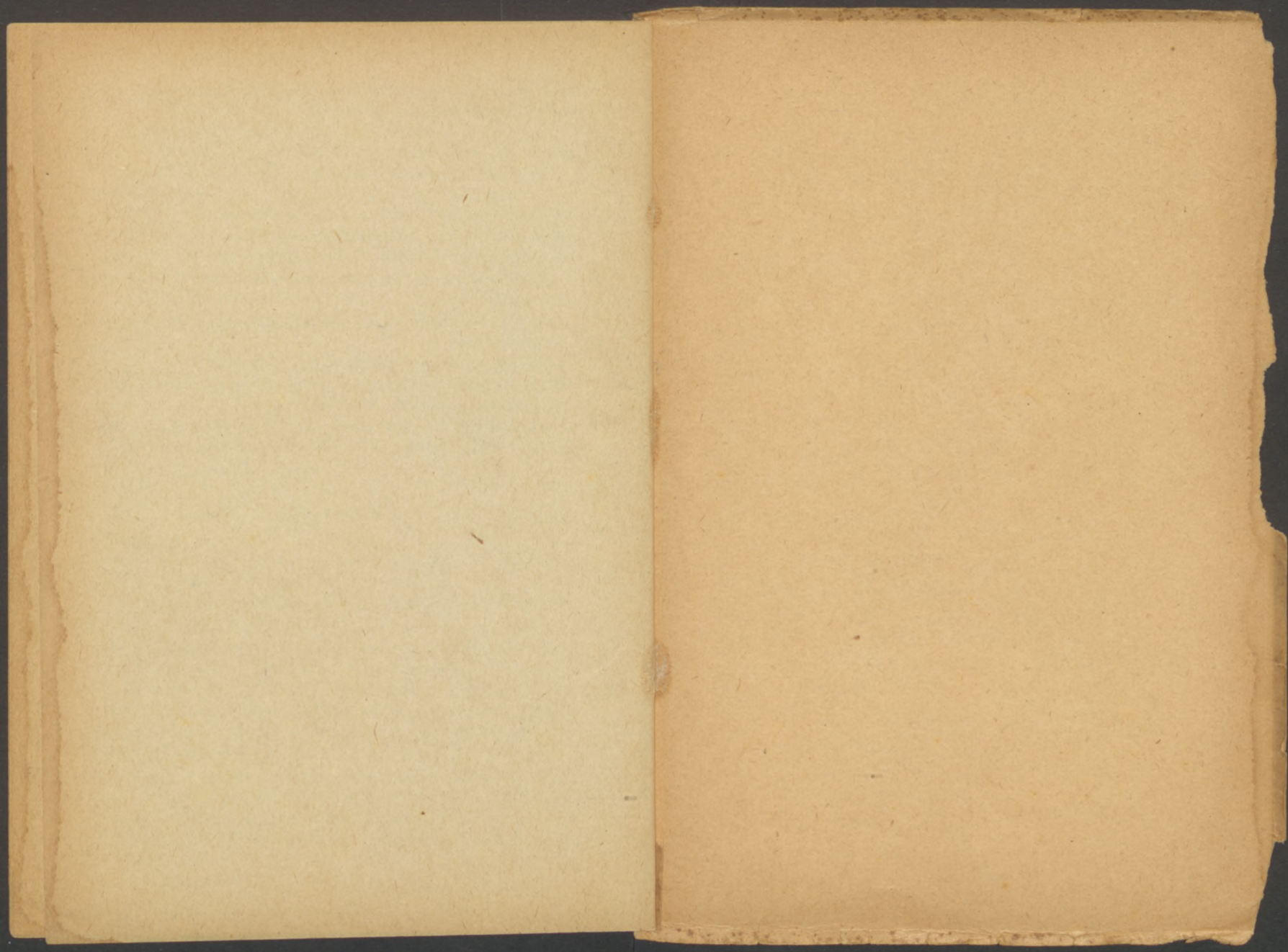
«Zostanie!» — zdawała się mówić ziemia cała, urobiona z klęsk, strat i ciągłej walki. Potakiwała swemu synowi...

KONIEC

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.





Arch. Emigracji
Biblioteka

Główna
UMK Toruń

1393225

Biblioteka Główna UMK



300020981983